

DEGRADACJA KOLEJNEJ INSTYTUCJI PAŃSTWA

Łukasz Warzecha o szkodliwej zabawie polityków w referendum

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 34/541 21-27 SIERPNIA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO
RZECZY

Piotr Semka ostro
o atakach na podręcznik
prof. Roszkowskiego

EKSHIBICJONIZM
SEKSUALNYCH
FANTAZJI
MINISTRÓW
PREZYDENTA
FRANCJI



Kto jest bardziej
dyskryminowany w Polsce
- kobiety czy jednak mężczyźni?

POLSKA POLSKO-UKRAIŃSKA?

Na naszych oczach nasze państwo
staje się dwunarodowe

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

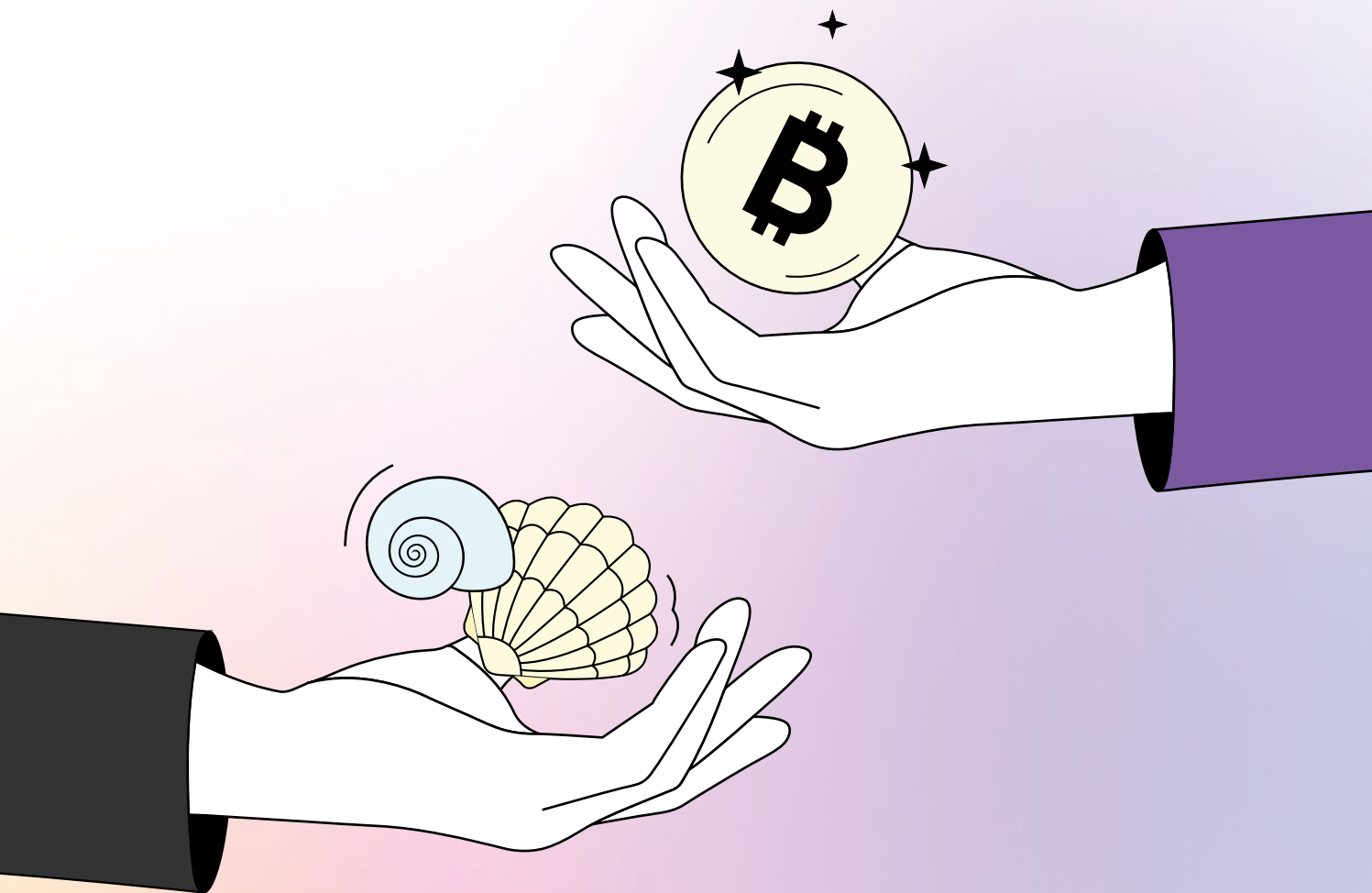


9 772299 850000

Nakład: 52 000 egzemplarzy

Kiedyś muszle. Dziś coiny.

Nie przegap przyszłości finansów.



zondacrypto 

Trade tomorrow, today

eprasa.pl 46296198ab

zondacrypto.com

Najsilniejsza armia w Europie



PAWEŁ LISICKI

Do tej pory wydawało mi się zawsze, że jeśli buduje się potęgę militarną własnego państwa, szczególnie we wrogim lub podejrzliwym otoczeniu, to robi się to po cichu i tak, żeby rozproszyć obawy potencjalnych nieprzyjaciół. Wiadomo: akcja wywołuje reakcję. Tak też od zawsze wyglądały relacje między państwami. Odpowiedzią na poczucie zagrożenia jest budowanie własnych sił, a najczęstszą przyczyną ataku jest uprzedzanie ataku drugiej strony, co do której sądzi się, że ona zaatakuje pierwszą. Czy faktycznie chodzi o prewencyjne uderzenie czy o dążenie do podboju, to inna sprawa, ale z pewnością poczucie zagrożenia jest ważnym czynnikiem, który usprawiedliwia własne działania zaczepne. Jest to motyw szczególnie ważny, gdy władze chcą dla swojej polityki zdobyć poparcie społeczeństwa, nawet niekoniecznie rządzonego w sposób demokratyczny. Piszę to, bo nie mogę się nadziwić retoryce, którą od miesięcy posługuje się polski rząd. Najlepiej przedstawia ją szef MON, minister Mariusz Błaszczak. Można to było zobaczyć w wielu jego wystąpieniach przy okazji 15 sierpnia i wielkiej defilady wojskowej w Warszawie.

Według ministra „w ciągu dwóch lat będziemy mieć najsilniejszą armię lądową w Europie, jeżeli tylko ten proces będzie kontynuowany”. Minister stwierdził, że „gwarantem kontynuacji tego procesu jest PiS”.

Tym buńczucznym słowom o najsilniejszej armii lądowej w Europie towarzyszą decyzje, za każdym razem bardzo mocno nagłaśniane w mediach. Polska armia rozbudowuje się najszybciej w Europie – to teza, która pojawia się na ustach wielu polityków. Jak podawały niedawno media, sprzęt wojskowy kupiony

bądź zamówiony w ostatnim czasie przez Polskę to: 1 tys. czołgów K2 i 673 samobieżne haubice K9 południowokoreańskiej produkcji, 366 amerykańskich czołgów Abrams, 32 myśliwce F-35A, 96 śmigłowców bojowych Apache i 500 wyrzutni pocisków rakietowych dalekiego zasięgu.

Niezależnie od tego, że dozbieranie i rozbudowa armii są rzeczą słuszną, pojawia się jednak podstawowa wątpliwość dotycząca przekazu. Czemu służy to uporczywe podkreślanie potęgi i wielkości przyszłej polskiej armii? Rozumiem, że jest to ważny argument w czasie kampanii wyborczej, czego zresztą minister nie ukrywa. Tylko jeśli wybierzesz nas, zdaje się mówić, to zbudujemy najsilniejszą armię w Europie. Problem polega na tym, że jego słowa są słyszane nie tylko w Polsce.

Po pierwsze, takie obnoszenie się z własną przyszłą potęgą jest natychmiast wykorzystywane przez Rosję, która od dawna już opowiada o rzekomych polskich planach podboju. Dokładnie o tym mówił rosyjski minister obrony Siergiej Szojgu. „Istniejące zagrożenia wiążą się z militaryzacją Polski, która stała się głównym instrumentem antyrosyjskiej polityki Stanów Zjednoczonych. Warszawa ogłosiła zamiar zbudowania, jak twierdzą Polacy, najpotężniejszej armii na kontynencie [...]. W związku z tym rozpoczęto zakupy na dużą skalę broni z USA, Wielkiej Brytanii i Korei Południowej, w tym czołgów, systemów artyleryjskich, systemów obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej oraz samolotów bojowych”. Innymi słowy: deklaracje polskich urzędników stają się wodą na młyn rosyjskiej propagandy, zgodnie z którą Polska ma

zamiary agresywne. Nieistotne, że to nieprawda; istotne, że ciągle opowieści o „największej armii w Europie” idealnie nadają się do propagandowego wykorzystania przez Rosjan i do mobilizacji ich sił.

Po drugie, im głośniej Polska mówi o tym, że za dwa lata będzie miała najsilniejszą armię w Europie, tym bardziej wszyscy ci, którzy są naszymi potencjalnymi i realnymi wrogami, wiedzą, że mają dwa lata na to, by temu przeciwdziałać. Jeśli zatem Moskwa ma plany wojenne, a jest to przecież prawdopodobne, to takie zapowiedzi skłaniają ich do podjęcia ryzyka teraz, bo później będzie dla nich za późno. O ile z punktu widzenia kampanii wyborczej mowa o dwóch latach ma sens, o tyle z punktu widzenia bezpieczeństwa Polski to słowa wielce ryzykowne.

Po trzecie, doświadczenie historyczne powinno uczyć wszystkich, a na pewno dotyczy to osób odpowiedzialnych za stan polskiego wojska, ogromnej powściągliwości. Przypomnę, choć zapewne w otoczeniu ministra jest więcej specjalistów, którzy mogliby mu na to zwrócić uwagę, ale zaskakująco milczą, czym skończyły się we wrześniu 1939 r. opowieści o gigantycznej polskiej potęgę i niezłomnej sile armii. Chętność i ostentacja nie budują zaufania, przeciwnie – rodzą wątpliwości. Szczególnie kiedy oficjalna rzeczywistość zderza się ze smutną rzeczywistością: wystarczy wspomnieć choćby długie ukrywanie informacji o rosyjskiej rakiecie pod Bydgoszczą.

Cieszę się zatem, gdy słyszę o wzroście siły polskiej armii, miałbym jednak do tych informacji więcej zaufania, gdyby nie towarzyszyła im tak wielka tromtadacja. ©©

TEMAT TYGODNIA

14 IAN FIEDORCZUK

POLSKA DWUNARODOWA

Kto gospodarzem, a kto gościem

18 ZUZANNA DĄBROWSKA

ŻYĆ JAK UKRAINIEC W POLSCE

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

POLOWANIE NA SYMETRYSTÓW

Amok w obozie anty-PiS

25 PIOTR SEMKA

EGZORCYZMÓW WOKÓŁ PODRĘCZNIKA DO HIT CIĄG DALSZY

28 ROZMOWA Z DR. ANDRZEJEM ANUSZEM

ZAGRANICA NIE PODWAŻY WYNIKU WYBORÓW

30 TOMASZ ROWIŃSKI

CZY MĘŻCZYŹNI NIE POTRZEBUJĄ POMOCY

32 ŁUKASZ ZBORALSKI

WYMIERANIE MAŁYCH FIRM?

KULTURA

34 ROZMOWA Z KATARZYNĄ J. KOWALSKĄ

ŻYWOITY POLSKIE W OBRAZACH

Historia polskiej inteligencji

37 PIOTR GOCIEK

ZBUDUJ SOBIE RAJ

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA

INSTRUKCJA OBSŁUGI REFERENDUM

Przedwyborczy plebiscyt

50 WOJCIECH GOŁONKA

LIBIDO ET IMPERA

52 KRYSZTOF KRATIUŁ

POKOŁENIE '68. DOKOŃCZYĆ REWOLUCJĘ

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI

FRANCISZEK GŁOSI ARABOM... RÓŻNORODNOŚĆ RELIGII

HISTORIA

56 JERZY MIZIOŁEK

1920: TRIUMF HEROIZMU I NAUKI

Technika w służbie armii

60 GRZEGORZ MAJCHRZAK

PRZEBACZ MI, SMUTNA BRATYSŁAWO...

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI

CO GOTUJE KUCHARZ ŁUKASZENKI

Zagadkowa przyszłość Prigożyna

66 TERESA STYLIŃSKA

POLOWANIE NA NESSIE

EKONOMIA

68 JAKUB WOZIŃSKI

ZMIERZCH NIEMIECKIEJ MOTORYZACJI?

Niskoprodukcyjność zamiast zeroemisyjności

STYL

70 JOANNA BOJAŃCZYK

MINI PODBIJA ŚWIAT

Historia odśloniętych nóg

PODRÓŻE

72 JACEK PAŁKIEWICZ

LEGENDA CAMEL TROPHY

Rajd dla macho



WAKACJE Z „DO RZECZY”

74 RADOŚLAŃ WÓJTAS

SZWAJCARSKI DEPOZYT

Polskie ślady na świecie

KRYNICA FORUM 2023

13-15 września



em po wer ing

THE
REGION

Najważniejsza konferencja tej jesieni – zapraszamy do Krynicy-Zdroju

- Debata głów państw CEE – gości Prezydenta RP Andrzeja Dudy
- Forum Koreańsko-Polskie z udziałem premiera Korei i licznej delegacji z Seulu
- Energetyka jądrowa, zbrojenia, bezpieczeństwo strategiczne
- Dyskusje przedsiębiorców i polityków o odbudowie Ukrainy
- 100 + paneli z liderami polityki, gospodarki i nauki
- więcej na www.krynicaforum.pl

 MAŁOPOLSKA

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
 Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Radosław Wojtas

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

 Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
 Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

 Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
 Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
 Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czamecki,
 Wojciech Colonna, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
 Jerzy Karwels, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
 Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
 Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
 Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
 Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
 Błażej Torasiński, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniejczyk,
 Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL: redaguje Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
 Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
 Grzegorz Grzymowicz, Dawid Siemkowski, Łukasz Żygadło

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
 Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
 Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
 Korekta: Anna Zalewska, Magdalena Zubrycka-Wemerowska,
 Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa
 Okładka: Adam Chelminski/Forum

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: Piotr Pech tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

 Adam Borzęcki (kolportaż), Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@mpg.pl, tel.: 539 953 631; Joanna Gosek, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy
DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Księstwo Pomorskie Donalda”, Sławomir Siwek, nr „DRz” 32/2023

Cenny tekst Sławomira Siwka przeminął niemal bez echa. Starsi pamiętają projekty Tuska o niemal państwowej autonomii Kaszub z własnym skarbem, a nawet siłami zbrojnymi. W tamtym czasie zbiegało się to z „debatą” nad systemem samorządności terenowej opracowywanym przez prof. Reguńskiego. W tej dziwnej „debacie” lansowano likwidację 49 województw na rzecz landyacji Polski (projekt 12 landów). Jednocześnie równie silnie lansowano tworzenie tzw. euroregionów, zwłaszcza na zachodzie kraju. „Reforma” Reguńskiego w efekcie zlikwidowała Skarb Państwa w gminach, pozbawiając organy rządu centralnego ogromnej własności nieruchomości, dotąd własności ogólnonarodowej, czyli państwowej, co ustawiło od początku



konflikt samorządów wobec władzy centralnej (państwowej), tworząc swoistą Wspólnotę Niepodległych Gmin pozostających w strukturalnym konflikcie rozsądającym państwo. Euroregiony z kolei, np. ten z udziałem Lubuskiego, już lansują się turystycznie w systemie niemieckim (por. targi turystyczne w Berlinie).

Regionalizm (autonomia) kaszubska wybrzmiała ostatnio formalnie podczas wyborów prezydenckich, gdzie wprost

upokorzono A. Dudę, a zarazem Rzeczpospolitą, przez umieszczenie flagi (?) Kaszub na równi z flagą narodową, czemu towarzyszyło wycie zwiezionych kodziarzy na czele z uśmiechniętą kontrkandydatką (M. Kidawą-Błońską). Prowokacje gdańskie, separatyzm poznański (wypowiedzi prezydenta miasta) i nieskrywany separatyzm na Śląsku to ciągle ten sam zamysł, na jaki zwrócił uwagę S. Siwek. Służy temu bieżąco pobudzana ojkofobia znaczącej części totalnej opozycji.

Julian Winnicki, Wrocław

Al-Dżazira z Polski

Dzień dobry, jestem od dłuższego czasu za granicą i źródłem moich wiadomości są BBC, CNN, SKY i Al-Dżazira. Niewiele tam o Polsce i jeśli, to na ogół krytycznie. Z dużą nieprzyjemnością obejrzałem pojawiające się od paru dni co godzinę raporty korespondenta Al-Dżaziry z Polskiej granicy.

Ukazują one ciężką sytuację nielegalnych migrantów usiłujących przedrzeć się przez granicę, ale od strony polskiej. Dlaczego nikt reporterowi nie doradził, aby przekazał, jak wygląda sytuacja od strony białoruskiej?

Ostatnio pokazano jego długą rozmowę z młodą Polką, reprezentującą jakąś organizację mającą w nazwie słowo „granica”. Szli pustą alejką leśną – on o wyglądzie Araba, a ona młoda Polka wygadywała wiele krytycznych uwag pod adresem własnego kraju. Zapisalem ukazane na ekranie jej nazwisko i imię: DOMINIKA OZYŃ-

SKA. Podejrzewam, że należy do szwadronu OCHOJSKIEJ.

W czasie, kiedy społeczeństwo polskie żyje w niepokoju, co wydaryć się następnego dnia, nasz kraj dokonuje kosztownych inwestycji na granicy i sprowadza 10 tys. żołnierzy, aby jej chronić, ta nieodpowiedzialna i żądna popularności młoda osoba wygaduje nonsensy o własnym kraju dla stacji telewizyjnej o zasięgu światowym! [...].

Ryszard Jankiewicz



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Afryka na czerwono

Przy okazji niedawnego zamachu stanu w afrykańskim państwie Niger mogliśmy obejrzeć czarnoskórych mieszkańców tego kraju wymachujących flagą rosyjską i wznoszących transparenty z napisem: „Vive Poutine”. Demonstranci w ten sposób okazywali radość z powodu obalenia przez wojsko prozachodniego rządu i wprowadzenia nowej władzy na czele z pułkownikami, którzy nie kryli, że są wdzięczni za pomoc ze strony Rosji.

Od ponad dwóch dekad rosyjscy najemnicy Wagnera zaczynają rozdawać karty w tym regionie. O ile Rosjanie zdobywają wpływy za pomocą najemników, którzy ingerują w lokalne konflikty, o tyle inny nowy gracz na afrykańskiej scenie – Chiny komunistyczne – uzyskuje swoje cele za pomocą książeczki czekowej.

Na początku lat 60. państwa europejskie zaczęły wycofywać się z Afryki, gdyż okazało się, że zyski z wydobywania tamtejszych surowców naturalnych nie równoważą kosztów utrzymywania administracji kolonialnej. Dlatego chętnie oddawano niepodległość lokalnym

liderom, wiedząc, że ci i tak przy wszystkich ważnych inwestycjach wydobywczych będą musieli zwrócić się do zachodnich koncernów. Te surowce, których złoża występują nie tylko na Czarnym Lądzie, zachodnie firmy wydobywały poza Afryką, gdyż tę pogrążało bezhołowie miejscowych wodzów.

Sytuacja zmieniła się na początku XXI w., kiedy to przemysł chiński zaczął orientować się, jak kluczowe znaczenie dla wyścigu w elektronice będą odgrywać niektóre rzadkie surowce, które znaleźć można właśnie w Afryce. Zanim w Paryżu czy Londynie zorientowano się, że te dawne kolonie znajdujące się pod kontrolą polityczną Zachodu zaczęły być już polem, na którym harują Rosjanie i Chińczycy, musiało minąć trochę czasu.

Przy okazji można zdobyć się na dosyć mało optymistyczną dla Czarnego Kontynentu refleksję. O ile np. kraje azjatyckie, które niegdyś też były głównie źródłem surowców, jak np. Indonezja czy Malezja, wykonały po wojnie gigantyczny skok w kierunku efektywnej gospodarki rynkowej, o tyle większość afrykań-

skich krajów faktycznie zatrzymała się w rozwoju. Pod względem rozwoju demokracji Afryka też nie specjalnie ma się czym pochwalić.

Było więc kwestią czasu, kiedy na kontynencie pojawiają się faktyczni następcy sprawnych i agresywnych kolonizatorów europejskich z XIX w. Tych wszystkich potworów moralnych, których opisywał w swoim „Jądrze ciemności” nasz rodak Józef Conrad Korzeniowski. Dziś zamiast nich przybywają rosyjscy najemnicy i chińscy biznesmeni. A lokalni przywódcy rzucają im się na szyję, bo zakładają, że tylko oni są w stanie zapewnić im władzę.

Takie same złudzenia mieli kacykowie afrykańscy z II połowy XX w., którzy w swoich płytkich rachubach zakładali, że białych da się wykorzystać, a potem jakoś się ich wykurzy. Wtedy to owo wykurzenie się nie udało, a o tym, że dziś Chińczycy i Rosjanie nie dadzą się traktować instrumentalnie, wiedzą na razie nieliczni przywódcy Czarnego Lądu. No cóż. Afryka nie zrobiła przez ostatnie 60 lat nic, aby uchronić się przed taką nową formą kolonizacji. © ©



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

POKAZ SIŁY POLSKI

Dwa tysiące żołnierzy wzięło udział w największej od lat defiladzie wojskowej, którą w dniu Święta Wojska Polskiego 15 sierpnia zorganizowano w Warszawie. Tysiące widzów obserwowały również pokaz najnowszego sprzętu wojskowego. Ulicami przejechały m.in. wozy bojowe piechoty Borsuk, pojazdy minowania narzutowego Baobab-K, a także najnowsze czołgi z Korei Południowej (K2) i ze Stanów Zjednoczonych (Abramsy). Na niebie pojawiły się myśliwce F-16, FA-50 oraz amerykańskie F-35. (jap) © ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Cali biali

Wszyscy zapewne zetknęli się z powiedzonkiem zaczerpniętym z balady śpiewanej przez Wojciecha Młynarskiego: „I wtedy wchodzi on, cały na białło...”. Skojarzenie jest jednoznaczne, niezbyt pozytywne, i chyba obce spin doktorom Donalda Tuska. Ktoś najwyraźniej wymyślił, że Tusk i jego partia mają się wybielić, w sensie całkowicie dosłownym: koniec z unijnym błękitem, białe tło, białe koszule i kiecki, z niewielkim tylko czerwonym akcentem w postaci serduszek, w których platformersi, jak teraz na każdym kroku zapewniają, „mają Polskę” – choć każdy wie, bo przecież nie są tu od wczoraj, że tak naprawdę mają ją zupełnie gdzie indziej.

Ten nowy, biały „look” aż bił po oczach na uroczystym ogłoszeniu PO-wskich kandydatów do Sejmu i Senatu – jeden Adam Bodnar się nie podporządkował i wyglądał jak pingwin na Antarktydzie. Został za to ukarany połączeniem jego latami budowanego wizerunku „stróża praworządności” z liderem AgroUnii, który w kwestii szacunku dla prawa świadomie naśladuje śp. Andrzeja Leppera. Oczywiście człowiek, który był politycznym „ojcem” i promotorem Sylwii Spurek, dał sobie radę ze znalezieniem wykładni: owoż z Michałem Kołodziejczakiem – oznajmił mediom – łączy go „sprzeciw wobec tego, co się wokół nas dzieje”. Bardzo szeroka wykładnia, zgodnie z którą startować z PO i być politycznym

bratem Bodnara może właściwie każdy, choćby i ta celebrytka, której sprzeciw wzbudził „kmiot” na kasie ośmielający się prosić jaśnie panią o skiepowanie peta.

Wszedł więc Tusk, cały na białło, i dał pokaz, jak wytresował swoje medialne lemingi: do wczoraj demaskowały faceta jako putinowskiego agenta i przestępcę, a dziś na jeden sygnał tresera zachwyciły się, że to dzielny bojownik, który „odżyła wieś”. Złośliwi twierdzą, że Tusk mógłby równie dobrze wsadzić na listę „Jaszczyra” Olszańskiego i autorytety też by zapiały, że to genialny ruch, rozbijający zaplecze PiS.

A może z tą bielą chodzi o jeszcze co innego – o biblijne „groby pobielane”? ©©

OD POCZĄTKU

Konieczne zadośćuczynienie



MAREK JUREK

Tomasz Terlikowski z konsternacją przyjął pozew do Sądu Biskupiego, który w obronie swego dobrego imienia złożył przeciw niemu ks. Łukasz Kadziński. Odwołanie się przez ks. Łukasza do kanonu 220 kościelnego prawa kanonicznego – chroniącego dobre imię każdego – to dla zdumionego publicysty „absurd” i „kompromitacja”. A także „szok”, bo w ramach postępowania kanonicznego mogą mu grozić okrutne kary nagany, upomnienia, a może nawet (zgodnie z kanonem 1340) zadośćuczynienie w formie „jakiegoś aktu religijności, pobożności lub miłości”. Straszne!

Owszem, cała sprawa może budzić zdziwienie. Szczególnie

gdy Tomasz Terlikowski, pisząc swój artykuł na podstawie relacji jednego niezadowolonego byłego uczestnika wspólnoty czy dwóch, stawia tym, którzy biorą w niej udział, takie np. zarzuty, jak skromność stroju (przypominająca mu, o zgrozo, chasydów) i prowadzenie przez rodziców drużyny harcerskiej dla swoich dzieci.

Mnie jednak nie argumentacja najbardziej zdziwiła. Tomasz dosłownie parę tygodni wcześniej dał w surmy medialnego oburzenia na każdy nie dość delikatny komentarz na temat moralnej zapaści liberalnego środowiska Szczecina, w którym doszło do samobójstwa młodego człowieka, wykorzystywanego wcześniej przez obdarzonego

politycznym i osobistym zaufaniem seksedukatora. I teraz ten sam delikatny publicysta tyleż lekko, co stanowczymi uderzeniami w klawiaturę opisuje jako sektę całe grono rodzin i służącego im duszpasterza.

Podobno Tomek wszystko, co pisze, pisze dla zadośćuczynienia za zło, z którego chce oczyścić życie katolickie. Ja również więc, jako zadośćuczynienie za wypowiedzi Tomasza w tej sprawie, mogę tylko wyrazić swą pełną solidarność z ks. Łukaszem i rodzinami, którym służy. Bo to nie jest żadna zamknięta społeczność, ale przeciwnie – ksiądz i chrześcijanie przykładnie żyjący sprawami Kościoła, kraju i kultury narodowej. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zamilczaniu **na śmierć**

Profesor historii Ernesto Galli della Loggia, pisarz i eseista, kto wie, czy nie najlepsze pióro „Corriere della Sera”, opublikował na łamach dziennika tekst o dwulicowości i hipokryzji włoskiej lewicy, z którą jako socjalista do pewnego stopnia się utożsamia.

Jak pisze, w Italii do dziś przedmiotem sporu jest ocena tego, co działo się w kraju w XX w. Strony sporu usiłują się wzajemnie delegitimizować, wypominając sobie haniebną przeszłość. Dodajmy, że od kiedy stało się jasne, że Giorgia Meloni może zostać premierem, nie było dnia, żeby jakiś polityk czy żurnalista nie nazwał jej faszystką.

Galli della Loggia przypomina, że Włochy przeżyły dwie antydemokratyczne patologie

– faszyzm i komunizm. Tyle że w Italii o tej drugiej się nie mówi, a kto próbuje o niej przypomnieć, ten natychmiast staje pod pręgierzem. W efekcie w tak skonstruowanej zbiorowej pamięci Włochów panują podwójne standardy.

Na wszystkich tablicach upamiętniających ofiary faszystów i postfaszystów, w podręcznikach szkolnych zbrodnie te jak najślusniej nazywane są zbrodniami faszyzmu. Jednak jeśli chodzi o zbrodnie włoskich komunistów po drugiej wojnie, gdy masowo mordowali „wrogów klasowych”, to o komunizmie nie ma mowy. Podobnie sprawy się mają w przypadku ofiar lewackich terrorystów Czerwonych Brygad (m.in. premier i szef chadecji

Aldo Moro), którzy sami nazwali się Komunistyczną Partią Walczącą i za cel postawili sobie zbudowanie w Italii państwa komunistycznego. Włoskie media, by nie łączyć tych zbrodni z komunizmem, do dziś używają terminu „Brygadziści”.

Galli della Loggia wskazuje, że te zbrodnie były również częścią historii Włoch XX w. i bez mówienia o nich otwarcie nie sposób jej zrozumieć. O czym autor nie pisze, na wiecach włoskiej lewicy zawsze powiewają dumnie czerwone flagi z sierpem i młotem – symbol potwornych zbrodni i ludobójstwa. Te włoscy postępowcy kwitują słowem „stalinizm”. O tym, że po drugiej wojnie miliony Włochów wielbiły Stalina, też jest cicho. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

CIĘŻAR UCZCIWOŚCI

Trudno się nadziwić, dlaczego niektórzy zamiast milczeć i cieszyć się, że ludzie zapomnieli o ich wcześniejszej kompromitacji, sami o niej przypominają. Taką np. Nicole Sochacki-Wójcicka, instagramerka lekarka działająca w sieci jako „Mama Ginekolog”, wróciła w rozmowie z mediami do „afery kolejkowej”. Króciutkie przypomnienie: influencerka przyznała bez pardonu, że przyjmuje w gabinecie ginekologicznym (w szpitalu działającym w ramach umowy z NFZ) swoje koleżanki celebrytki poza kolejnością, czym

lepiej. „Mama Ginekolog” mówi bowiem całkiem wprost, że te wszystkie przykre konsekwencje to efekt jej... uczciwości. Zapewniła, że po prostu bardzo pilnuje tajemnicy lekarskiej – gdyby ją złamała, to sprawa szybko zostałaby wyjaśniona. – Gdybym złamała tajemnicę lekarską i powiedziała, jak to wyglądało, to nie byłoby takiej burzy. To wszystko by się bardzo szybko zamknęło, bo każdy by zrozumiał. Wiedziałam, że nie mogę tego zrobić i złamać tej tajemnicy. Musiałam udźwignąć ten ciężar – stwierdziła. I jak tu żyć w kraju, w którym człowieka „skazują” za uczciwość?

KRÓLOWA
CHAMSTWA

Telewizja nie tylko zniekształca obraz świata, lecz także promuje osoby, które nigdy promowane być nie powinny. Ba, nie powinno im się dać nawet minuty czasu antenowego. Takim przykładem jest niejaka Julia von Stein, która zyskała popularność dzięki występom w „Królowych życia” (program stacji TTV). Teraz celebrytka „zasłynęła” awanturą, którą rozpętała w jednym z fast foodów. Pani Julia wściekła się na pracownika, który – jak przekonywała w niegrzeczny sposób – zwrócił jej uwagę, aby zgasiła papierosa (korzystała z funkcji drive-thru). – Pan milczy, a mówię ja. Gdzie jest zakaz palenia w moim samochodzie? – wykrzykiwała. Wezwała menedżerkę restauracji. – Jakim prawem pani pracownik ma śmiałość powiedzieć mi, że mam zgasić papierosa w moim samochodzie? Kim on ku.wa jest? Kim? Kim, człowieku, jesteś? Kim? Właścicielem tego samochodu? Zapie.dalasz na to, co ja mam? Ty mi będziesz dyktował k.r.wa, czy ja mogę palić czy nie? Za twoje palę? – grzmiała oburzona celebrytka. Nagranie z całego zajścia sama wrzuciła do sieci. Gdy na „królową życia” posypały się gromy za chamskie zachowanie, postanowiła „przeprzeć”. – Moi drodzy, chciałabym się odnieść do sytuacji, która wywołała, przepraszam, gó.noburzę w całym internecie w tym kraju odnośnie do mojej wczorajszej relacji na Instagramie.

mie. Na samym wstępie, ze względu na to, że mam w sobie pokorę i jestem na tyle osobą myślącą, że zauważam błąd po swojej stronie, chciałabym was za to przeprosić. Rzeczywiście osoby, które mnie na co dzień nie znają, nie znają mojego charakteru, nie znacie mnie prywatnie, mogły odnieść wrażenie, że jestem pie.dolonym burakiem, wywyższającym się, krzyczącym na pana, który niczemu nie jest winien – mówi Julia von Stein. – Ja się do tego przyznaję: pan wyprowadził mnie z równowagi. Ja dałam się ponieść emocjom – stwierdza celebrytka, zastrzegając, że jej słowa zostały wyrwane z kontekstu. No, jeżeli tak, to nie ma o czym gadać.

WOLNY WYBÓR?

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa”. Odmęty dotyczą nie tylko PiS, lecz także Konfederacji. Tej drugiej tym mocniej, im bliżej są wybory parlamentarne. Gwiazda stacji TVN, Martyna Wojciechowska, stwierdziła np., że kobiety absolutnie nie powinny głosować na ugrupowanie Mentzena i Bosaka. Dlaczego? Ponieważ w ocenie podróżniczki to partia antykobieca. – Wolność nie jest nam dana raz na zawsze. To jest coś, o co musimy się troszczyć. Każdego dnia. Być uważnym. Nie dajmy się podpuścić tanim populistycznym hasłom. Żeby mieć niższe podatki teraz na chwilę. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy dali się kupić. Nie wyobrażam sobie ani jednej osoby, która ceni i szanuje wolność, niezależność, demokrację, prawa kobiet, prawa człowieka, żeby ktokolwiek głosował na ugrupowania, które każdego dnia łamią te prawa i są przeciwko demokracji – wyliczała podczas Pol'and'Rock Festival. – Nie wyobrażam sobie żadnej kobiety, która może zagłosować na Konfederację, która głosi, że kobiety są mniej inteligentne i że czasem trzeba im po prostu przyłożyć, żeby były posłuszne. Nie wyobrażam sobie, żebyście nie poszli na wybory – nawoływała. Pomijając niezwykle luźno związane z faktami tezy Wojciechowskiej o rzekomych postulatach Konfy, to jak to było z tym wolnym wyborem kobiet? ©



„skraca kolejki”. Wyjaśniała, że przecież wszyscy tak robią i w jej działaniu nie ma niczego niewłaściwego. Po tym wyznaniu spotkała się z zasłużoną falą krytyki, a całą sprawą zajął się specjalny zespół kontrolny powołany przez Fundusz. Minęło jednak kilka miesięcy, a sprawa rozeszła się generalnie po kościach. Tu jednak na scenę wkroczyła Sochacki-Wójcicka i domaga się współczucia. – To był straszny czas. Znajomi mi mówili, że nie byłam sobą. Wiedziałam, że muszę to przetrwać. Miałam ogromne wsparcie w kolegach z pracy, w moim szefie i w środowisku lekarskim – wspomina w łzawym wywiadzie. Dalej jest jeszcze

FOT. BARTOŚ KRUPA/EAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, to było przerażające, jak wyglądała ta fashystoffska parada z okazji Święta Wojska Polskiego.

W ogóle skąd ten pomysł, żeby robić „święto” wojska – to pomieszczenie nomenklatury kościelnej ze świecką kojarzy nam się jak najgorzej, z wojnami religijnymi, nietolerancją, paleniem osób czarujących na stosach i patriarchatem oraz toksyczną męskością.

A tu jeszcze przemawiający Duda i Błaszczak, w tle kolumny czołgów z tymi nieodparcie kojarzącymi się fallicznymi lufami. Dlaczego nikt nie wymyślił i nie opatentował jeszcze czołgu, który miałby wyrzucić pocisków w kształcie waginalnym? Dlatego iż za konstrukcję najczęściej odpowiadają mężczyźni?

No i ci wszyscy żołnierze, z tymi poważnymi minami, straszni, jak gdyby tylko czekali, iżby pójść na wojnę i móc sobie postrzelać. Gdyby w armii było więcej kobiet, pewnie też automatycznie dostrzeglibyśmy większe pole do dialogu, więcej możliwości rozwiązywania konfliktów bez użycia siły.

A tak tylko przeżyjemy muskuły i naprawdę ciekawe, co na to Unia Europejska, czy jej się to podoba i czy takie demonstracje na zasadzie „hej, patrzcie jaki mam czołg, zobaczcie, jaką on ma wielką lufę” będą dobrze odbierane na tradycyjnie pacyfistycznym Zachodzie, gdzie pewnie niedługo o ile będą jakiegokolwiek czołgi, to zapewne elektryczne.

A to wszystko w jakimś dziwnym połączeniu z kościelnym świętem, dzień wolny od pracy, zmuszanie mieszkańców Warszawy, iżby brali w tym udział,

politycy zawłaszczający sobie siły zbrojne. Dobrze, że tam nie byliśmy ani tego nie oglądaliśmy.

Apropos toksycznej męskości – jak wiecie, jest to ostatnio jeden z naszych ulubionych tematów – właśnie kończą się mistrzostwa świata w piłce nożnej kobiet, które nie obeszły prawie nikogo. Jak wiadomo, piłka nożna to sport zdominowany przez mężczyzn, którzy totalnie zawłaszczyli sobie tę konkurencję – zarówno od strony udziału, jak i od strony oglądania. Dlatego kobiecy mundial był wielką szansą na odwrócenie tego trendu.



Niestety, nie byliśmy w stanie nabijać widowni transmisjom w telewizji, iż mundial był rozgrywany w Australii, nam się znów pomyliło z Austrią, niektórym w kolektywie to nawet z Asturią, więc siadaliśmy przed TV o niewłaściwych godzinach, a w innych akurat mieliśmy inne plany.

Niemniej uważamy, iż jest to skandal, że zainteresowanie było tak niewielkie, bo pewnie jak zaraz będą jakieś męskie rozgrywki, to wszyscy oszaleją i będą mówić tylko znów o tym, co zrobił Lewandowski

czy inny Messi. To jawna niesprawiedliwość, a więc męski futbol po prostu powinien zostać rozwiązany, iżby zlikwidować wszelkie dysproporcje.

Jako iż kończą się wakacje, czas na kolejne podsumowania sezonu urlopowego. Otóż dotarliśmy do danych, iż Polacy są jednym z najmniej wypoczętych narodów w Europie.

No nic dziwnego, skoro podstawowa aktywność Polaka podczas urlopu to gotowanie, bo do restauracji nie pójdzie, bieganie po plaży w poszukiwaniu miejsca, bo na all-inclusive nie pojedzie, a na koniec wbijanie parawanu w piasek, iż szkoda mu choćby na hotel z prywatną plażą.

W dodatku wszędzie ciągną ze sobą rozwrzeszczane osobodzieci i muszą ich pilnować, zamiast oddać w jakieś miejsce typu przedszkole czy ośrodek pomocy społecznej, czy gdzie tam się oddaje osobodzieci, kiedy się znudzą.

No i teraz ci zmęczeni i sfrustrowani Polacy wrócą do swoich miejsc pracy, iżby przenosić tę frustrację na kolejnych i potem wszyscy tacy sfrustrowani pójść na wybory i będą głosować – a już sami wiecie, kto najwięcej zyskuje na takich nastrojach społecznych.

A wypoczęci Polacy po zagranicznych wczasach, single i pracujący na home office, nadal będą wypoczywać i zagłusują jak ludzie rozsądni – którymi przecież są. No ale cóż, wiadomo, niestety, kogo w tym kraju jest więcej. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Walka o polskich rolników

Szymon, ty masz jakieś dojsie do Janusza Kowalskiego?

Dlaczego mam mieć, Władek? Ty masz większe, w Sejmie się przecież widuje regularnie.

No niby tak, ale mnie chodzi o takie dojsie, żeby się go dało namówić na przysługę. W zamian za coś oczywiście. Albo przynajmniej sprowokować. Ty mów jasno, o co ci chodzi.

Donald wziął Kołodziejczaka i to nas może łupnąć.

My już i tak jesteśmy w czarnej...

To ja wiem. Ale posłuchaj: Kołodziejczakowi zrobiło dobrze, jak się dał

na Janusza, co nie? Musimy zrobić tak, żebyśmy ja się też mógł wydrzeć na Janusza. I żeby kamery przy tym były.

No przecież on ci na rękę nie pójdzie. Mam lepszy pomysł: jak będą kamery na korytarzu w Sejmie, to w przelocie mu przypomnij, że był w PO. Gwarantowane, że się wścieknie. Tylko żeby dziennikarze daleko byli i nie słyszeli. Potem im się powie, że walczyłeś o polskich rolników. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Uroczyście, przed Wami, unieważniam referendum”.

DONALD TUSK, szef Platformy Obywatelskiej, podczas Rady Krajowej PO, o referendum, które ma się odbyć razem z wyborami parlamentarnymi

Hasło wyborcze to jedno, a kalendarz działań – drugie. Wiewiórki z okolic sztabu PiS ćwierkają, że sukces chryi o pytania referendalne sprawił, że na nieco później przesunięte zostaną planowane konwencje. Temat referendum bowiem żre jak szalony, nie ma więc co sprawy przesłaniać kolejnymi eventami. Tak, wiemy, chwytliwych tematów się nie kanibalizuje.

Jednocześnie trwają ciekawe manewry wokół nadchodzących imprez ekonomicznych. Laikom wyjaśniamy: forum w Karpaczu to domena premiera Mateusza. A forum w Krynicy – domena prezydenta Andrzeja Sebastiana. I tu ciekawa rzecz: niedawno minister Jacek Sasin spotkał się z prezydentem Andrzejem Sebastianem, by wzmocnić współpracę na kierunku Krynica. Ciekawe, co na to premier Mateusz.

Apropos napięć między różnymi kręgami, a najbardziej między Dużym Pałacem a Małym Pałacem. Wieść niesie, że premier Mateusz czynił starania, by 15 sierpnia przemówić do narodu. Jednak tandem w składzie prezydent Andrzej Sebastian oraz minister Błaszczak obronił tradycję. Czyli wystąpienia własne.

Tymczasem w stolicy, jak zwykle o tej porze roku, nie tylko defilada, lecz także wielki finał akcji upiększania miasta „Warszawa w kwiatach”. Naszym zdaniem tym razem wyłanianie zwycięzców jest niepotrzebne, gdyż wybór triumfatora jest oczywisty. To kwiat Platformy i jej poputczyków na ogłoszonych właśnie listach wyborczych. Nic tak nie upiększa miasta jak Donald Tusk, Klaudia Jachira, Agnieszka Gajewska, Katarzyna Piekarska, Paweł Poncyljusz oraz kochany poseł Szczerba. A, zapomnielibyśmy jeszcze o futbolistach Dariuszu Dziekanowskim.

Apropos futbolistów. W odpowiedzi na lansowanie przez Peło Dziekanowskich i Siemaszków (teraz) oraz Kucharskich i Frankowskich (kiedyś) w niektórych kręgach prawicy pojawiła się koncepcja,

żeby odpowiedzieć jakimś własnym piłkarzem na listach. Te kręgi to konkretnie minister Kamil Bortniczuk, który forsuje na kandydata piłkarza Sebastiana Miłę. Ale naczelnikowi niezbyt się ten pomysł podoba.

Skoro już o futbolistach. Tajemnicą poliszynela była swego czasu polityczna rywalizacja w polskiej reprezentacji piłki kopanej, w której Kuba Błaszczykowski był taki bardziej religijny i propisowski, a Robert Lewandowski raczej proplatformerski. Niestety, Robert zdradził. W wywiadzie dla „El Pais” ogłosił: „Niemcy nie byli zbyt otwarci ani przyjaźnie nastawieni do Polaków”. Wcześniej dla francuskiego „L’Equipe” mówił o Niemczech: „Doświadczylem nie braku szacunku, ale pogardy”. Dlaczego? „Ponieważ byłem młodym chłopakiem z Polski”. Co ciekawe, cytaty te, bez słowa komentarza, trafiły i do Złonetu, i na portal GazWybu. Ach, wszędzie teraz ci pisowcy!

Tymczasem lider AgroUnii Michał Kołodziejczak, wróg Waszyngtonu, NATO i Brukseli, został człowiekiem nowoczesnym i postępowym. Znaczy

kandydatem z list Donalda. Miał iść z Peezelem, ale nie poszedł. Zasmucił nas ten fakt. Nie dojdzie do postulowanego przez Kołodziejczaka kongresu zjednoczeniowego ruchu ludowego. A już ostrzyliśmy sobie zęby na imprezę, w wyniku której Peezel i AgroUnia łączą się w PZPL – Polską Zjednoczoną Partię Ludową. Nic z tego. Inna sprawa, że zjednoczenie ruchu ludowego z udziałem Peezela nie jest możliwe. Dlaczego? Ano ponieważ nie ma tam już żadnych ludowców. Jak to? Ano tak to: pieczenia-rze to nie to samo, co ludowcy.

Chcielibyśmy mimo wszystko Złego Donalda z Sopotu pochwalić. W wielu miejscach potrafił idealnie dopasować swoje jedynki do lokalnych realiów. Na przykład Kraków. Tam ludzie lubią koło południa wyjść na kawkę i śniadanko, żeby wzmocnić się po odespaniu szaleństw poprzedniego wieczora. No i w tym Krakowie jedynką ma być Bartłomiej Sienkiewicz. A on, gdy był ministrem, trzymał się właśnie krakowskiego rytmu dnia. Tak nam wtedy mówiły wiewiórki z resortu.

Wielu nie zauważyło, że doszło niedawno do wiekopomnego wydarzenia: otóż Interia przegoniła zasięgami Onet, zwany także Złonetem lub Der Onetem. Istnieją na ten temat rozmaite teorie. Na przykład że normalisi wolą czytać portale w miarę zniuansowane, a nie takie z szajbą na punkcie PiS. Śmiemy wątpić. Naszym zdaniem przyczyną przewagi Interii jest Rychu Czarnecki, który pisze dla niej felietony o żużlu. Nie wiedzieliście? My też nie. W sumie to nawet nie chcieliśmy wiedzieć.

Rubryka kryminalna. Funkcjonariusze CBA od minionego tygodnia zżymają się okrutnie. Otóż ich figurant, czyli osoba będąca przedmiotem zainteresowania, ogłosił start w wyborach z listy PiS. Przyczyną zżymania się jest to, że jak ów polityk dostanie się do Sejmu, to trzeba będzie mu uchylić immunitet. To wydłuża procedurę, a przecież każdy chciałby się przed szefem pochwalić szybkimi sukcesami. ©©

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT CAROZINSKI

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



ŚREDNIOWIECZE ODKŁAMANE

Wspaniałe dziedzictwo
chrześcijańskiej
Europy

Jasne wieki zamiast „mroków średniowiecza” – wyobrażenie o zacofaniu Europy to efekt propagandowej wojny z chrześcijaństwem

Kulisy jałtańskich targów – dlaczego Franklin D. Roosevelt wierzył, że uda mu się „oczarować” Stalina?

Ostatnia misja czarnego samuraja – jak były niewolnik stał się przybocznym jednego z najpotężniejszych Japończyków

Nieznane ludobójstwo – na przełomie XX i XXI w. w sercu Afryki zginęło ok. 6 mln ludzi

Krew czterech cesarzy – lata 68–69 n.e. były przełomowym i bardzo brutalnym okresem w historii Imperium Rzymskiego

Inflanckie triumfy husarii – nie miała znaczenia dysproporcja sił, atak naszej ciężkiej jazdy przełamywał szyki, co decydowało o losach bitew

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Polska dwunarodowa



Jan Fiedorcuk

Ukraińcy w Polsce przestali być po prostu jedną z wielu mniejszości narodowych, stając się kimś pośrednim między gościem a gospodarzem. To z kolei każe się zastanowić, czy przypadkiem Polska, bez zgody samych Polaków, nie została przekształcona w państwo dwunarodowe

Zmiana struktury narodowościowej polskiego społeczeństwa będzie zapewne najtrwalszym, choć niezamierzonym dziedzictwem rządów PiS. Gdy w 2022 r. wielu intelektualistów widziało w ukraińskiej migracji załazek nowej wielonarodowej Rzeczypospolitej, w „Do Rzeczy” staraliśmy się tonować ten entuzjazm, wskazując na wiele konsekwencji, z jakimi będzie musiała się zmierzyć nasza wspólnota. Już wtedy podkreślaliśmy, że jeżeli nie będziemy traktować Ukraińców jako tymczasowych gości, którym należy się pomoc w obliczu rosyjskiej inwazji,

tylko będziemy chcieli ich wyzyskać do wewnętrznej polityki, to skutki mogą być nieprzewidywalne.

WĘZŁ GORDYJSKI

Naczelnym problemem pozostaje brak długofalowej strategii związanej z napływem uchodźców. Specustawa dawała im prawo do 18 miesięcy legalnego pobytu w Polsce oraz wiele szczególnych udogodnień (m.in. dostęp do usług publicznych, wsparcie finansowe, wstęp na rynek pracy na specjalnych zasadach), jednak Sejm uchwalił jakiś czas temu nowelizację prawa, która przedłuża ten

termin do 4 marca 2024 r. Poniekąd trudno się dziwić rządowi, że podjął takie rozwiązanie, gdyż obecnie mamy do czynienia z „narodowościowym węzłem gordyjskim” – w związku z wojną nie sposób uchodźców po prostu odesłać do ich domów. Polskie władze mogą zatem albo radośnie obwieścić, że będą budować Rzeczpospolitą wielonarodową, albo zapewniać, że nadal reprezentują stronnictwo narodowe patriotyczne i regularnie po cichu przedłużać milionom przybyszów prawo pobytu na kolejne lata. Prowizorka bywa najtrwalszym rozwiązaniem.



szłym roku Fundacja WiseEuropa opublikowała raport „Gościńska Polska 2022+”, w którym oznajmiono, że „bez względu na wynik wojny oraz jej konsekwencje [...] Polska stanie się krajem dwunarodowym”.

Warto pamiętać, że sprawa Ukraińców nie jest jedynym problemem, z którym się mierzymy. Z jednej strony mamy rzeczony brak strategii związanej z milionową grupą uchodźców; z drugiej – rekordową liczbę imigrantów zarobkowych z Azji i Afryki, których w ostatnich latach wpuścił rząd; z trzeciej – wyraźne dążenie Brukseli, aby z imigracjonizmu zrobić nową oficjalną doktrynę Unii Europejskiej, co z kolei musi de facto oznaczać wyjęcie kwestii bezpieczeństwa granic spod prerogatyw państw członkowskich.

Wieloaspektowość tego problemu każe postawić pytanie, czy przypadkiem publicyści – od Tomasza Terlikowskiego, przez Michała Szuldrzyńskiego, do Jerzego Marka Nowakowskiego – którzy z radością wieszczili zmierzch polskiego państwa narodowego, nie mieli racji. A jeżeli tak jest, to cóż to oznacza dla nas?

ZMIANA KLIMATU

Oddolne zaangażowanie Polaków w pomoc Ukrainie było pięknym zrywem, przypominało jednak bardziej pospolite ruszenie niż długofalowe działanie. Poziom emocjonalnego zaangażowania, który wygenerowało społeczeństwo, był nie do utrzymania na dłuższą metę i między Polakami a Ukraińcami w naturalny sposób musiały zacząć narastać antagonizmy.

W kwietniu 2022 r. na łamach portalu Klubu Jagiellońskiego ukazał się artykuł Michała Gulczyńskiego na temat nastawienia kobiet wobec problemu uchodźców. Autor wskazywał w nim, że masowy napływ Ukraińców może znacząco wpłynąć na rynek pracy, pogarszając tym samym sytuację Polek w zawodach niewymagających szczególnych umiejętności, a jednocześnie generować chaos na rynku mieszkaniowym, rosnącą przestępczość czy również zachwiałe tzw. rynkiem małżeńskim. Autor stawiał ciekawą tezę, że nawarstwiający się problemy sprawią, iż politycznym beneficjentem w żeńskim elektoracie okaże się Konfederacja.

Nastawienie do Ukraińców zmieniało się w ostatnich miesiącach na wielu

poziomach. W lutym dr Robert Staniszewski z Uniwersytetu Warszawskiego, który prowadzi badania nad stosunkiem Polaków do Ukraińców, wskazywał, że jakkolwiek Polacy nadal opowiadają się za pomocą Ukrainie, to stosunek do samych uchodźców zaczął ewoluować. Wzrosła do 47 proc. liczba osób przeciwnych przyznawaniu im świadczenia „500+”, a jednocześnie zmalała do 30 proc. liczba Polaków popierających przekazywanie uchodźcom codziennego zasiłku 40 zł. Sondaż przeprowadzonego przez LAB badawczy Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Ekonomiczno-Humanistycznej w Warszawie na przełomie maja i czerwca wskazuje, że większość Polaków jest przeciwna ofiarowaniu darmowego zakwaterowania i wyżywienia ukraińskim uchodźcom.

**Między Polakami
a Ukraińcami w naturalny
sposób musiały zacząć
narastać antagonizmy**

Jeszcze ciekawiej wypadły badania IRCenter we współpracy z agencją Newseria z lipca, z których wynika, że zdaniem 50 proc. Polaków rząd troszczy się bardziej o Ukraińców niż o własnych obywateli, a co trzeci badany jest zdania, że Ukraińcy zabierają Polakom pracę oraz miejsca w szkołach i placówkach medycznych.

O zmianie klimatu świadczy dobitnie niedawny felieton naczelnego „Rzeczpospolitej” Bogusława Chraboty, który stwierdził, że Ukrainę należy przyjąć po zakończeniu wojny do NATO, aby spętać jej potencjał militarny. „Bez takich hamulców prędzej czy później musi nad Dnieprem wygrać perspektywa rewanżyzmu” – napisał Chrabota. Ukraina jako agresor? Czynniki destabilizujący i niebezpieczna potęga? Jeszcze kilka miesięcy temu takie stwierdzenia w liberalnej, mainstreamowej prasie byłyby nie do pomyślenia.

Sprawę komplikuje kwestia przestępczości wśród imigrantów. „Rzeczpospolita” informowała niedawno, że zaledwie w ciągu ostatniej dekady

Jak czytamy w najnowszym raporcie Fundacji EWL oraz Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, prawie połowa Ukraińców przebywających obecnie w Polsce planuje starać się o pobyt stały lub tymczasowy.

Rosyjska inwazja uruchomiła nad Wisłą wiele procesów, nad którymi władze już nie panują. Wybuch wojny doprowadził nie tylko do napływu miliona uchodźców, lecz także do zmiany nastrojów wśród Ukraińców, którzy przyjechali jeszcze przed wojną – w obliczu ostatnich wydarzeń coraz częściej przyznają, że nie mają zamiaru wracać do ojczyzny. Już w ze-

liczba obcokrajowców podejrzanych o przestępstwa wzrosła trzyipółkrotnie: z 3,5 tys. w 2013 r. do 12,4 tys. w ubiegłym roku. Ukraińców w złym świetle stawia przede wszystkim kwestia prowadzenia po alkoholu – przybysze z Ukrainy odpowiadają za ok. 70 proc. tych przestępstw wśród cudzoziemców. Nie mniejsze problemy są jednak z Gruzinami, którzy zaczęli organizować się w szajki i w statystykach „wiodą prym” w kradzieżach i rozbojach.

Masowa imigracja kusi rządzących wizją taniej siły roboczej i słupkami na ekonomicznych wykresach, jednak wiąże się z czymś, czego nie sposób wycenić – utratą stabilności i bezpieczeństwa. Fundamentalnym problemem nie jest imigracja jako taka, tylko jej nagły i masowy charakter, który uniemożliwia dobrowolną i naturalną polonizację przybyszy. Nie istnieje coś takiego, jak naród jednolity pod względem pochodzenia jego członków, i każda wspólnota „buduje się” częściowo na przybyszach, jednak naczelnym warunkiem musi być ich dobrowolna asymilacja.

Zwłaszcza że ten medal ma drugą stronę – już teraz nie ma dnia, aby o imigrantach nie pojawił się jakiś fake news, który ma nastawiać obie społeczności przeciw sobie. Do tej pory nie dochodziło do większych zamieszek na tym tle, jednak to raczej kwestia czasu.

Kilka tygodni temu było głośno o sytuacji w Poznaniu, gdzie kilkoro młodych Ukraińców miało napadać na przypadkowe osoby. W odpowiedzi skrzyknęła się grupa kibiców Lecha, która chciała rozwiązać sprawę na własną rękę. Jakby tego było mało, Młodzież Wszechpolska zorganizowała patrol, który miał strzec miejsc, gdzie dochodziło do napadów. Sprawa miała dość nietypowy finał – pewnego dnia na facebookowym profilu kibiców z sekcji „Grunwald” pojawiło się nagranie, na którym trzech Ukraińcy prze-prosili za swoje zachowanie i zaapelowali do rodaków, aby „zachowali spokój”. Tym razem sprawa zatem rozeszła się po kościach, trudno jednak nie mieć wrażenia, że siedzimy na beczce prochu.

PARTIA UKRAIŃSKA?

14 kwietnia 2023 r. Sejm przegłosował zmianę ustawy o służbie cywilnej, co spowodowało uelastycznienie zatrud-

Nie ma dnia, aby o imigrantach nie pojawił się jakiś fake news, który ma nastawiać obie społeczności przeciw sobie.

Do tej pory nie dochodziło do większych zamieszek na tym tle, jednak to raczej kwestia czasu

niania cudzoziemców m.in. w ministerstwach i urzędach wojewódzkich.

– Dla dyrektorów generalnych może to być kłopotliwe, bo przepisy są nieostre. Łatwo narazić się na zarzut, że dopuścili cudzoziemców do pracy na stanowiskach, które nie powinny być dla nich przeznaczone – komentował w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną” Robert Barabasz, przewodniczący NSZZ „Solidarność” w Urzędzie Wojewódzkim w Łodzi. Dodał, że jeżeli okaże się, iż zatrudniony w urzędzie obcokrajowiec działał na rzecz obcych służb, to winę poniesie osoba odpowiedzialna za politykę kadrową.

To kolejny krok, który potwierdza, że rząd nie traktuje imigrantów jako tymczasowych gości, ale trwały element polskiego krajobrazu społecznego. Dla czego Zjednoczona Prawica zdecydowała się na taką nowelizację? Odpowiedź jest prosta – brakuje wykwalifikowanych pracowników, którzy chcieliby podjąć pracę w urzędach. Cudzoziemcy mają rozwiązać ten problem. Odkąd rozpoczęła się rosyjska inwazja, coraz częściej słyszymy o takim instrumentalnym traktowaniu migrantów. To migranci wypełnią lukę na rynku pracy, migranci uratują demografię, migranci postawią na nogi system emerytalny...

W związku z wtłoczeniem w polski organizm ponad miliona uchodźców społeczność ukraińska nad Wisłą wzrosła do 3 mln. Ta diametralna zmiana została przez wielu intelektualistów przywitana entuzjastycznie – jako szansa na odbudowę wielonarodowej I Rzeczypospolitej i zbudowanie regionalnego mocarstwa. Publicysta „Sieci” Marek Budzisz pisał o powołaniu federacji polsko-ukraińskiej, Tomasz Terlikowski przekonywał, że wieloetniczna Rzeczpospolita mogłaby być spoiwem nowoczesnego konserwatyzmu, a prezydencki doradca prof. Andrzej Zybortowicz dywagował nad

tym, czy koncepcja unii polsko-ukraińskiej „nie mogłaby być wspaniałą przygodą (sic!) dla pokolenia młodych ludzi”.

Najdalej w tego typu fantazjach poszedł jednak były ambasador na Łotwie i w Armenii – Jerzy Marek Nowakowski, który postulował, aby uchodźcy nie asymilowali się z Polakami, aby ich dzieci i wnuki nie stały się Polakami, tylko żeby się „integrowali”, zachowując swoją narodową tożsamość, a nawet wzmacniając ją poprzez tworzenie wielu organizacji stricte ukraińskich separujących obie społeczności. Przytaczam tutaj pomysł Nowakowskiego, ponieważ nie jest wykluczone, że na naszych oczach obserwujemy w jakimś zakresie realizację właśnie takiego scenariusza. Mówimy o trzymilionowej społeczności. Skoro polskie władze nie potrafią sformułować żadnych ram dotyczących ich dalszego losu, to nie można wykluczyć, że sami zaczęną organizować się w swoim własnym gronie.

Liczebność mniejszości ukraińskiej w Polsce powoduje, że w naturalny sposób pojawi się pokusa politycznego zorganizowania się i zdyskontowania swojej pozycji. Polsko-ukraińska aktywistka Natalia Panczenko pytana już kilka miesięcy temu w rozmowie z RMF FM, czy powinna powstać ukraińska partia w Polsce, przyznała: „Ktoś powinien nas reprezentować”. Nawet jeżeli przyjmemy, że tylko połowa z 3 mln Ukraińców to ludzie pełnoletni, to i tak ewentualna siła wyborcza takiej grupy – jeżeli oczywiście sami Ukraińcy uzyskaliby obywatelstwo polskie, a zarazem prawa wyborcze – byłaby olbrzymia.

Dla przykładu: w 2015 r. ruch Pawła Kukiza (trzecia siła w Sejmie) miał mniejszą liczbę głosów (1,3 mln) od tej, którą mogą dysponować Ukraińcy. Marek Migalski na łamach „Wyborczej” sugerował, że taka partia mogłaby liczyć nawet na 15 proc. poparcia. Opłakane konsekwencje dla stabilności społecz-

nej i politycznej wydają się oczywiste. Partia ukraińska, gdyby doszło do jej powstania, stałaby się koniecznym koalicjantem i znacząco ważyłaby na polityce rządu. Choćby kryzys zbożowy pokazuje, że interesy Polski i Ukrainy często będą ze sobą kolidować. Pytanie o to, czyją stronę w obliczu takiego konfliktu weźmie partia ukraińska, jest raczej retoryczne.

Warto też zwrócić uwagę, że Ukraińcy mogą czuć się po prostu dyskryminowani, jeżeli osiadą na stałe w Polsce, a nadal – przy całej swojej liczebności – będą pozbawieni praw wyborczych. Będzie to o tyle dotkliwe, że na poziomie lokalnym już dzisiaj mogą w polskich wyborach uczestniczyć cudzoziemcy, o ile są obywatelami państwa Unii Europejskiej (muszą być jedynie wpisani do stałego rejestru wyborców prowadzonego przez gminę). Może zatem dojść do sytuacji, gdy lokalne władze w Polsce będzie mógł wybierać np. przedstawiciel marginalnej społeczności Portugalczyków w naszym kraju, ale jednocześnie tego przywileju pozbawiony będzie Ukrainiec z numerem PESEL. Ta sytuacja musi potęgować chaos i niechęć pomiędzy dwoma narodami.

Były rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar apelował już wiele miesięcy temu, aby pozwolić Ukraińcom głosować w wyborach samorządowych. „Obywatele Ukrainy uczestniczą w życiu społeczności lokalnej, pracują, płacą podatki, wychowują dzieci. Nie ma powodu, by nie mieli mieć wpływu na wybór władz lokalnych” – pisał na łamach „Wyborczej”. Rzecz w tym, że nie dyskutujemy o jakiejś abstrakcyjnej grupie ludzi albo o marginalnej grupce obcokrajowców uczestniczących w życiu lokalnej wspólnoty, tylko o 3 mln Ukraińców, z których prawie połowa ma status uchodźcy, a więc jest niejako „w zawieszaniu” i docelowo powinna wrócić do własnego kraju. Przyznawanie im prawa do głosowania w wyborach nie tylko utrwala wspomniany na początku węzeł gordyjski, lecz także otwiera furtkę do kolejnych roszczeń.

PAŃSTWO DWUNARODOWE

Fundamentalna różnica między państwem narodowym a pozostałymi modelami organizacji życia społecznego polega na tym, że ten pierwszy moduł

opiera się na zasadzie wspólnotowej, czyli dysponujemy jasnym wskazaniem podmiotu odgrywającego rolę gospodarza. Modele wielonarodowe albo anarodowe odrywają się od tegoż rozróżnienia gospodarz – gość, przez co władza zostaje wystawiona na łup wąskich elit, kosmopolitycznych oligarchii, wielkich organizacji i korporacji.

Oczywiście samo pojęcie narodu może być różnie definiowane. W polskiej tradycji intelektualnej zazwyczaj było ono rozumiane dość szeroko i inkluzywnie w oderwaniu od wszelkich genetycznych konotacji i deterministycznej demagogii. Dlatego nie jest problemem imigracja, tylko to, że jej dynamiczny charakter uniemożliwia dobrowolną polonizację przybyszów. W normalnych warunkach dzieci i wnuki migrantów byłoby już „normalnymi” Polakami, jednak w warunkach modelu „integracyjnego”, który prowadzi do gettoizacji Ukraińców, wszelka asymilacja będzie bardzo utrudniona.

(polskie, ukraińskie, żydowskie), zamach na Pierackiego, zwycięstwo i zabójstwo Narutowicza, destabilizacja kraju etc. Nawet jeżeli obecne czasy diametralnie się różnią od międzywojnia, to jest to po stokroć bardziej adekwatne porównanie niż czasy I Rzeczypospolitej.

Z przywołanych wcześniej badań LAB badawczego Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Ekonomiczno-Humanistycznej w Warszawie wynika, że w ostatnich miesiącach zdecydowanie wzrosła liczba osób domagających się, by Ukraińcy wrócili do swego kraju po zakończeniu wojny – na przełomie maja i czerwca taką opinię wyrażało ok. 70 proc. Polaków. Biorąc pod uwagę, że z biegiem czasu ten trend prawdopodobnie będzie się jedynie nasilał, można postawić tezę, że rządzący przygotowali grunt pod budowę dwunarodowego państwa wbrew własnym intencjom i wbrew własnemu społeczeństwu.

Przytaczane w niniejszym tekście badania i sondaże dowodzą, że Polacy na-

Już 70 proc. Polaków domaga się, by Ukraińcy wrócili do swojego kraju. Można postawić tezę, że rządzący przygotowali grunt pod budowę dwunarodowego państwa wbrew własnym intencjom i wbrew własnemu społeczeństwu

Zwolennicy rozwiązania antyasymilacyjnego bagatelizują całkowicie ahistoryczny charakter swych rozważań. Zapominają, że I Rzeczpospolita była „wielonarodowa” jedynie z nazwy, gdyż w epoce przednowoczesnej masowe narody, rozumiane jako wspólnoty oparte na dziedzictwie historii, kultury i języku, po prostu nie istniały. Zupełnym nieporozumieniem jest zrównywanie obecnej egalitarnej struktury narodowej z niezwykle skomplikowaną mozaiką tożsamościową sprzed pół tysiąca lat (!), o której charakterze decydowała feudalna stratyfikacja społeczna.

W czasach współczesnych model wielonarodowy był już raz testowany na polskich ziemiach – po odzyskaniu niepodległości, gdy ok. jednej trzeciej obywateli należało do mniejszości narodowych. Rezultatem tego były grasujące bojówki

dal opowiadają się za pomocą Ukrainie, jednocześnie jednak odmawiają unieważnienia fundamentalnego rozróżnienia tego, kto w Polsce jest gospodarzem, a kto gościem w potrzebie. Niestety, dopóki za wschodnią granicą toczy się wojna, dopóty narodowościowa aporia pozostaje w mocy. Wydaje się, że jedynie zakończenie konfliktu rosyjsko-ukraińskiego mogłoby przybliżyć nas do wypracowania jakiegokolwiek rozwiązania w sprawie uchodźców. Bez względu na złożoność problemów od rządu i opozycji powinniśmy wymagać długofalowego planu, jak rozwiązać obecny węzeł gordyjski. Pierwszym krokiem mogłoby być choćby przyznanie przez polskie władze, że taki problem w ogóle istnieje. Zignorowanie tego zagadnienia będzie miało opłakane skutki nie tylko dla Polaków, lecz także samych Ukraińców.



żyć jak Ukrainiec w



Zuzanna Dąbrowska

Wsparcie socjalne, liczne inicjatywy kulturowe, swoboda w celebrowaniu własnej historii i tożsamości. Polska jest dziś bezpiecznym schronieniem i dobrym miejscem do życia dla licznej mniejszości ukraińskiej

Stworzenie homogenicznego i bezpiecznego środowiska dla najmniejszych i najbardziej bezbronnych ludzi. Dzieci otoczone swoim językiem, swoimi zwyczajami, znanymi

sobie gestami, dźwiękami, piosenkami i zabawami mogą poczuć się u nas swobodnie i bezpiecznie” – tak o swojej działalności pisze ukraińskie niepubliczne przedszkole Małeńka Kraina, które funkcjonuje od października 2022 r. w Szczecinie. Placówka powstała jako inicjatywa oddolna. Korzysta z subwencji oświatowej. Do przedszkola uczęszcza 75 dzieci z rodzin uchodźców. Zatrudnieni są w nim Ukraińcy. Założyciele placówki podkreślają, że nie chcą się odcinać od otoczenia, ale z nim integrować. W tym celu zorganizowali piknik integracyjny dla sąsiadów, warsztaty dla dzieci z sąsiedztwa oraz wieczorki degustacyjne kuchni ukraińskiej. Wskazują, że dopiero nabierają rozpędu.

To jedna z wielu inicjatyw, które powstały po agresji Rosji. Straż Graniczna podaje, że od 24 lutego 2022 r.

granice polsko-ukraińską przekroczyło ponad 14,58 mln uchodźców z Ukrainy, głównie kobiet i dzieci. Jednocześnie od początku wojny do ojczyzny wróciło 12,834 mln osób. Dokładną liczbę uchodźców określić trudno, ponieważ część z nich jedynie przejeżdża przez Polskę, jadąc na zachód Europy. Ruch cały czas trwa. Tylko przez jedną dobę – 14 sierpnia – przybyło do nas 34 tys. uciekinierów wojennych. Większość Ukraińców przebywa w Polsce, korzystając z ochrony czasowej, czego potwierdzeniem jest możliwość uzyskania numeru PESEL. Możliwe jest też założenie Profilu Zaufanego. Od czerwca w aplikacji mObywatel uchodźca z Ukrainy może dodać elektroniczny dokument Diia.pl, czyli dokument potwierdzający pobyt na terytorium Polski i umożliwiający podróżowanie w ramach Unii Europejskiej, a także



Protest przed ambasadą Rosji w Warszawie, 17 lipca 2022 r.

FOT. PAWEŁ WIOZYSKI/EAST NEWS

Polsce

przekraczanie jej granic zewnętrznych. W skrócie: cyfrowe pozwolenie na pobyt, które jest wykorzystywane np., by zapisać dziecko do lekarza.

SZKOŁA PO UKRAIŃSKU

Aparat państwa stoi frontem do uchodźców. Portal gov.pl ma swoją wersję ukraińską – „Stronę dla obywateli Ukrainy” – a tam wszystkie najważniejsze informacje: „uzyskaj numer PESEL; pomóż prawną; uzyskaj jednorazowe świadczenie pieniężne”. Chodzi o 300 zł, które uciekinier wojenny można otrzymać na pokrycie pierwszych, najpilniejszych wydatków. „Dowiedz się, jak to zrobić – instruktażowy film wideo” – z tego nagrania Ukrainiec uzyska informacje, dokąd się udać i jakie dokumenty złożyć. Jednak 300 zł na początek to niejedyny świadczenie socjalne, jakie może uzyskać uchodźca. „500+»

przysługuje Ci na dziecko do ukończenia przez nie 18 lat, gdy jesteś obywatelem Ukrainy albo małżonkiem obywatela Ukrainy, który po 23 lutego 2022 r. przybył wraz z dzieckiem z Ukrainy do Polski w związku z działaniami wojennymi” – wskazano na stronie rządowej. Od stycznia będzie to już 800 zł miesięcznie.

Przybysze mogą też uzyskać wsparcie w ramach Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego. To w sumie 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko od ukończenia 12. do 36. miesiąca życia. Warunkiem, podobnie jak w przypadku „500+”, jest przekroczenie granicy w związku z rosyjską agresją. Urzędy największych miast w Polsce, m.in. Warszawy, Wrocławia i Poznania, udostępniają usługi w języku ukraińskim. Standardem jest strona internetowa po ukraińsku. Rządziej funkcjonują specjalne infolinie oraz godziny przyjęć w tym języku.

Rok szkolny w ukraińskich szkołach, działających w Warszawie, Krakowie oraz we Wrocławiu, ukończyło w maju 15 562 uczniów. „Nauka według zwykłego programu, ze znanymi przedmiotami, łączy ich z domem. Przedmioty są nauczane przez ukraińskich nauczycieli w zrozumiałym dla nich języku – stwarza to atmosferę stabilności, której pilnie potrzeba teraz. Program ukraiński zapewnia ciągłość procesu edukacyjnego – nie ma potrzeby dostosowywania się do języka obcego i nowego programu” – informuje fundacja Niezniszczalna Ukraina, która dofinansowanie na placówki, funkcjonujące od marca 2022 r. otrzymała z UNICEF i Save the Children International. W minionym roku szkolnym fundacja otworzyła w 12 polskich miastach oddziały przygotowawcze Szkoły Przyszłego Pierwszoklasisty – zerówki dla dzieci, które we wrześniu pójść do pierwszej klasy (skorzystało z nich 1,2 tys. dzieci) oraz klasy przygotowawcze do NMT, czyli Krajowego Testu Wieloprzedmiotowego (110 uczniów). NMT to tymczasowa forma oceniania, wprowadzona zamiast ZNO (Nieależny Test Zewnętrzny) dla najstarszych uczniów, którzy kończą szkołę średnią, stanowiąca odpowiednik polskiej matury. W placówkach tych zatrudnienie znajdują ukraińscy nauczyciele. W maju 2022 r. było to 65 osób, a w 2023 r. już 194. Od września za naukę trzeba będzie

płacić, ponieważ środki od darczyńców są na wyczerpaniu.

Najmłodsi Ukraińcy mogą też edukować się (w zakresie własnej kultury) w polskim kinie. Film animowany „Mavka i strażnicy lasu” to produkcja z 2023 r., która została zainspirowana „Pieśnią lasu” poetki Łesi Ukrainki, uznawanej za jedną z najwybitniejszych postaci ukraińskiej literatury (jej wizerunek znajduje się m.in. na banknotach o nominale 200 hrywien). Film w oryginale jest emitowany w sierpniu w wielu większych i mniejszych miastach kraju.

KONKURENCJA W BIZNESIE

Na facebookowych grupach dla Ukraińców najwięcej jest ogłoszeń dotyczących mieszkania oraz pracy. Pracowników szukają tam zarówno Polacy, jak i Ukraińcy prowadzący firmy: „Praca przy naprawie wagonów kolejowych. Stawka 30 zł/h netto”; „Dam pracę stolarzowi”; „Zatrudnię szwaczki. Warszawa”; „Potrzebni ślusarze (praca z elektronarzędziami i obsługa maszyn). Stabilna praca pod dachem na cały rok!”. Polski Instytut Ekonomiczny wyliczył, że w 2022 r. Ukraińcy założyli w Polsce blisko 16 tys. jednoosobowych działalności gospodarczych, czyli 6 proc. wszystkich założonych działalności. Tymczasem w pierwszym półroczu tego roku przybyło ich blisko 14 tys. Oznacza to, że niemal co 10. zakładana w Polsce firma była ukraińska. „Od wybuchu wojny w Ukrainie do końca czerwca 2023 r. w bazie CEIDG zarejestrowano 29,4 tys. ukraińskich jednoosobowych działalności gospodarczych. Wśród branż dominują budownictwo, informacja i komunikacja, a także usługi” – podaje PIE.

Z biznesami pod szyldem „ukraińskie” bywa różnie. Wkrótce po wybuchu wojny na warszawskiej Pradze działalność rozpoczęła restauracja Garmaż od Ukrainek. Miejsce było reklamowane jako „nowy koncept pomocowy”. W lokalu zatrudniono uciekinierki wojenne, a pomysłem był pilotażem. Informowano, że w planie jest otwarcie kolejnych punktów. „W tych tragicznych i heroicznych dla Ukrainy dniach wyprawa na ul. Kijowską jest obowiązkiem każdego warszawskiego rodaka [...]. Jeszcze niedawno w swojej ojczyźnie były ekspedientkami, przedszkolankami, pracowniczkami zakła-

dów mięsnych, prowadziły normalne, codzienne życie, zburzone teraz przez rosyjskich najeźdźców. Z ojczyzny wypędziła je wojna. Trudno o bardziej dobitne potwierdzenie prawdy, że poprzez posiłek tworzymy wspólnotę i wyrażamy zbiorowe emocje” – zachwalał Garmaz krytyk kulinarny, Maciej Nowak. Tymczasem w lutym restauracja przeszła rebranding i stała się Kuchnią za Ścianą. Po wschodnich smakach nie zostało nic.

Jeszcze krócej działała ukraińska restauracja w Katowicach, która serwowała gościom m.in. czebureki. Po zaledwie 2,5 miesiąca lokal zamknięto. Właściciele SOMI – Ukraińcy – poinformowali, że powodem był opiewający na kwotę 16 tys. zł rachunek za prąd. „Wierzmy, że już niedługo będziemy dalej przygotowywać dla Was najsmaczniejsze czebureki, więc się nie żegnamy, a mówimy do zobaczenia!” – pisali w grudniu. Na razie się nie udało.

Uwagę mediów przykuła także ukraińska restauracja Kalyna w Lublinie, jednak z powodów innych niż finansowe. Jeszcze przed jej otwarciem w lutym tego roku sieć zalała fala komentarzy, w których oburzeni internauci nie tylko krytykowali kolorystykę lokalu (czerwono-czarna; takie kolory ma flaga używana przez banderowców), lecz także wskazywali, że Kalyna kojarzy się z „Czerwoną kalyną”. Chodzi o patriotyczną pieśń, napisaną w 1911 r. przez poetę Stepana Czarnieckiego jako pieśń do spektaklu pt. „Słońce ruin”, tragedii historycznej poświęconej hetmanowi Doroszenko, XVII-wiecznemu przywódcy Kozaków. Stała się ona hymnem Ukraińskich Strzelców Siczowych, legionu walczącego podczas pierwszej wojny światowej u boku Austro-Węgier. Z ukraińskiej Wikipedii dowiadujemy się, że pieśń była wykonywana przez banderowców, a w świadomości wielu funkcjonuje nawet jako „hymn UPA”. Na stronie ukraińskiego „Kuriera Rządowego” czytamy, że „Czerwona kalyna” była popularna wśród oddziałów powstańczych w latach 40. XX w., a później także w czasie rewolucji na Majdanie. Dziś jest śpiewana jako symbol oporu wobec Rosji. Kontrowersje nie przeszkodziły młodemu właścicielowi. Lokal Romana Krasowskiego i Władysława Minicha funkcjonuje z powodzeniem do dziś.

Gdyby komuś było mało ukraińskich przysmaków, po obiedzie w ukraińskiej restauracji (które działają we wszystkich największych miastach kraju) można udać się na zakupy do ukraińskiego sklepu. Jeszcze przed 24 lutego 2022 r. takich punktów było sporo, a po rosyjskiej agresji tylko ich przybyło. W stolicy np. działają trzy oddziały sieciówki Best Market – Ukraiński Sklep Spożywczy. W ofercie są przede wszystkim charakterystyczne dla naszego południowo-wschodniego sąsiada produkty – sało, czyli słonina w przyprawach, tamtejsze wódki, suszone ryby, wekowana solianka i cała gama słodkości marki Roshen (założonej przez oligarchę i byłego prezydenta Petra Poroszenkę).

SPEKTAKLE I ŚWIĘTOWANIE

Było coś ukraińskiego dla ciała, to teraz coś dla ducha. Na przykład spektakl. W Warszawie od kilku miesięcy działa Teal House, czyli centrum kulturalne, stworzone przez znanego rosyjskiego dramaturga Iwana Wyrupajewa. Reżyser, który nie tylko został zaocznie aresztowany przez moskiewski sąd, lecz także zrzekł się rosyjskiego obywatelstwa, uruchomił na Saskiej Kępie miejsce dla uchodźców z Ukrainy – w willi z urokliwym ogrodem, w której kiedyś działała ambasada Malezji. Dziś to miejsce twórcze, w którym pali się kadzidełka, praktykuje jogę, spożywa „slow breakfast” i ogląda spektakl „Mahamaya electronic devices”.

„Wiele moich sztuk było wystawianych w Kijowie i bardzo dobrze znam ukraińskich artystów. Kiedy wybuchła wojna, zaczęli się do nas zgłaszać. Pomagaliśmy, wspieraliśmy, jak mogliśmy. A potem pomyśleliśmy, że ludzie z Ukrainy nie tylko potrzebują jedzenia czy dachu nad głową, lecz także muszą poukładać sobie życie. Dzieci i młodzież muszą się normalnie rozwijać, mimo wojennej traumy” – opowiadał Wyrupajew w rozmowie z „Wyborczą”. „Od dawna obserwujemy, jak destabilizująco na nas wszystkich działają problemy współczesnego świata: wojny, pandemia, kryzys ekonomiczny, zagrożenie katastrofą klimatyczną. Wielu z nas szuka narzędzi, które pomagałyby się z tymi problemami mierzyć [...] Założyliśmy więc centrum integralnego rozwoju, w którym chodzi

o rozwój w trzech obszarach: fizycznym, intelektualnym i duchowym” – wyjaśnił.

„Mahamaya electronic devices” jest wystawiane tylko w językach ukraińskim oraz rosyjskim. Teal House to miejsce na wskroś alternatywne, o rysie lewicowo-liberalnym. Niedawno udział w jednym z wydarzeń brali Adam Michnik oraz Jerzy Skolimowski.

Wydarzeń pod barwami niebiesko-żółtymi można spodziewać się w okolicach 24 sierpnia. Tego dnia Ukraina obchodzi Dzień Niepodległości. W minioną sobotę obchody w stolicy zorganizowało Centrum Wielokulturowe. Przygotowano jarmark ukraińskiego rękodzieła oraz warsztaty gotowania barszczu. W czwartek na placu Zamkowym w Warszawie odbędzie się wiec, podczas którego zostaną wręczone po raz pierwszy nagrody ukraińskiego społeczeństwa obywatelskiego dla Polaków, którzy wspierają Ukraińców – Stand with Ukraine Awards. Zaplanowano też koncert z udziałem ukraińskich zespołów. Z kolei na piątek zapowiedziany został charytatywny koncert „Wielka przyszłość Ukrainy” z udziałem ukraińskich dzieci i zawodowych muzyków. W ramach koncertu przewidziano uroczystą, biletowaną kolację.

Ukraińcy w Koszalinie będą świętować w sobotę. W tamtejszym amfiteatrze także odbędzie się koncert charytatywny. „Czeka na was wspaniały świąteczny program. Kompozycje muzyczne oraz choreograficzne podarują nam wielkie emocje, cudowny nastrój oraz niezapomniane wrażenia” – zapewniają organizatorzy, czyli stowarzyszenie Majsternia i Związek Ukraińców w Polsce.

Działanie dużej i dobrze zorganizowanej mniejszości ukraińskiej w Polsce, choć na razie z pewnością nie na masową skalę (być może jeszcze), staje się zarzewiem pojedynczych sporów. W marcu na krakowskim rynku protestowali Ukraińcy, których bliscy przebywają w rosyjskiej niewoli. Uczestnicy protestu mieli ze sobą transparent z napisem: „Ołeniwka” (ukraińska wieś w obwodzie chmielnickim, w której Rosjanie utworzyli tzw. obóz filtracyjny dla członków Pułku „Azow”). Problem w tym, że miał on barwy czerwono-czarne, czyli odwołujące się do zbrodniczego wobec Polaków ukraińskiego nacjonalizmu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zapraszamy na nowy, cotygodniowy program w Telewizji Republika.
Redaktor Aleksander Wierzejski sprawdzi dla Państwa,
jak o bieżącej sytuacji w Polsce piszą najważniejsze media
naszych sąsiadów.



Przegląd Prasy Niemieckiej

DAS PROGRAMM WIRD VON ALEKSANDER WIERZEJSKI MODERIERT

sed do eiusmod tempor incididunt ut labore et dolore magna aliqua.

So sieht eine gute TV-Show aus

WAS IN DER DEUTSCHEN PRESSE
POLEN UND POLEN GESCHRIEBEN

piątek
19:45



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

46296199ab

Polowanie na symetrystów



FOT. ADOBE STOCK

Dwa miesiące przed wyborami medialno-eksperskie zaplecze PO i jej satelitów zachowuje się tak, jakby już szukało winnych przegranej. Najbardziej zagorzały partyjny antypisowski „beton” oskarża „symetrystów” – to znaczy tych, którzy rozwadniają jedynie słuszny, „totalnie” opozycyjny przekaz, że Zjednoczona Prawica to czyste, absolutne zło. Ci drudzy bronią się, że, przeciwnie, to właśnie nadmierny radykalizm i sekciarstwo w stylu Lisa czy Giertycha odstraszały wyborców od „obozu demokratycznego”, zwłaszcza odkąd na liczącą się i również niechętną PiS alternatywę dla partii lewicowo-liberalnych wyrosła

*Rafał A. Ziemkiewicz*

Demaskowanie „symetrystów” to zajęcie nie tylko anonimowych hejterów, lecz także opozycyjnych „autorytetów” z nazwiskami i tytułami

Konfederacja. Na razie głównym polem starcia jest Internet; mówiąc ściślej, jego lewa strona. Jednak milczenie i wyraźna bezradność polityków opozycji wobec terroryzującego ich zaplecze hiperradykalizmu każą spodziewać się rychłego przeniesienia sporu także do „realu”.

Przykładem tej bezradności służy przypadek Sławomira Nitrasa. Nikt zapewne nie spodziewałby się, że celem ataku nieprzejeźdźnych może stać się poseł od lat pełniący w PO funkcję „pokładowego brutala”, znany głównie z zapowiedzi „opiłowywania katolików z przywilejów”

i ostrych, często nawet fizycznych napaści na polityków PiS. Jednak w sekciarskim sposobie myślenia role nigdy nie są rozdane na sztywno: znienawidzony „faszysta” może z dnia na dzień stać się autorytetem i guru, jak Giertych, a hołubiony beniaminek równie nagle bywa ogłoszony zdrajcą i agentem Kaczyńskiego, jak zdarzyło się to Szymonowi Hołowni.

Czytelnikowi, który nie przygląda się zbyt uważnie mediom społecznościowym, należy się informacja, że zorganizowały się tam swoiste bojówki: grupy liczące sobie co najmniej po kilka tysięcy aktywnych internetowych bytów. Ile osób realnie zaangażowanych jest w ich działalność, ilu z nich jest pracownikami wyspecjalizowanych w sieciowej propagandzie agencji, a ilu to autentyczni zapaleńcy, którzy „walce” w Internecie poświęcili się po upadku nadziei wiązanych z KOD, Obywatelami RP i Strajkiem Kobiet – nie sposób powiedzieć. Prawdopodobnie każdy z zaangażowanych prowadzi po kilka, kilkanaście kont pod różnymi pseudonimami, bez wątpienia spędzają oni na wpisywaniu komentarzy i klikaniu w „lajki” wiele godzin dziennie, skrzykują się błyskawicznie i powielają różnymi słowami zbieżne przekazy – na ludziach nieorientowanych są w stanie zrobić wrażenie jednoznacznego potępienia lub aplauzu „wszystkich”. Z uwagi na politykę „Iksa” (do niedawna Twittera), opartą na założeniu, że w sieci nie ma złego ruchu i usuwanie treści brutalnych czy zgoła przestępczych należy ograniczyć do minimum, upodobałi sobie właśnie to forum.

WOJNY TROLLI

Politycy „opozycji demokratycznej”, na czele z tymi z pierwszych stron gazet, szybko polubili twitterowe bojówki – zajęły one miejsce osławionego hejterskiego portalu „Sok z buraka” (który wygasł działalność, kiedy okazało się, że wbrew przekonaniu jego twórcy, Mariusza Kozak-Zagody, umieszczenie portalu na serwerach brytyjskich nie chroni go przed odpowiedzialnością karną za zniesławienia i pomówienia). Konta hejterów są obserwowane i podawane przez promientów PO i Lewicy, co pozwala łatwo i bezkarnie kolportować im w swojej „bańce” najgrubsze nawet fejki, oskarżenia i odczłowieczające obelgi, stale się stamtąd wylęgające.

Najstarszą i najaktywniejszą z owych bojówek stanowi zbiór kont posługujących się wspólnym hashtagiem #SilniRazem, znaczącą konkurencję zrobił im jednak Roman Giertych, organizując własną, analogiczną „Sieć na wybory”. Ta druga jest o tyle skuteczniejsza, że tworzące wspólnotę konta, nie używają żadnych wyróżników i udają „zwykłych” internautów. Sukcesy sieci Giertycha, którymi on sam bardzo się chwali, polegają głównie na zbiorowym „plusowaniu” wymyślanych przez niego codziennie nowych hashtagów w rodzaju #JarekPrzegra, #PiSłodziej, #PiSbedziecieSiedzieć etc. – tak, by interfejs „Iksa” pokazywał je na pierwszym miejscu w tzw. trendach dnia. Przypomina to stare zabawy internautów z wyszukiwarką Google, w której zorganizowane grupy użytkowników sprawiały, do czasu, aż Google zdołał im to uniemożliwić, że po wpisaniu np. wulgarnej obelgi na pierwszym miejscu wyskakiwało nazwisko polityka.

Nie wydaje się to, najdelikatniej mówiąc, działalnością poważną ani mogącą cokolwiek konkretnego sprawić – a jednak. Kiedy podano wiadomość, że na tegorocznym Campus Polska Trzaskowskiego odbędzie się dyskusja z udziałem „symetrystów” Marcina Meller, Dominiki Sitnickiej, Grzegorza Sroczyńskiego i Jana Wróbla, „Silni Razem” zakpieli i przystąpili do brutalnego uświadamiania organizatorom, że „demokraci” nie życzą sobie na swojej imprezie programowej takich osób sięjących „miazmaty” i defetyzm.

Wkrótce potem jeden z najbardziej aktywnych na „Iksie” hejterów grupy, Adam Abramczyk (nie wiem, czy to prawdziwe nazwisko), poskarżył się, że kiedy napisał „prawdę” o wpuszczaniu na kampus zdrajców i symetrystów, poseł Nitrasy „odfłochał” jego konto, to znaczy przestał je „obserwować”. Po tym wpisie runęła na Nitrasy fala krytyki, nie tylko anonimowej – m.in. gen. Pytel, były szef kontrwywiadu z czasów rządów Tuska, znany z głoszenia spiskowych teorii o „zainstalowaniu” w Polsce rządów PiS przez Putina, oznajmił demonstracyjnie, że skoro Nitrasy przestał „Adama” (tak nazywa się konto aktywisty) obserwować, to on, Pytel, zaczyna. Nitrasy poczuł się zmuszony do wyjaśnienia: w poście do Adama oznajmił, że „odfłochał” go nie z powodu krytyki „symetrystów”, z którą się zgadza, tylko dlatego, że

upowszechnia hejt i posługuje się „mową nienawiści”. To dopiero wywołało prawdziwą wściekłość internetowych trolli – oni wszak nie hejtują, oni demaskują faszystów i złodziei z PiS, „mowy nienawiści” używa z definicji tylko władza: zasypywany obelgami Nitrasy pękł i publicznie odciał się od swojej wcześniejszej wypowiedzi, przepraszając „Adama”.

KTO SIĘ BOI KUNDELKÓW

Niby nie ma w tej historii niczego, z czym nie stykaliśmy się wcześniej – ale jednak stanowi ona pewien przełom: po raz bój pierwszy tak skutecznie zdołali internetowi hejterzy zdyscyplinować polityka z „realu”. To z kolei wywołało konsternację wśród będących źródłem całego zamieszania „symetrystów”. Grzegorz Sroczyński poświęcił sprawie znaczną część swojej audycji w TOK FM, wspólnie z Marcinem Mellerem i Esterą Flieger krytykując rozpanoszenie się po stronie „demokratycznej” opozycji antypisowskich inkwizytorów, terroryzujących środowiska lewicowo-liberalne ciągłym wyszukiwaniem i denuncjowaniem nieprawomyślności albo niedostatecznego entuzjazmu. To, że poważni politycy dają się im „ustawiać” i nie mają odwagi odciąć się od ich radykalizmu, gorzej, przepraszają publicznie, że mieli śmiałość skrytykować, uznali „symetryści” za objaw upadku opozycji i prawdopodobną przyczynę możliwej przegranej w wyborach.

W rozmowie tej internetowe bojówki określone zostały mianem „ujadających kundelków” (z wymianą na „ratlerków”), co oczywiście wzbudziło oburzenie wiernych słuchaczy radia oraz falę zapowiedzi, że skoro radio przestało być „demokratyczne”, wyrejestrowują oni abonamenty jego strony internetowej. Reakcją szefowej radia był unik: odmówiła komentarza, tłumacząc, że jest na urlopie i audycji nie słuchała. Ale dwa dni później serwis „Press” podał, że Grzegorz Sroczyński już w radiu Agory audycji prowadzić nie będzie i przenosi się do innej stacji. Przyczyn oficjalnie nie podano.

To tylko jeden z wielu przejawów narastającego w „obozie demokratycznym” polowania na „symetrystów”. Swoją walkę toczy z nimi, przy pomocy wspomnianej już sieci, a także swojego internetowego prokurenta Jana Pińskiego, prowadzącego portalik wiesci24.pl, wspomniany już

■ Roman Giertych. Oczywiście dla Giertycha i Pińskiego głównym kryterium „symetryzmu” jest przeciwstawianie się jego startowi do Senatu, wbrew „paktowi senackiemu” lewicowo-liberalnej opozycji – co, jak wiadomo, postanowił ostatecznie zrobić w okręgu warszawskim. Ponieważ jego kontrkandydatką ma tu być Magdalena Biejał, skrajnie lewicowa aktywistka znana z zadym „Margota” i ruchu LGBT, „symetrystami” stali się w ten sposób działacze i sympatycy Lewicy, których Giertych oskarżył o celowe złamanie paktu i rozbijanie jedności obozu, a Piński zaczął nawet upowszechniać opowieść o pieniądzach, które miał Kaczyński przekazać Lewicy i Partii Razem za dywersję.

W odpowiedzi po Giertychu przejechał się jeden z najbardziej radykalnych lewicowych publicystów Krytyki Politycznej, często goszczący również w mediach Agorę, podpisujący się jako „Galopujący Major”. Ten z kolei zdemaskował Giertycha jako „śpiocha”, którego całe nawrócenie na antypisizm było udawane i dokonane w porozumieniu z Kaczyńskim, by wkupić się, mimo dalszego głoszenia „faszystowskich” poglądów o „prawach kobiet”, w zaufanie „obozu demokratycznego” – aby następnie, na polecenie pisowskich mocodawców, skłócić go i rozbić przed wyborami. Po stronie Giertycha wystąpił za to Leszek Miller, oskarżając Włodzimierza Czarzastego o to, że wystawił Biejał (zdaniem Millera pozbawioną szans) do Senatu tylko po to, by nie „przeskoczyła” na liście sejmowej faworyzowanej przez niego Anny Marii Żukowskiej.

Dodajmy, że Biejał też okazała się symetrystką: w 2015 r., jak przypominiano, przegrała publicznie, że w drugiej turze wyborów prezydenckich oddała świadomie głos nieważny, nie będąc w stanie poprzeć „prawicowego” Komorowskiego. „Symetryzmem”, wbrew potocznej intuicji, nie jest bowiem tylko postawa „bycia pośrodku”, lecz także ideowa lewicowość. Przypomnijmy, że to ona właśnie była przyczyną relegowania z tygodnika „Polityka” publicysty Rafała Wosia, bodaj pierwszej ofiary polowania na „symetrystów”, za stwierdzenie, że PiS realizuje przecież skutecznie lewicowy, „prospołeczny” program polityki socjalnej i tę część jego rządów należy pochwalić.

„Moralne jest wszystko, co służy zwycięstwu nad PiS” – pouczył kiedyś

„Moralne jest wszystko, co służy zwycięstwu nad PiS” – pouczył kiedyś publicznie Waldemar Kuczyński Leszka Balcerowicza

publicznie Waldemar Kuczyński Leszka Balcerowicza, gdy ten wyraził niesmak obiecywaniem przez Tuska wyborcom gruszek na wierzbie. W podobnym duchu atakuje rozmaitych „defetystów” prof. Wojciech Sadurski, wkrzykując im do uszu, że konieczność pokonania „faszystów” z PiS usprawiedliwia wszystko, ale to naprawdę wszystko – nawet dopuszczenie do współrządów przy PO „faszystów” z Konfederacji.

PIRAMIDALNE SZALEŃSTWO

Jak widać, demaskowanie „symetrystów” to zajęcie nie tylko anonimowych hejterów, lecz także opozycyjnych „autorytetów” z nazwiskami i tytułami. Profesor Maciej Górecki z UW – ten sam, który zasłynął żądaniem nie tylko delegalizacji PiS, lecz także „zdezintegrowania” metodami policyjnymi jego elektoratu – rozszerzył katalog publicystów o socjometrów, Marcina Dumę z IBRIS i Łukasza Pawłowskiego z IBSP. Swego czasu obaj oni oskarżani byli – zwłaszcza ten drugi, którego firmie zdarzały się całkowicie przestrelone, „przełomowe” sondaże pompujące PO – o sprzyjanie Tuskowi, obecnie Górecki oskarża ich o świadome sianie defetyzmu i zwątpienia w szeregach „demokratów”, ponieważ ich sondaże pokazują, że „opozycja demokratyczna” traci wyborców na rzecz Konfederacji, a wielki sukces PO w czerwcu summa summarum wyszedł na dobre głównie Zjednoczonej Prawicy.

Górecki zaapelował do lewicowo-liberalnych mediów, aby przestały wymienionych symetrystów zapraszać i publikować ich sondaże – niech sobie z nimi idą do „pisowskiej” TVP, a „wolne media” niech upowszechniają sondaże „prawdziwe”. Jako źródło tych „prawdziwych” Górecki wskazał m.in. promowaną przez Giertycha tajemniczą pracownię Political Changes (nie mylić z „Social Changes”, o co zapewne twórcom „pracowni” chodziło), w praktyce będącą tylko stroną internetową (zda-

niem większości środowiska prowadzoną przez byłego współpracownika Giertycha z Młodzieży Wszechpolskiej), na której nieodmiennie znajdziemy informacje, że PO wysoko wygrywa z PiS, a PSL, Hołownia i Lewica się nie liczą w wyścigu.

Jeśli wszystko to wydaje się czytelnikowi szaleństwem nieprzekraczalnym, to warto poinformować, że niebawem, jak raz na wybory, walka z „symetryzmem” nabierze nowego, bardziej intelektualnego wymiaru: pod auspicjami tygodnika „Polityka” ukaże się bowiem książka jej publicystów, Wiesława Władyki i Mariusza Janickiego, „Symetryści. Jak się pomaga autorytarnej władzy”. To właśnie ci autorzy, na tych właśnie łamach, ukuli w 2016 r. pojęcie „symetryzmu” i postawili fundamentalną tezę, że rządy PiS są tak absolutnym złem, iż pokonanie Kaczyńskiego jest wartością nadrzędną, imperatywem moralnym, w obliczu którego wszelkie skrupuły, wątpliwości etyczne czy żądania merytoryczne należy odrzucić, a odmawiających tego tępić z całą zjadłością. Trudno powiedzieć, czy reklamowana książka będzie tylko zbiorem cotygodniowych, delikatnie mówiąc, nieporównywalnych kazań Władyki i Janickiego z ostatnich lat czy też „dzieje symetryzmu w ostatnich siedmiu latach i zbiorcza polemika z adwersarzami” przygotowane zostały od nowa, z uwzględnieniem najnowszych wytycznych – w myśl których główne cechy herezji „symetryzmu” to niewiara w sukces „jednej listy”, podważanie zasady „führerprinzip” w odniesieniu do Donalda Tuska i sianie defetyzmu oraz nieposłuszeństwa w „obozie demokratycznym”.

Co jednak, jeśli nawet tak mocny głos przeciwko symetryzmowi, jaki niewątpliwie wydadzą z siebie czołowi publicyści „Polityki”, nie wystarczy, by powstrzymać krecią, rozkładową robotę Sroczyńskich, Mellerów i IBRIS-ów? Wtedy, niech mi państwo wierzą, polowanie na symetrystów dopiero się zacznie na całego. Jak uwielbiają odgrażać się „Silni Razem”: „W wolnej Polsce (to znaczy – kiedy już znowu będzie, jak było przed 2015 r.) oni wszyscy będą siedzieć”.

PS Już po napisaniu tekstu Marcin Meller poinformował w swoich mediach społecznościowych, że planowany panel z udziałem jego i innych „symetrystów” się nie odbędzie – zaproszenie zostało wycofane.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka

Wbrew zniesławiającej łatce przylepianej książce prof. Wojciecha Roszkowskiego zachęca ona do samodzielnego myślenia. A jako że obszar dyskusji przy terrorze poprawnościowym ciągle się zmniejsza, podręcznik ten polecam nie tylko uczniom, lecz także rodzicom. Dowiedzą się z niego wielu rzeczy, które stają się w dzisiejszej Europie tematem tabu

Prawie rok po zaprezentowaniu pierwszej części podręcznika „Historia i teraźniejszość” Wojciecha Roszkowskiego ukazał się drugi tom tej publikacji. Tym razem pan profesor zajął się latami 1980–2015. Furia obozu liberalnej lewicy, z którą przyjęto tę pozycję, nie jest bynajmniej słabsza od tej, którą mogliśmy zaobserwować rok temu. Jedyne, co różni rozmaite ataki po lewej stronie, to wybór formuły. Z podręcznikiem do HiT walczone dotąd metodą ośmieszenia, tym razem rzucane są oskarżenia.

To dziwne uczucie, gdy na okładce szkolnego podręcznika widzi się zdjęcie z wydarzeń, które zna się z własnych doświadczeń. Owo zdjęcie – symbol lat 80. – to ujęcie milicyjnej budy, tzw. łódowy, do której zomowcy wloką za ręce ciężko pobitego demonstranta. Doskonale poznają tę fotografię. Zrobiono ją 600 metrów od mojego gdańskiego domu we Wrzeszczu, na wielkim pustym placu przy ul. Partyzantów. Było to 1 maja 1985 r., w dniu ostatniej wielkiej „zadymy” na ulicach Wrzeszcza po Grudniu ’81.

ZACHĘTA DO SAMODZIELNEGO MYŚLENIA

Książka Wojciecha Roszkowskiego zaczyna się od cytatu z homilii papieskiej Jana Pawła II z 2 czerwca 1979 r. z ówczesnego placu Zwycięstwa. „Nie sposób zrozumieć dziejów narodu polskiego –

tej wielkiej, tysiącletniej wspólnoty, która tak głęboko stanowi o mnie, o każdym z nas, bez Chrystusa. Jeślibyśmy odrzucili ten klucz do zrozumienia naszego narodu, narazilibyśmy się na zasadnicze nieporozumienie. Nie rozumielibyśmy samych siebie”. To przesłanie tłumaczy, dlaczego postać Jana Pawła II pojawia się tak często na łamach książki. I nie jest to, wbrew krytykom, jakieś klękanie przed Kościołem. Po prostu lat 1980–2015 w wypadku naszego kraju nie da się zrozumieć bez nawiązań do postaci papieża Polaka.

Jednak Roszkowski stanął przed jeszcze jednym problemem. Jak wytłumaczyć niewygodę i upokorzenie życia w PRL pokoleniu, które zna ten okres jedynie z żartobliwych filmów Stanisława Barei? Autor podręcznika wyjaśnia, dlaczego życie w Polsce ludowej było tak szare i męczące. Dlaczego wymagało tylu godzin spędzanych w kolejkach. Mnie

myślenia. Jednak w jednym autor odrzuca współczesne trendy w historii. Nie godzi się, by zaniechać wartościowania wydarzeń historycznych.

Pierwsza część książki zaczyna się od sowieckiej inwazji na Afganistan. I słusznie. To był prawdziwy początek schyłku Związku Sowieckiego. Jednak Zachód wydawał się wtedy znacznie bardziej prawdopodobnym kandydatem do kapitulacji. Cały świat ogładał, jak brutalnie traktowani są dyplomaci ambasad USA w czasie, kiedy rządy nad Iranem sprawował ajatollah Chomeini. I jak bezradna jest Ameryka. Wydawało się, że Zachód, który już był mocno osłabiony po upadku Sajgonu w 1975 r., może przegrać rywalizację z agresywną dyktaturą sowiecką.

Jednak Roszkowski bardzo umiejętnie wprowadza pod uwagę młodego czytelnika nowe procesy, które rozczelniły sowiecką dominację. Od wpływu

Egzorcyzmów wokół podręcznika do HiT ciąg dalszy

najbardziej poruszyło zdjęcie góralki, która z pękatymi koszami sera i mleka codziennie przyjeżdżała do Krakowa, aby sprzedawać produkty ze swojego gospodarstwa. Musiała dźwigać ciężkie kosze, ale zachowuje przy tym wyprostowaną sylwetkę i zamasytysty krok, pozwala uczniowi zrozumieć, jak ten minikapitalizm bazaru na Rynku Kleparskim w Krakowie pozwalał przetrwać krakusom w najgorszych latach niedoboru stanu wojennego.

Wbrew zniesławiającej łatce przylepianej książce prof. Roszkowskiego ten podręcznik zachęca do samodzielnego

Jana Pawła II na Europę, poprzez rozejm w stosunkach Waszyngton – Pekin, do hasła praw człowieka, które rzucił uważany za słabeusza prezydent Jimmy Carter, ale które obudziło ruch dysydenty w krajach imperium sowieckiego. Dopiero na tle tego odzyskania wyższości moralnej przez „wolny świat” możliwe były epoka Reagana i jego przejście do ofensywy w relacjach z Moskwą.

Roszkowski nie ukrywa, że jest zwolennikiem tezy o fatalnym wpływie rewolty młodzieżowej 1968 r. na kondycję psychiczną Zachodu. I nie boi się mówić o cieniach kultury zachodniej Europy,

■ takich jak rozrost pornografii, zanik tradycyjnej rodziny czy zdominowanie instytucji europejskich przez lewicę. Nie są to sarkania „dziadersa” na nowe czasy, ale raczej kogoś, kto rzuca wyzwanie podstarzałym postępowcom à la Zbigniew Hołdys w imię swobody dyskusji.

CO Z TYM WAŁĘSĄ?

Bardzo byłem ciekawy, jak Roszkowski przedstawił wejście na scenę Lecha Wałęsy w sierpniu 1980 r. Wbrew zarzutom stawianym poprzedniemu tomowi książki podręcznik Roszkowskiego bynajmniej nie „wygumkowuje” Wałęsę. Pokazuje jedynie robotniczego lidera w świetle ówczesnych wyobrażeń i emocji. Pisz o stanięciu przez Wałęsę na czele ruchu Solidarności, choć zaznacza, że ciążyła na nim niewyjaśniona sprawa współpracy z SB, o której wtedy powszechnie nie wiadomo. Autor książki nie chce wchodzić w spory dotyczące jego akt, ale odnotowuje potwierdzoną informację, że Wałęsa po uzyskaniu prezydentury zażądał przesłania akt do swojego biura prezydenckiego i – jak się zdaje – wiele z nich zniszczył.

Rozdział dotyczący lat 1997–2005 nosi tytuł „Pozory stabilizacji”. Opowiada o Zachodzie, który doczekawszy się upadku reżimu sowieckiego, nie bardzo zdaje sobie sprawę, jak szybko pojawiają się nowe zagrożenia. Od militarizmu Putina do masowej migracji z Azji i Afryki. Mnie osobiście najbardziej wciągnął rozdział o Okrągłym Stole i początkach prezydentury Lecha Wałęsy. I znowu Roszkowski raczej waży słowa, niż rozdziela agresywne oceny i ataki. Dziś z perspektywy czasu o wielu wydarzeniach wiemy już więcej. I pewne obawy, które jeszcze pobrzmiwają w podręczniku, nie są już dla nas przesadne. W książce uczciwie stawiane są pytania wobec przyszłości Unii Europejskiej. Autor dokładnie wyjaśnia też, jak bardzo państwa Zachodu dawały nabierać się na slogany Putina o wspólnym dzieleniu się rosyjskim gazem i ropą przez Wschód i Zachód.

Skoro podręcznik ma wyznaczoną graniczną datę na rok 2015, to Roszkowski musiał się też odpowiednio zająć przedstawieniem śmierci Lecha Kaczyńskiego w Smoleńsku, jako elementu, który wykreował polsko-polską wojnę



na słowa, w której naprzeciwko siebie stanęli Donald Tusk i Jarosław Kaczyński. Jednak o samej katastrofie Roszkowski pisze oszczędnie. Nie stawia ostatecznie ani tezy o zamachu, ani też o „zwykłej” katastrofie komunikacyjnej.

W podręczniku mogłoby być mniej zdjęć Lecha i Jarosława Kaczyńskich, ale też nie jest tak, że Lech Wałęsa został wygumkowany z kart podręcznika. Jest też parę zdań o polityce PiS już po cenzurze 2015 r., ale są to dosłownie dwa zdania o premierostwie Mateusza Morawieckiego i rewaloryzacji świadczenia „500+”.

Ogólnie podręcznik w swej pierwszej części, gdyby nie kontekst ostrego konfliktu lewicy z ministrem Przemysławem Czarńskim, nie budziłby aż takiego oburzenia. Jednak pojawiła się już nowa generacja lewicowych liderów medialnej opinii i ci uważają książkę za osobisty policyk. Ciężko doszukać się w atakach na „Historię i teraźniejszość” informacji, że nauczyciele polskich szkół mają wszelkie powody, by do konstruowania narracji historycznej użyć tego wyważonego podręcznika. Praktyka jest taka, że w szkołach rozpętano nagonkę na podręcznik

i wybór książki Roszkowskiego wymaga od nauczyciela sporo odwagi.

GRA WYZWISK I INSYNUACJI

„Mała Czarnkowa książeczka” – tak o podręczniku Roszkowskiego pisze „Gazeta Wyborcza”, porównując ją do „Czerwonej książeczki” Mao. Jeden z jego autorów zadał sobie nawet trud, aby dotrzeć i przetłumaczyć instrukcję maoistowskiego ministerstwa oświaty w czasie rewolucji kulturalnej w drugiej połowie lat 60. w Chinach i przytoczyć ją dla pognębiaenia nie lubianego podręcznika. Publicysta „GW” Witold Mrozek zdobył się nawet na ranking 12 „hitów” „Historii i teraźniejszości”. W tym rzekomym zestawieniu sformułowań ośmieszających podręcznik cytowane są zdania, w których naprawdę trudno dopatrzeć się jakiegokolwiek przesady. Weźmy choćby zdanie, że słowa utworów popularnych raperów zawierają czasem zwroty obsceniczne albo zachęty do samobójstwa. Co w tym zdaniu jest kłamliwego? Weźmy inne zdanie. „Potencjał ludnościowy zachodniej Europy względnie zmalał w wyniku dwóch wojen światowych, ale także w wyniku przemian



FOT. KALBAR/PAP

nalna kwestia nie mogła być z Jarosławem Kaczyńskim nieskonsultowana". Skąd to wie? Na jakiej podstawie tak twierdzi? Recenzentka podręcznika już nam tego nie wyjaśnia.

Do „głanowania” podręcznika do HiT ściągnięto nawet naukowca paru europejskich uczelni Piotra Podemskiego, który gromko ogłasza, że przeczytał podręcznik jako liberalny konserwatysta. Piotr Podemski mało znany jest na scenie polskiej jako konserwatywny publicysta. W swojej obsesyjnej wręcz krytyce książki Podemski sam sypie bardzo wątpliwymi twierdzeniami. Głosi: „Inaczej niż w systemach kształcenia zachodnich demokracji kładzie się za to nacisk na narodowość sprawców (»Niemiecka polityka eksterminacji«), a nie na ideologiczny, psychologiczny i socjologiczny kontekst ich zbrodni. Historia ma posłużyć zatem tak wygodnemu dla nas przekonaniu, że to Niemcy i Rosjanie są genetycznie źli, Francuzi i Brytyjczycy – niemoralni i tchórzliwi, zaś Polacy – biologicznie obdarzeni genem szlachetności i bohaterstwa”.

Jak się okazuje, według Podemskiego napisanie, że to Niemcy, a nie anonimowi naziści mordowali w ostatniej wojnie, już jest myślozbrodnią.

Podemski dziwi się, że w książce można pisać o kulturotwórczej nowości chrześcijaństwa czy o Polsce jako przedmurzu chrześcijaństwa w XVII w. Te wszystkie zdziwienia służą oczywiście do deprecjonowania książki jako nienaukowej i opartej na wątpliwych stwierdzeniach. A co spowodowało największą furję? Odpowiadam – jedno zdanie Roszkowskiego o tym, że homoseksualizm może podlegać terapii. Jak z posępnym patosem pisze publicysta „GW” Witold Mrozek: „W drugiej części »HiT-u« jest wiele zwyyczajnego, partyjnego przekazu PiS, jest też wiele fragmentów, które rozbawiają. Są też jednak w dziele profesora Wojciecha Roszkowskiego rzeczy złowrogie. Chodzi oczywiście o możliwość wyjścia z homoseksualizmu wskutek terapii psychologicznych”. I dodaje: „Terapie konwersyjne nie są w Polsce zakazane prawem, mimo że dopominał się o taki zakaz ONZ. Apelowano o to także w 2018 r. Parlament



**WOJCIECH
ROSZKOWSKI
„HISTORIA I TE-
RAZNIEJSZOŚĆ
1980-2015.
PODRĘCZNIK
DLA LICEÓW
I TECHNIKÓW.
CZĘŚĆ II”
KRAKÓW 2023**

Europejski”. Tyle Mrozek. I znów wychodzi na jaw cenzorska żyłka redakcji z Czerskiej. W kwestiach, które lewica uważa za ważne, nie ma mowy o żadnej dyskusji i młodego człowieka winno się chronić przed samą informacją, że terapia antyhomoseksualna jest możliwa.

I na tym polega problem z linczem medialnym na książce Roszkowskiego. W ciągu ostatnich 30 lat narosło już ileś wykreowanych przez lewicę myślozbrodni, przed którymi młodzi ludzie mają być chronieni. Dla obozu konserwatywnego

przyjęcie wykreowanego prawem kaduka takiego kanonu herezji jest czymś nie do zaakceptowania.

Podręcznik Roszkowskiego, wbrew temu, co powtarzają liczni lewicowcy, nie jest obowiązkowy. Nauczyciele zajęć dotyczących historii terażniejszości mogą sięgnąć po alternatywny podręcznik wydany przez Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne. Tyle że dla lewicy sama możliwość wyboru okazuje się skandalem. Gdyby książka Roszkowskiego miała być jedyną i obowiązkowa, też zachęcałbym autora, by

**Podręcznik Roszkowskiego,
wbrew temu, co powtarzają
liczni lewicowcy, nie jest
obowiązkowy**

iluś kwestii nie wyrażał aż tak jednoznacznie. Jednak skoro taki wybór jest, to należy uszanować zestaw pytań, które stawia on na temat dzisiejszej cywilizacji. A jako że obszar dyskusji przy terrorze poprawnościowym ciągle się zmniejsza, podręcznik ten polecam nie tylko uczniom, lecz także rodzicom. Dowiedzą się z niego wielu rzeczy, które stają się w dzisiejszej Europie tematem tabu.

Jeszcze jedno. Publicysta „Wyborczej”, chcąc ośmieszyć książkę, głosi, że wydało ją „dewocyjne wydawnictwo Biały Kruk”. Jak się okazuje, nawet w ten sposób można próbować ośmieszyć nowy podręcznik. Bardzo to smutne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

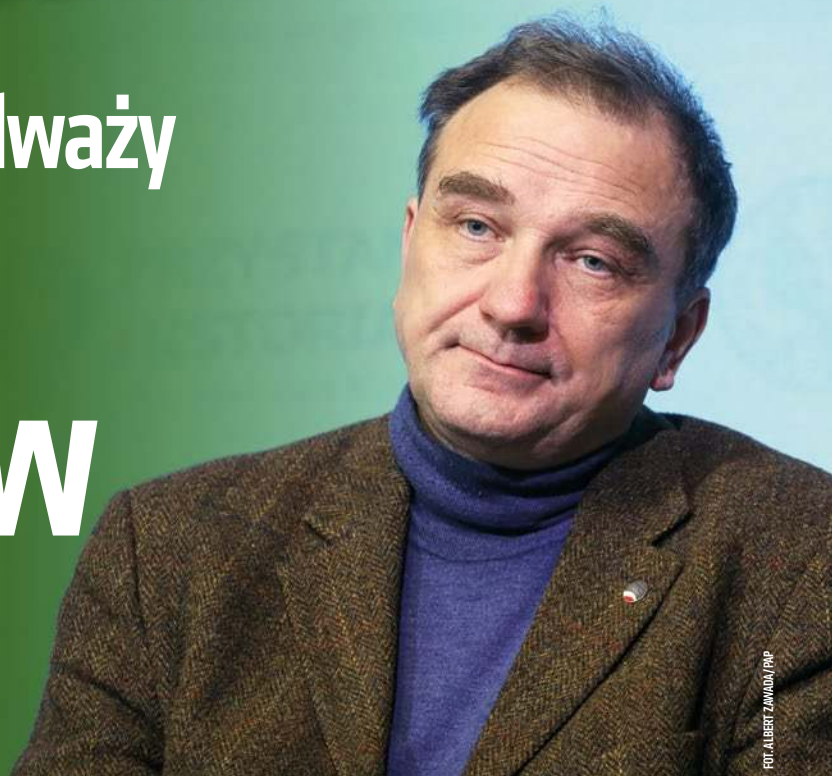
obyczajowych i rozwoju tego, co Papież Jan Paweł II nazwał cywilizacją śmierci, a więc aborcji, eutanazji i odrzucenia tradycyjnego modelu rodziny”. Gdzie niby Roszkowski tu kłamie? No, chyba że uważamy, iż o pewnych niepokojących zjawiskach cywilizacyjnych nie należy w ogóle rozmawiać.

Krytycy książki nie negują przecież tych zjawisk, ale uważają, że wysnuwanie z nich wniosków o ich przyczynie, spadku dzietności Czech czy Węgier jest złamaniem jakiejś niepisanej omerty. Co więcej, nawet to, że autor książki wypowiedział się bardzo spokojnie i oszczędnie na temat katastrofy smoleńskiej, nie rozstrzygając przyczyny upadku tupolewa, jest przez „Gazetę Wyborczą” używane przeciw Roszkowskiemu. Według Agnieszki Kublik zdanie w podręczniku jest dowodem, że PiS wycofuje się z teorii smoleńskich. Tego, że wielu Polaków czeka na jakieś nowe fakty w śledztwie smoleńskim, pani krytyk Agnieszka Kublik nie zauważa. Jedyny wniosek, który wyciąga z całej sprawy, to sugestia, że PiS wycofuje się z teorii spiskowych. Bo – jak sobie dopowiada dziennikarka „GW” – „tak ważna polityczna i emocjo-



Z dr. Andrzejem Anuszem, politologiem
z Instytutu Józefa Piłsudskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Zagranica nie podważy wyniku wyborów



FOT. ALBERT ZAWADA/PAF

RYSZARD GROMADZKI: Czy połączenie wyborów parlamentarnych z referendum w kształcie zaproponowanym przez PiS może okazać się dla obozu rządzącego polityczną „wunderwaffe”, która zapewni mu zwycięstwo wyborcze?

DR ANDRZEJ ANUSZ: Ogłoszenie idei referendum połączonego z wyborami zawsze oznacza polityczne ryzyko, przede wszystkim dla strony, która proponuje referendum. Teraz, kiedy poznaliśmy cztery pytania referendalne, można powiedzieć, że stanowią one coś w rodzaju „kamieni milowych” programu Prawa i Sprawiedliwości. Kwestie związane z prywatyzacją strategicznych gałęzi gospodarki, podniesienia wieku emerytalnego, zgody na forsowany przez Komisję Europejską mechanizm przymusowej relokacji imigrantów z Afryki i Azji, wreszcie sprawa zapory na granicy z Białorusią – to według mnie wzmocnienie przekazu PiS. Kampania referendalna, która będzie toczyła się równolegle z parlamentarną, przy tak sformułowanych pytaniach, w moim przekonaniu wzmacnia PiS i Zjednoczoną Prawicę.

Wzmacnia, bo poprzez referendum mobilizuje dodatkowy elektorat?

Pytanie brzmi: Jaka będzie reakcja opozycji? Już teraz widać, że ta reakcja jest zróżnicowana. Obserwujemy, że tak skomponowane pytania referendalne powodują pewną dezorientację i dezintegrację po stronie opozycyjnej. Z punktu widzenia PiS jest to oczywiście dobra wiadomość. Zakładając, że opozycja wezwie swoich zwolenników do bojkotu referendum, będzie stanowiło to dla nich pewnego rodzaju dysonans. Z jednej strony, opozycja na wszelkie sposoby stara się mobilizować swój elektorat do udziału w wyborach, z drugiej ludzie zderzą się z apelami o bojkot referendum. Taki niejednoznaczny przekaz może budzić różne wątpliwości. Wiele wskazuje na to, że opozycja postawi na dezawuowanie pytań zawartych w referendum i jego celowości.

Już słychać głosy, jak zdanie byłego szefa Państwowej Komisji Wyborczej, prof. Hermelińskiego, że tak sformułowane pytania referendalne są niekonstytucyjne...

Nie zgadzam się z tym zarzutem, ale oczywiście próby zdyskredytowania referendum poprzez różne dywagacje

prawne mogą być podejmowane. Co do mobilizacji dodatkowych wyborców przez prawicę przy okazji referendum uważam, że może pojawić się pewna grupa wyborców wrażliwych na sprawy, których dotyczą pytania referendalne. Oczywiście tematem, który ma największy potencjał wyciągania na wybory ludzi, którzy pierwotnie nie zamierzali w nich uczestniczyć, jest sprawa imigrantów. Możliwe, że pewna grupa wyborców będzie chciała się wypowiedzieć w referendum w kwestii imigrantów, a niejako przy okazji jest istotna szansa, że zagłosują na PiS, ewentualnie na Konfederację.

Posppekulujmy na temat możliwych wyników wyborów. Wydaje się, bazując na uśrednieniu wyników sondaży przygotowywanych przez różne pracownie, że w najbardziej prawdopodobnym wariantcie wybory wygra PiS, ale nie będzie mógł rządzić samodzielnie. W tym scenariuszu kluczowe znaczenie dla wyłonienia nowego rządu będzie miała postawa Konfederacji.

Zanim zaczniemy rozważać różne scenariusze polityczne po wyborach, kluczowa jest odpowiedź na pytanie,

czy Trzecia Droga, czyli koalicja PSL i ruchu Szymona Hołowni, przekroczy próg 8 proc. poparcia. Moim zdaniem to najważniejsza kwestia, która zdeterminuje, z jakim scenariuszem będziemy mieli do czynienia po wyborach. Analizując dynamikę wyborczą, kwestie polaryzacji i przepływu elektoratu, stawiam tezę, że Trzecia Droga nie przekroczy pułapu 8 proc. W mojej ocenie obecna kampania będzie bardziej przypominała tę z 2015 r., a nie z 2019 r. W sytuacji, gdyby Hołownia z PSL nie przekroczył progu 8 proc., PiS wygra wybory, ale nie z wynikiem, który zapewni samodzielną większość, a zasadnicze pytanie brzmi, jak te głosy przełożą się na podział miejsc w Sejmie. W 2015 r. PiS zdobył poniżej 37 proc. głosów, a przełożyło się to na ponad 50 proc. mandatów. Był to efekt podziału Lewicy, partia Razem uzyskała wtedy ponad 3 proc. Przypomnę, że do Sejmu nie weszło też ugrupowanie Korwin. Łącznie dało to efekt kilkunastu procent zmarnowanych głosów, co przy systemie D'Hondta spowodowało, że dużą część tej nadwyżki przejął PiS. W rezultacie pozwoliło mu to samodzielnie rządzić.

To, czy do Sejmu wejdzie Hołownia z PSL, jest kluczem. Według mnie Trzecia Droga będzie pod progiem, a to oznacza, że jeśli nawet PiS wygra wybory z kilkuprocentową przewagą nad Platformą Obywatelską, to ma szansę uzyskać może nie 230 mandatów, ale zabraknie mu tylko 10 czy kilkunastu posłów do samodzielnej większości.

I wtedy te brakujące do samodzielných rządów szable PiS wyłuska z szeregów Konfederacji?

Moim zdaniem będziemy wówczas mieli do czynienia z dwuetapowym scenariuszem. Prezes Kaczyński, mając tak mocne karty, bo przecież dysponował będzie jeszcze atutem w postaci prezydenta z własnego obozu politycznego, może na początek zaproponować Konfederacji tzw. pakt stabilizacyjny. Ten manewr obliczony będzie na umożliwienie przez Konfederację powołania rządu, ale bez formalnego udziału Konfederatów. Argument przemawiający za takim scenariuszem, jest oczywisty. W sytuacji wojny za naszą wschodnią granicą i stałej presji na jej białoruskim odcinku Polska nie może pozwolić sobie na wielomiesięczny kryzys polityczny związany z wyłonie-

niem nowego rządu. W tym wariantcie wydarzeń trzeba liczyć się z odwołaniem do opinii publicznej i naciskiem ze strony opinii w postaci zorganizowanych akcji społecznych i obywatelskich, które będą szły w kierunku wywarcia presji na polityków, żeby ci możliwie najszybciej sformowali rząd po wyborach, szczególnie kiedy ludzie będą widzieli, że do skutecznej większości niewiele brakuje. W mojej ocenie albo Konfederacja w całości poprze „pakt stabilizacyjny”, co de facto będzie oznaczało wejście do koalicji rządzącej, albo dojdzie w niej do podziałów, z efektem finalnym w postaci wejścia do koalicji z PiS np. połowy posłów Konfederatów. Ten scenariusz może być o tyle łatwy do przeprowadzenia, że – jak wiadomo – Konfederacja jest strukturą kilku środowisk politycznych. Nie jest to partia wodzowska.

Do tego jest to struktura z pewnym specyficznym rysem wpisanym w dawną polską tradycję polityczną.

Dokładnie tak. Konfederacja to rodzaj politycznego pospolitego ruszenia dobrze znanego z naszej historii.

Mówi pan o presji, której poddana zostanie w toczącej się kampanii wyborczej Konfederacja. Jednak wydaje się, że pod jeszcze większą presją znaleźli się Donald Tusk i PO. Nieskrywane kalkulacje jego zagranicznych sojuszników, wyrażane najbardziej wprost przez polityków niemieckich, m.in. Manfreda Webera, są takie, że Tusk i jego formacja przejmą w Polsce władzę, odsuwając od niej obmierzły im PiS. Czy w wypadku fiaszka Tuska trzeba liczyć się z próbami podważenia przez np. Komisję Europejską lub inne instytucje unijne prawomocności polskich wyborów poprzez zarzut, że zostały one sfałszowane?

Lider Platformy przystępuje do tych wyborów bez zrealizowania swojego wyjściowego scenariusza, czyli bez tzw. jednej listy opozycji. To się nie udało. Tusk postawił wszystko na Koalicję Obywatelską, która ma za wszelką cenę wygrać wybory, nawet za cenę odebrania części głosów Lewicy oraz Trzeciej Drodze i zepchnięcia ich poniżej progu wyborczego. Moim zdaniem strategia, którą obrał, jest bardzo ryzykowna.

W polityce opłaca się czasami podjąć duże ryzyko. Tusk mógł próbować je ograniczać, ale to mu się nie udało. W tej chwili jest pod tak silną presją ze strony

ośrodków zagranicznych, głównie Unii Europejskiej, że musi za wszelką cenę wygrać październikowe wybory. Jego strategia może powodować, że Lewica czy Trzecia Droga będą bardziej zaczepne wobec Koalicji Obywatelskiej, bo będą musiały się bronić. Taka jest logika konkurowania w wyborach.

A co się stanie, jeśli Tusk i jego formacja przegrają wybory? Dla niego będzie to oznaczało polityczną klęskę. Jednak nie widzę możliwości, żeby instytucje europejskie mogły zakwestionować ewentualne zwycięstwo i dalsze rządy PiS. Po pierwsze dlatego, że ten rząd dysponował będzie demokratycznym mandatem. Po drugie, co bardzo istotne także z perspektywy Unii Europejskiej, mamy wojnę na Ukrainie. Nie można drogą nacisków destabilizować dużego państwa Unii Europejskiej i NATO, jakim jest Polska, będącego głównym hubem pomocy logistycznej i militarnej dla Ukrainy. Ten kontekst jest bardzo istotny. Kwestia szeroko pojętego bezpieczeństwa i stabilności jest, nie ma co ukrywać, bardzo dużym atutem dla Zjednoczonej Prawicy. Poza tym, z racji trwającej kadencji prezydenta Andrzeja Dudy, nawet zwycięstwo opozycji w wyborach parlamentarnych nie spowodowałoby efektu definitywnego odsunięcia prawicy od władzy. Nawet gdyby opozycji udało się utworzyć jakiś rząd koalicyjny, będzie to oznaczało przez najbliższe dwa lata bardzo ciężką kohabitację z urzędującym prezydentem.

Uważam, że jeżeli w Polsce ma nastąpić nowe polityczne otwarcie, to można spodziewać się go raczej po wyborach prezydenckich za dwa lata. Tego uczy historia polityczna po 1990 r.

Reasumując – ze względu na toczącą się wojnę relacje z USA i w ramach NATO nie widzę realnych możliwości podważenia wyników wyborów przez instytucje zagraniczne w wypadku zwycięstwa PiS. Oczywiście nie wyklucza to protestów czy demonstracji ze strony opozycji, która nie będzie chciała pogodzić się z wynikami wyborów w wypadku przegranej.

To optymistyczna konkluzja, bo oznacza, że Polska nie znalazła się ponownie w „repninowskim momencie” swojej historii. Wszystko w naszych rękach.

Jestem przekonany, że tak.

Mężczyźni nie potrzebują pomocy?



Tomasz Rowiński

Męskie problemy w dalszym ciągu traktuje się – w najlepszym razie – jako efekt „kryzysu męskości”. W gorszych narracjach mężczyźni są po prostu tą drugorzędną płcią. Mężczyźni są dyskryminowani także przez instytucje

Problem dyskryminacji mężczyzn w dalszym ciągu stanowi marginalną kwestię w debacie publicznej nie tylko zresztą w Polsce. Nie dlatego, że nie istnieje, ale dlatego, że kulturowo uformowane lekceważenie wobec męskich spraw w dalszym ciągu jest tendencją dominującą, podtrzymywaną i wzmacnianą także przez polityków. Niestety, dotyczy to większości ugrupowań w naszym kraju, a także instytucji.

Postulaty podnoszone przez rozmaite, nawet skrajne grupy kobiece zawsze są traktowane z powagą, jako poważne postulaty społeczne. Niemal natychmiast uzyskują one przełożenie na debatę publiczną. Czy będzie to kwestia dzieciobójstwa prenatalnego zwanego aborcją czy tzw. ubóstwo menstruacyjne – mianem tym określa się „ograniczony dostęp do edukacji menstruacyjnej, a także do produktów higienicznych, odpowiedniej wody czy innej infrastruktury sanitarnej w czasie menstruacji” – tematy te nie mogą być lekceważone. Zresztą trudno sobie wyobrazić, by były, skoro interesują się nimi i umieszczają je w swoich agendach wpływowe instytucje międzynarodowe, takie jak ONZ czy Bank Światowy.

Tymczasem naprawdę poważne nierówności dotyczące mężczyzn po prostu są ignorowane, nie otrzymują przełożenia na polityki afirmacyjne, na

których przecież opiera się w naszej części świata tzw. walka z dyskryminacją. Pogarszająca się sytuacja edukacyjna mężczyzn, późniejszy o pięć lat wiek emerytalny w stosunku do wieku kobiet – i to pomimo krótszego przewidywanego wieku przeżycia, dramatyczny poziom liczby męskich samobójstw w stosunku do prób samobójczych podejmowanych przez kobiety, a także – szerzej – problem przedwczesnych zgonów na tle zdrowotnym. Nie mówiąc już o obowiązkowej kwalifikacji wojskowej, której podlegają wszyscy mężczyźni, czy systemowej nierówności w kwestii opieki nad dziećmi i alimentacji w przypadku rozwodu. Dyskryminacja mężczyzn – a przynajmniej lekceważenie niekorzystnych dla nich nierówności – jest faktem, co widzi każdy, kto obserwuje, jak bardzo partie polityczne są skoncentrowane na postulatach mających zadowolić kobiety elektorat.

OBWINIANIE OFIARY

Oczywiście to wcale nie dziwi, kobiety przede wszystkim żyją zauważalnie dłużej, a zatem i dłużej przyciągają uwagę polityków. Rzecz jasna, różne formy nierówności dotyczą także kobiet, problem polega jednak na czymś innym. Nie zauważa się, że szkodliwe społecznie nierówności płciowe to zjawisko wielowymiarowe, a nie czarno-białe. Kwestią

zasadniczą jest brak analogicznego podejścia do męskich i kobiecych problemów.

Jak zaznaczyłem – polityczna emancypacja kobiet jest sprawą, której kwestionowanie nie znajduje się nawet na marginesie dyskusji. Jednocześnie polityczne wyodrębnienie mężczyzn właściwie nawet się nie zaczęło. Męskie problemy w dalszym ciągu traktuje się – w najlepszym razie – jako efekt „kryzysu męskości”. W gorszych narracjach, takich, które spotyka się w dyskusjach toczonych w mediach społecznościowych, mężczyźni są po prostu tą gorszą płcią. Określenia są różne – od tradycyjnych „trutni”, do przywoływanych nieraz analogii do Piotrusia Pana. Po prostu w społecznej wyobraźni to sami mężczyźni są winni trudności, które ich spotykają. Ma to w sobie posmak zjawiska znanego jako „obwinianie ofiary”, które gdy pojawia się w odniesieniu do kobiet jest prawie zawsze piętnowane, w przypadku mężczyzn bardzo rzadko.

DISKURS PEŁEN PARADOKSÓW

A przecież to na pracy tych „trutni” opiera się w znacznej mierze stabilność budżetowa państwa polskiego. To mężczyźni są „płatnikami netto” utrzymującymi w znacznej mierze systemy świadczeń czy – bez wątplenia potrzebne – programy socjalne. Beneficjentami systemu redystrybucji znacznie częściej z kolei są kobiety.



FOT. ADOBE STOCK

Dyskurs afirmacyjny aż roi się od paradoksów, które sprawiają, że jego antydyskryminacyjne intencje stają się jednak dyskryminacyjne. Znany jest krążący w Internecie wycinek pewnej anglojęzycznej gazety, która problem bezdomności opatrzyła infografiką, a także informacją tekstową, z której wynikało, że aż jeden bezdomny na czterech jest kobietą. Pozostałe trzy czwarte według redaktorów tej grafiki było, jak się zdaje, płci nieokreślonej. Zatem, nawet gdy to mężczyźni są głównymi ofiarami jakiegos zjawiska, „podświetla się” kobietą mniejszość wśród pokrzywdzonych.

Innym znanym przypadkiem była infografika UNESCO promująca hasło „STOP TARGETING WOMEN JOURNALISTS” wspierane danymi, według których spośród wszystkich dziennikarzy, którzy stracili życie w roku 2021, aż 11 proc. to były kobiety. Płeć 89 proc. ofiar pozostała tajemnicą.

Nie trzeba jednak szukać przykładów daleko poza Polską. Bardzo podobny przypadek możemy znaleźć i w naszych źródłach. 9 sierpnia GUS opublikował w mediach społecznościowych infografikę, z której wynikało, że 17,7 proc. z „ogółu zatrudnionych w warunkach zagrożenia” stanowiły kobiety. Płeć pozostałych 82,3 proc. pracujących w warunkach zagrożenia pozostała nieznana. Na sprawę zwróciło uwagę Stowarzyszenie na rzecz Chłopców i Mężczyzn (SCHM), które udostępniło informację GUS z jakże trafnym komentarzem: „GUS się chyba trochę wstydzi, więc dopowiemy, że 82,3 proc. zatrudnionych w warunkach zagrożenia to mężczyźni...”

Uwaga ta była jak najbardziej trafna, trudno powiedzieć, jakie intencje miał pracownik GUS w taki sposób formułujący podaną publicznie informację. Czy chodziło o to, że kobiet pracujących w warunkach zagrożenia jest tak mało? A może tak dużo? A może chodziło o zakamuflowanie tego, że niezbędne prace zagrażające życiu i zdrowiu wykonują w Polsce przede wszystkim mężczyźni, ale o tym nie jest dobrze mówić.

Różne akcje afirmacyjne, które realizują zarówno państwo, jak i np. instytucje unijne, kierowane są do rozmaitych grup społecznych, ale nigdy bezpośrednio do mężczyzn. Nakładanie się tych rozmaitych zakresów afirmacji składa się przeważnie na wykluczenie mężczyzn – przynaj-

mniej tych, którzy znajdują się w wieku produkcyjnym. Zaledwie kilka dni temu tego rodzaju sytuację opisano na stronie SCHM. 11 sierpnia Powiatowy Urząd Pracy w Zabrzu ogłosił program wsparcia dla bezrobotnych. Objął on osoby młode w wieku 18–29 lat, osoby po 30. roku życia spełniające przynajmniej jedno z kryterium: płciowe – kobiety, ukończenie 50. roku życia, niepełnosprawność, długotrwałe bezrobocie, niskie kwalifikacje. Jednocześnie PUP opublikował informację, że „ze względu na ograniczenia projektowe z dofinansowania wykluczeni są mężczyźni w wieku 30–49 lat, którzy mają wykształcenie policealne, pomaturalne lub wyższe, a jednocześnie nie należą do żadnej z poniższych grup: osoby niepełnosprawne i osoby długotrwale bezrobotne”.

Szkodliwe społecznie nierówności płciowe to zjawisko wielowymiarowe, a nie czarno-białe

Michał Gulczyński, badacz społeczny, zajmujący się nierównościami dotyczącymi mężczyzn, skomentował tę informację następująco: „Czasami pyta mnie, czy mężczyźni są dyskryminowani. Jeśli program wsparcia bezrobotnych obejmuje wszystkich w wieku 18–29 lat i 50+ oraz kobiety, to jak nazwać wykluczenie mężczyzn w wieku 30–49 lat?”. SCHM wysłało do zabrzańskiego PUP zapytanie, jakiego to rodzaju „ograniczenia projektowe wymuszają wykluczenie z dofinansowania mężczyzn w wieku 30–49 lat jako jedynej grupy”. PUP odpisał szybko na zapytanie SCHM i poprawił treść ogłoszenia, jednak wcale nie oznacza to, że problem zniknął. Sam program, z którego środków korzysta ta instytucja, ma bowiem charakter dyskryminacyjny.

„Nabór wniosków w sprawie przyznania jednorazowych środków na podjęcie działalności gospodarczej organizowany jest w ramach środków finansowanych z projektu pn. »Aktywizacja osób bezrobotnych zarejestrowanych w Powiatowym Urzędzie Pracy w Zabrzu (I)«. Projekt współfinansowany jest z Europejskiego Funduszu Społecznego Plus

w ramach Programu Fundusze Europejskie dla Śląskiego 2021–2027 [...]”.

Zgodnie z regulaminem konkursowym projektu [...] grupę docelową wsparcia stanowią osoby bezrobotne, w rozumieniu ustawy właściwej regulującej politykę rynku pracy, tj. osoby, które ukończyły 18 lat i nie ukończyły 60 lat (kobiety) lub 65 (mężczyźni), w szczególności:

1. znajdujące się w najtrudniejszej sytuacji na rynku pracy, tj. kobiety, osoby starsze (w wieku 50 lat i więcej), osoby z niepełnosprawnościami, osoby długotrwale bezrobotne, osoby o niskich kwalifikacjach;

2. osoby młode w wieku 18–29 lat, zwłaszcza: z grupy NEET, samotnie wychowujące dzieci, opuszczające pieczę zastępczą, pochodzenia migranckiego. Z tego też powodu w ogłoszeniu znalazł się niefortunny zapis o wykluczeniu z dofinansowania mężczyzn w wieku 30–49 lat” – możemy przeczytać w odpowiedzi PUP opublikowanej na stronie SCHM.

BRUTALNA PRAWDA

SCHM można umieścić bliżej prawej strony dyskursu publicznego w Polsce, jednak problem – choć rzadko – zauważają też autorzy lewicowi, jak Tymoteusz Kochan związany z Nową Lewicą i „Trybuna”: „Panuje chore przekonanie, że męskie jest milczenie o chorobach i śmierci, że mężczyźni z zasady mają nieść gospodarkę na plecach i nie narzekać, tylko godnie zdychać. Że są akceptowalną ofiarą i wołem pociągowym wzrostu gospodarczego, więc empatia i troska ich nie dotyczą. Panuje nawet chore przekonanie, że mężczyźni przesadzają, kiedy zachorują, że »histeryzują«, kiedy mają gorączkę, i na pewno udają. W społeczeństwie jest też większa tolerancja dla bicia mężczyzn” – napisał dość brutalnie w mediach społecznościowych. Sprawy jednak tak właśnie się mają.

Czy usunięcie przez zabrzański PUP wadliwego zdania z ogłoszenia dotyczącego aktywizacji zawodowej sprawi, że z programu skorzysta jakiś mężczyzna? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że w pewnych obszarach praktyki dyskryminacyjne dotyczące mężczyzn tak bardzo weszły w Polskę w krew, że bez zwrócenia na nie uwagi, bez pokazania palcem ich bezzasadności są traktowane niczym oczywistości i norma.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wymieranie małych firm?



Łukasz Zboralski

Od pandemii widać znikające małe zakłady, sklepy, restauracje. Czy to oznacza powolną przemianę w naszej gospodarce – miejsce mikrofirm zajmą korporacje?



Gdańska pizzeria Nowy Port w styczniu tego roku pożegnała się z klientami na Facebooku. Opublikowała rachunek za gaz opiewający na ponad 72 tys. zł.

„Już wcześniej walczyliśmy o przetrwanie, mierząc się z wysokimi cenami benzyny, prądu, inflacją oraz zmieniającym się VAT-em. Zmagaliśmy się z rosnącymi kosztami i jednocześnie nie chcieliśmy i nie byliśmy w stanie przerzucić ich w całości na Was. Po uwzględnieniu wszystkich podwyżek musieliśmy od 1.01.2023 roku podwyższyć cenę każdej pozycji w menu o około 15 zł!” – napisali przedsiębiorcy i zaprosili na wyprzedaż. „Zdecydowaliśmy się przeczekać ten trudny czas, zamykając lokal”.

Podobne ogłoszenia widać było w wielu miastach. Tam, gdzie przez dekady ludzie udawali się po chleb czy ciastka, zastawali kartkę: „Zamknięte”.

Właściciel łódzkiej piekarni Rogal zamknął rodzinny biznes po 42 latach. Powód ten sam, co w Gdańsku – za gaz musiałyby zacząć płacić nie 6 tys. zł,

a 60 tys. zł miesięcznie. „Na taki wydatek mnie nie stać” – wyznał w „Dzienniku Łódzkim”.

Gastronomia, handel, transport – to dziedziny gospodarcze, w których małym przedsiębiorstwom zaczęło być trudno już nie tylko wychodzić na swoje, lecz także w ogóle istnieć.

A prognoza dla nich nie jest dobra. „Czasy, kiedy się dało coś zrobić niewielkim kapitałem i tytaniczną pracą, prawie się skończyły. Bez skalowania biznesu nie ma się szansy przetrwać” – prognozuje na Twitterze Cezary Bachański, ekonomista i przedsiębiorca. „Tylko powiedzcie to 55-letniej pani Stasi, która od 20 lat sprzedaje swoje jagodzianki. Trudno jest mieć jeszcze chęci w takim wieku. Takie firmy podzielił los dinozaurów” – uważa.

KOLEJNA MIGRACJA

Samozatrudnieni prowadzący jednoosobowe działalności gospodarcze to wciąż „sól polskiej gospodarki”. Ludzie, którzy działają w pojedynkę, na własny

rachunek, w niewielkiej skali stanowią zdecydowaną większość nad Wisłą. Pod koniec ubiegłego roku w REGON figurowało ponad 3,5 mln takich działalności. Na tle niespełna 5 mln wszystkich podmiotów gospodarki narodowej (tak to ujmuje GUS) stanowią więc zdecydowaną większość. To małe i średnie firmy wytwarzają blisko 50 proc. polskiego produktu krajowego brutto.

Tymczasem to drobni przedsiębiorcy w trudnych czasach zaczęli wpadać w największe kłopoty. Oni inaczej niż np. rolnicy, o których kłopotach dyskutuje się zawsze publicznie i na poziomie politycznym, nie mają żadnych dotacji – najczęściej po prostu sami wypracowują przeciętną pensję, czasem zatrudniają kilku pracowników.

Pierwszym ciosem dla małej przedsiębiorczości była pandemia. Oczywiście, gdy nie można prowadzić firmy, kłopoty ma nawet duży koncern, tylko zdecydowanie większe ma człowiek, który utrzymywał się z niewielkiej jednoosobowej działalności gospodarczej. Nie zarabiał



FOT. ADRIAN STUCK

i przetwórstwie przemysłowym. Bardzo trudno jest dziś też najmniejszym biznesom zajmującym się gastronomią, hotelarstwem, branżą ubezpieczeniową, rozrywką i rekreacją, a nawet budownictwem.

Zamykanie firm ma też aspekt lokalny. W niektórych obszarach Polski firmy znikają, a nowe przybywają zupełnie gdzie indziej – prowadzi to głównie do dalszego wyludniania się obszarów wiejskich i migracji do dużych miast. Jak wyliczał w specjalnym raporcie „Dziennik Gazeta Prawna”, w ubiegłym roku mikrofirm ubyło w województwach lubuskim, świętokrzyskim i podlaskim. Zastój – czyli porównywalna liczba zamykanych i otwieranych działalności – widoczny był w województwach: łódzkim, zachodniopomorskim, podkarpackim, śląskim, kujawsko-pomorskim, lubelskim, warmińsko-mazurskim.

Przybyło za to do drobnych przedsiębiorców w dużych miastach – Warszawie, Krakowie, Trójmieście czy Poznaniu.

Wydaje się więc, że obserwujemy dużą zmianę w gospodarce. Biznesy handlowe, gastronomiczne, prowadzone czasem nawet od lat 90., przestały być sposobem na utrzymanie się. Ci przedsiębiorcy, często po dekadach prowadzenia biznesu, mówią pas. Z kolei młodzi ludzie otwierają swoje mikrofirmy w zupełnie innych dziedzinach – związanych z nowymi technologiami, IT.

Obraz małej przedsiębiorczości może być jeszcze bardziej czarny, gdy weźmiemy pod uwagę, że wielu młodych pracow-

ników staje się coraz większym wyzwaniem, zwłaszcza dla mikro i małych firm. Często trudno im konkurować z dużymi przedsiębiorstwami i korporacjami w walce o pracowników” – pisze Bachański w publikacji dla WEI („Dlaczego mikro i małe firmy będą tracić na znaczeniu?”).

KTO PO NICH?

Nie tylko wysokie koszty prowadzenia małych firm wpływają na to, że zaczyna ich ubywać. Problemem jest też demografia. Przedsiębiorcom coraz trudniej więc przekazać swój mały biznes w ręce następców. Czasem tylko dlatego jeszcze prowadzą swoje firmy.

„Złote pokolenie przedsiębiorców, którzy rozpoczynali działalność w latach 90., powoli przygotowuje się do przejścia na emeryturę, ale brak następców w firmach rodzinnych wstrzymuje ich przed tą decyzją. Sukcesja w tego typu przedsiębiorstwach jest ogromnym wyzwaniem” – podsumowuje Bachański.

Takie firmy czeka powolny proces znikania. Ich właściciele mogą zarabiać dziś więcej niż średnia pensja w Polsce, ale za mało, by kogoś zatrudniać. Ze wszystkich planów zostaje więc im już tylko jeden – przetrwać samotnie do emerytury.

Jeśli małe firmy znikają, to kto wchodzi w ich miejsce? To oczywiście – firmy duże. Taki proces widać już np. w handlu w małych miejscowościach. Wystarczy zwrócić uwagę na to, jakim gigantem stała się sieć sklepów Dino, celująca właśnie w mniejsze miasta i wsie. Przy takiej skali biznesu mali sklepikarze, którzy zapewniali sąsiadom chleb i mleko od 40 lat, nie są w stanie przebić oferty ceną.

Można by uznać to za zjawisko negatywne. We wsi powstaje dyskont, który w krótkim czasie doprowadzi do zamknięcia kilku małych sklepików. Tylko czy naprawdę tak jest? Dobrą odpowiedzią może być dyskusja pod ogłoszeniem wójta gminy Jeżewo (województwo kujawsko-pomorskie), który na Facebooku poinformował z radością o tym, że we wsi powstanie dyskont. Mieszkańcy wcale się nie zmartwili losem lokalnych sklepikarzy. „Wreszcie nie będę za masło musiała płacić o 50 proc. drożej niż w mieście” – argumentowała jedna z mieszkanki i wskazywała, że utrzymywanie takich biznesów właściwie przez pewne dotowanie z kieszeni klientów mija się z celem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

tyle, by zgromadzić zasoby pozwalające przetrwać trudny czas, nie ma też takich zdolności kredytowych, by po słabszym okresie móc utrzymać się na powierzchni, nie mówiąc już o rozwoju.

Tuż po pandemii przyszła wojna na Ukrainie – a wraz z nią kolejne zawirowania gospodarcze. Odcięte rynki na Wschodzie, wzrost opłat za energię elektryczną czy paliwa oraz ogólnoswiatowa zadyszka, która wiąże się z wysoką inflacją. Od ubiegłego roku wszedł też w życie dodatkowy podatek nazywany „składką zdrowotną”. To spowodowało, że rynek małych firm po pandemii mocno się kurczył. W 2022 r. znikło z rejestru REGON blisko 200 tys. jednoosobowych działalności gospodarczych, a kolejnych blisko 100 tys. zostało zawieszonych. Mimo że jednocześnie przybyło ponad 300 tys. JDG., to bilans ten jest niezwykle niekorzystny w porównaniu z poprzednimi latami.

Jeszcze dziś nie widać krachu tej nogi polskiej gospodarki. Widać go już jednak, gdy przyjrzeć się poszczególnym sektorom. Mikrofirm ubywa mocno w handlu

Małe firmy najpierw dotknęła pandemia, a teraz kłopotem są inflacja, dodatkowe podatki i ceny energii

ników w takich dziedzinach jak IT tylko formalnie prowadzi własną działalność, gdyż zatrudniani są przez korporacje jako jednoosobowe firmy ze względów podatkowych.

„Dotychczasowy fundament polskiej gospodarki, który odpowiadał za prawie połowę produktu krajowego brutto, zaczyna się kruszyć. Przemiany demograficzne oraz zmiany na rynku pracy będą miały szczególnie wpływ. Rekrutacja nowych



Z Katarzyną J. Kowską

rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

„DO RZECZY”: Trudno orzec, czy pani książka bardziej jest opowieścią o zmarłej w 2019 r. Izabelli Galickiej czy historią jej rodziny, a może jeszcze inaczej – wizerunkiem części polskiej inteligencji.

KATARZYNA J. KOWSKA: Mam nadzieję, że w swojej książce, powstałej na podstawie rozmów, które zdążyłam przeprowadzić z Izą, a także udostępnionych mi dokumentów, listów i pamiątek, ukazałam pewną formację duchową, niezwykle ważną w naszych dziejach najnowszych. Formację, dla której wartości rodzinne i patriotyczne stanowiły jedność, a nauka i praca harmonizowały z prowadzonym życiem towarzyskim i uczestnictwem w kulturze.

Odkrycie przez Izę Galicką, główną bohaterkę pani książki, obrazu El Greca na wiejskim probostwie we wschodniej Polsce wywołało w PRL i poza jego granicami olbrzymi rozgłos.

Zrazu nie uwierzono, że malowidło pędzla El Greca mogło pokrywać się kurzem na podlaskiej prowincji. Zwłaszcza że „Express Wieczorny” poinformował o tym na czołówce wydania tej popularnej popołudniówki 1 kwietnia 1967 r. Lecz kiedy kolejnego dnia redakcja nie zdementowała tej sensacji, zdawałoby się primaaprilisowej, do Kosowa Lackiego zaczęli pielgrzymować przedstawiciele mediów z całego kraju. Przybywali z najdalszych jego zakątków, aby osobiście ujrzeć „Ekstazę św. Franciszka”. Wisiała na ścianie plebanii od lat, ale nie przykuła niczyjej uwagi. Chociaż widział ją niemało osób, goszczonych przez ówczesnego proboszcza Władysława Stępnia. Wszystko zmieniła wizyta inwentaryzacyjna Izy Galickiej i Hanny Sygietyńskiej, absolwentek historii sztuki Uniwersytetu Warszawskiego dokumentujących na Podlasiu obiekty kultury. W ich oczy portret wpadł od razu, gdy tylko zobaczyły go niemal w półmroku, przez niedomknięte drzwi. Ale że były młodymi kobietami dopiero na dorobku zawodowym, toteż ich rewelację długo podawano w wątpliwość.

Na przykład na łamach „Przekroju” dworował z nich satyryczny poeta Ludwik Jerzy Kern.

Tak się działo, ponieważ autorstwo El Greca podważali początkowo renomowani naukowcy. Profesor Jan Białostocki, specjalista od malarstwa obcego z Muzeum Narodowego w Warszawie, oraz

Żywoty polskie w obrazach



„Ekstaza św. Franciszka”, El Greco

FOT. MUZEUM DIECEZJALNE W SIEDLCACH/WIKIPEDIA

dr Marek Rostworowski, zajmujący się tym samym w krakowskim Muzeum Narodowym, udali się do Kosowa Lackiego, żeby opiniować, czy obraz rzeczywiście mógł namalować Domenikos Theotokopoulos. Po oględzinach wydali werdykt negatywny. Profesor Białostocki zaakcentował to w rozmowie z „Expressem Wieczornym”. Wątpliwości rozwiewał już sam jej tytuł: „El Greco? Na pewno nie”.

Czym była spowodowana rażąca pomyłka plastycznych autorytetów?

Możemy jedynie domniemywać. Zapewne doskonale rozpoznaliby obraz w jego pełnej krasie. Natomiast w Kosowie Lackim obcowali z płótnem brudnym, zniszczonym i uszkodzonym. Nadto pokrytym werniksem wypaczającym barwy. Wizerunek świętego był przemałowany. Prawdziwy ujawniono dopiero po gruntownych zabiegach konserwatorskich. Maskowały go trzy warstwy farby nałożonej przez kolejnych poprawiaczy dzieła.

Dzieje płótna ciągle kryją niejedną zagadkę...

Nie wiemy, skąd wziął się w Polsce ani tym bardziej jak trafił na podlaską plebanie. Wciąż krąży na ten temat wiele legend. Nie sposób już chyba ich zweryfikować. Niemniej nadal pobudzają wyobraźnię.

Podobnie jak wiele fragmentów pani najnowszej książki. Dajmy na to te przywołujące arkadyjski nieomal świat kresowego ziemiaństwa polskiego, bezlitośnie zniszczony przez bolszewicką barbarię.

Rekrutowali się z niego przodkowie Izy Galickiej, zarówno po kądzieli, jak i mieczu. Gieysztorowie i Mikulscy gospodarowali na wschodnich rubieżach I Rzeczypospolitej, zajętych przez rosyjskiego zaborcę. Z pokolenia na pokolenie krzewili tam polskość i nieśli kaganek oświaty. Starannie też dbali o wszechstronną edukację swoich potomków. Przedstawiciele kolejnych generacji za wspieranie naszych zrywów niepodległościowych nierzadko dotykały carskie represje.

Galicka wspominała rajske dzieciństwo spędzone w folwarku Magdalka.

Także znajdującym się na wschodzie. Tyle że wtedy już w II Rzeczypospolitej.

Bywał tam systematycznie krewny Izy, Witold Kieżun, renomowany ekonomista. A w czasie wojny dzielny konspirator Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, bohaterski powstaniec warszawski, potem więzień sowieckich łagrów, gdzie o mało co nie stracił życia. Represjonowany był też przez Urząd Bezpieczeństwa.

Pokrewieństwo łączyło Galicką również z prof. Aleksandrem Gieysztozem, późniejszym dyrektorem Zamku Królewskiego...

Kto wie, czy to nie on właśnie sprawił, że wybrała studia historyczne. Jak się miało okazać – słusznie. Na Wydziale Historii Sztuki UW przyszło się jej kształcić w czasach stalinowskich. Zdołała jednak jakoś oprzeć się wszechobecnej indoktrynacji komunistycznej. Nawiazała wiele znajomości, które przetrwały próbę czasu. Choćby z Anną Milewską.

Relegowaną z tego fakultetu – za ideologiczną nieprawomyślność! – przez wszechwładny wówczas uczelniany kolektyw Związku Młodzieży Polskiej pod egidą studenta Bronisława Geremka.

Powiem przewrotnie – może dobrze się stało? Milewska ukończyła szkołę teatralną i została cenioną aktorką. Iza utrzymywała z nią regularny kontakt.

Miała też wielu przyjaciół z kręgu Klubu Wysokogórskiego...

Jeździła z nimi w Tatry oraz Alpy. Dość wymienić nazwiska Andrzeja Ziemińskiego, Andrzeja Zawady czy Jana Długosza, który zginął w 1962 r. Właśnie po serii tragicznych wypadków zrezygnowała z zimowych wspinaczek. Ale góry pozostały jej pasją na zawsze.

Przyjaźniła się z Hannami Rozwadowską i Sygietyńską, studiowała z Krystyną Zachwatowicz, ale miała też koleżankę – jeszcze z liceum, za którą ciągnął się złowrogi cień siostry.

Irena Kaczorowska była świadkiem na ślubie Izy Galickiej. Wyjechała potem na Zachód, mieszkała w Szwajcarii. Przez całe życie nosiła w sobie traumę związaną z historią Blanki, którą – jak twierdziła – ślepa miłość do Ludwika Kalksteina sprowadziła na drogę

zdrady narodowej. Bo przypominę, że przyczyniła się do wydania w ręce Niemców wielu członków AK-owskiego podziemia, ze Stefanem „Grotem” Roweckim na czele.

Dla Izy Galickiej było to z pewnością nie do pojęcia. Wychowano ją w tradycji patriotycznej, a rodzina za przywiązanie do Polski i polskości zapłaciła wysoką cenę.

Dość przypomnieć tylko, że Leona Gieysztoza – jej ojca chrzestnego i najstarszego brata matki Izy – zgładzono w Auschwitz, jego młodszy brat Edward został ciężko ranny w Powstaniu Warszawskim, z kolei mąż ciotki – Artur Oborski – zginął od bomby niemieckiej w trakcie ewakuacji wojska polskiego z Francji na Wyspy Brytyjskie. Wdowa wyszła powtórnie za mąż, za Mieczysława Oborskiego, brata Artura, który po wojnie wrócił z Zachodu do kraju. Jako zawodowego oficera oskarżono go o stworzenie konspiracji w armii i skazano na karę śmierci w pokazowym procesie. Wyrok wykonano w więzieniu przy ul. Rakowieckiej. Pułkownik ma symboliczny grób na „Łączce” Cmentarza Wojskowego w Warszawie.

A Bierut nie skorzystał z przysługującego mu prawa łaski, choć nie kto inny, jak Janina Oborska z domu Gieysztoz, siostra mamy Izy, w Powstaniu Warszawskim, na Żoliborzu, uratowała

jego córkę raną podczas bombardowania. Ale wojna pozabawiła też jej ojca. A miała wówczas, przed Wielkanocą 1940 r., zaledwie dziewięć lat...

Karol Mikulski, ojciec Izy, wicedyrektor zakładu psychiatrycznego w Gostyninie, popełnił samobójstwo, gdy Niemcy rozkazali mu sporządzić listę pacjentów „nierokujących na wyzdrowienia”. Równało się to ze skazaniem ich na śmierć, co dla tego wybitnego lekarza, traktującego chorych z pełnym szacunkiem i zrozumieniem, było niewykonalne. Jego historię wykorzystał Stanisław Lem, pisząc powieść „Szpital przemienienia”, zekranizowaną w końcu lat 70. przez Edwarda Żebrowskiego. Pierwowzorem jednej z wiodących postaci jest w tym filmie dr Mikulski.



**„TRZY
POKOLENIA.
OPOWIEŚĆ O IZIE
GALICKIEJ”
KATARZYNA J.
KOWALSKA,
INSTYTUT
PILECKIEGO 2022**



Izabella Galicka FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

■ A jednak, czytając pani książkę, można odnieść wrażenie, że pozostał w Izie żal o to, że ojcę, być może, zabrakło odwagi, by dzielić okupacyjny los z rodziną.

Trudno się jej dziwić. Od dzieciństwa stawiała pytanie: Dlaczego ich zostawił? Świadoma była też tego, że jest ostatnią, która zna fakty znaczące w momencie podejmowania przez ojca ostatecznej decyzji. To była bardzo silna postać, lekarz skoncentrowana na pracy zarówno praktycznej, jak i teoretycznej. Praca z chorymi psychicznie, których także gościł w swoim domu, niekiedy zatrudniał, była jego powołaniem. Wojna zniweczyła wszystkie jego plany naukowe, a dodać też trzeba, że we wrześniu 1939 r. jako oficer rezerwy Wojska Polskiego został wzięty do niewoli przez Sowieców i tylko dzięki brawurowej ucieczce uniknął losu swoich kolegów zamordowanych w Katyniu.

W rozmowach z panią Galicką nie kryła osobistych dylematów ojca, wynikających ze związku z inną kobietą.

Była nią Irena Chmieleńska, również ważna osoba w polskiej szkole psychologicznej. Karol Mikulski poznał ją jeszcze jako studentkę. Po jego śmierci zajmowała się już tylko dziećmi porzuconymi, pokrzywdzonymi, nigdy nie założyła rodziny. To też była wyjątkowa postać. W czasie okupacji ratowała Żydów, za co została uhonorowana, wraz z rodzicami, tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Po latach w jej domu w Aninie znajdowali schronienie opozycjoniści,

drukowano tam wydawnictwa podziemne. Zmarła w 2008 r. w wieku 98 lat, nie tracąc wrażliwości na ludzką krzywdę. Z Izą zdążyła się zaprzyjaźnić.

Nadawały na tych samych falach. Funkcjonowały w środowiskach antykomunistycznych, na Sadach Żoliborskich, gdzie mieszkała Iza, zawiązała się nawet nieformalna grupa, którą nazwano Twierdzą Sady. Spotykali się z Wojciechem Ziemińskim, prawnikami Janem Konopką, Stanisławem Szczuką, wreszcie przyszłym premierem Janem Olszewskim i jego żoną Martą Miklaszewską. Podpis Izę znaleźć można na niektórych protestach obywatelskich. Rzec można, że radykalizowała się, ale w taki charakterystyczny dla dawnej, dobrej inteligencji sposób. Nie mogła np. pojąć, że jeden z jej znajomych pozostawał członkiem PZPR...

Ja widzę w tym echo dawnych deklaracji jej przodków, zaklinających się, że Rosjanin nie przekroczy progu ich domu.

A jednak w młodości zapisała się do ZMP...

A potem usłyszała od wujów, że jest zakałą rodziny, i wstydząc się bardzo swego czynu, myślała jedynie o tym, jak się z tego wycofać.

Swoją drogą, to znamienne, że w czasach, gdy w wielu rodzinach zachęcano dzieci, by wstępowały do młodzieżowych przybudówek PZPR, u niej działało się odwrotnie.

Pisząc książkę, myślałam o swoich dzieciach, o tym, jak ważne jest to, jak postępujemy, jak wpływamy na ich postrzeganie świata, jak kształtujemy system ich wartości. Jak ważne były dla

Izy opowiadane jej historie rodzinne, podsuwane lektury, muzyka Chopina...

Gdy była dzieckiem, uczyła się gry na fortepianie. Ów instrument odegrał zresztą w dziejach jej rodziny istotną rolę – ale to chyba temat na oddzielną rozmowę. Pianistyczne fascynacje w Galickiej pozostały.

Przejawiały się choćby w częstej obecności w salach koncertowych. W 1949 r., podczas pierwszego powojennego Konkursu Chopinowskiego, organizowanego w Sali Romy, razem z gronem studenckich przyjaciół ścisłała kciuki za Paulą Badurę-Skodę. Ku ich rozczarowaniu jury nie zakwalifikowało tego austriackiego pianisty do grona finalistów imprezy. Rozgoryczona młodzież akademicka w geście pocieszenia ofiarowała mu własny laur w postaci oryginalnego plastycznego dyplomu. Przyszłość dowiodła, że studentka brać rozkochana w muzyce miała rację. Badura-Skoda zrobił światową karierę artystyczną. Kiedy u progu III RP występował w Warszawie, Iza przysłała na jego recital. Spotkali się potem w foyer. Muzyk momentalnie ją rozpoznał, po czym serdecznie uściśkał. Powiedział, że ten dyplom to jego największe zawodowe trofeum, bo dzięki niemu kontynuował przygodę pianistyczną, chociaż wobec braku awansu do finału Konkursu Chopinowskiego myślał o jej zakończeniu.

Miał rację poeta, przypominając, że nie należy zaniedbywać nauki o pięknie. To dlatego w powojennej Polsce tak ważne dla matki Izę było pójście do Teatru Polskiego w Warszawie na przedstawienie „Lilli Wenedy”...

Bo to był widomy znak tego, że i w tej ułomnej, skomunizowanej Polsce dzieć się mogą rzeczy dobre. A to, co dają nam korzenie, dom rodzinny, wychowanie, takie, które odebrała Iza Galicka, niezależnie od wszystkich trudności i dramatów, stanowi nasz kościec.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Katarzyna J. Kowalska

– dziennikarka i pisarka, autorka książki „Polski El Greco” (i filmu dokumentalnego – pod tym samym tytułem – zrealizowanego na jej kanwie) oraz najnowszej: „Trzy pokolenia. Opowieść o Izie Galickiej i jej rodzinie – rodach Gieysztarów oraz Mikulskich”.

Wracamy z Lata z Książką w Mikołajkach, kilku autorów w jednym busie – nadarzyła się okazja wspólnego powrotu do Warszawy. Wakacje w pełni, lato obezwładnia gorącem, zaczynamy dyskutować o tym, czy ukazują się jeszcze ciekawe książki podróżnicze. Gdy przychodzi moja kolej, polecam „Gorączkę złotą”. – A o czym to? – pyta jeden ze współtowarzyszy podróży, nielichy globtroter. Odpowiadam, że o Wenezueli, a dokładnie to o... nie kończę, bo trzeci rozmówca wchodzi mi w słowo i prawi:

– Znajomy z Florydy, Polak, który żyje z organizowania wycieczek po Ameryce Południowej, opowiadał mi niedawno, że ledwie uszedł stamtąd z życiem. W ostatniej chwili spod lufy wyciągnął go jeden z dyplomatów.

– No cóż – odpowiadam żartem – w takim razie już wiesz, o co chodzi, i nie musisz czytać tej książki.

On nie, ale wszyscy inni koniecznie powinni po nią sięgnąć.

KSIĄŻKA NIEOCZYWISTA

Tomáša Forró poznałem kilka miesięcy temu podczas targów książki w Warszawie, był jednym z gości panelu poświęconego sprawom ukraińskim: „Jak pisać o wojnie: Perspektywa twojej wojny i wojny, na której jesteś gościem”. Wysoki facet o trochę dziecięcej twarzy – zastanawiałem się, czy krótką brodą nie próbuje sobie trochę dodać powagi. Spokojny, cichy, uważnie wsłuchujący się w to, co mówią inni, a zarazem bardzo ostrożnie dobierający własne słowa. Dobre cechy u reportera, łatwo zrozumieć, dlaczego budzi zaufanie i ludzie chcą z nim rozmawiać. Wydano w Polsce jego „Apartament w hotelu Wojna. Reportaż z Donbasu”, opowieść o Ukrainie, za którą otrzymał nagrodę specjalną w ramach Międzynarodowej Nagrody im. Witolda Pileckiego. Książka świetna, książka nieoczywista, przede wszystkim o ludziach po obu stronach frontu. Forró wędrował po Ukrainie w czasie dziwnej wojny, czyli już po zaborze Krymu i wybuchu walki o Donbas, ale grubo przed pełnoskalową inwazją Rosjan. Zatem w czasach, gdy świat Zachodu udawał, że nic złego się na Wschodzie nie dzieje, nie chcąc denerwować swojego dobrego handlowego partnera Władimira Putina.

FOT. FACEBOOK.COM/REPORTERTOMASFORRO

Zbuduj sobie raj



Piotr Gociek

Od Cháveza do Maduro, od snu o socjalizmie do piekła na ziemi: „Gorączka złota” to jeden z najbardziej ponurych współczesnych reportaży



„Gorączka złota. Jak upadała Wenezuela” to opowieść wywiedziona z trzech wypraw Tomáša Forró do tego kraju. Wyprawa pierwsza, rok 2007. „Rządzona przez Cháveza Wenezuela dzięki wysokim cenom ropy przeżywała czasy prosperity”. Hugo Chávez miał więc za co budować swój socjalistyczny raj: fabryki znacjonalizowano, jedna trzecia mieszkańców pracowała „na państwowym”. Ceny też były państwowe, kurs boliwara sztucznie zaniżany, więc przemytnikom opłacało się wywozić do sąsiednich krajów niemal wszystko. Co oznaczało pustki w sklepach i rozkwit czarnego rynku, na którym po pierwsze można było kupić wszystko, po drugie ceny były realne. Skąd my to znamy... Tyle że podczas gdy dogorywający PRL prowadził podobną politykę z biedą, Wenezuela robiła to z dobrobytu. „Podobnie jak jego poprzednik Chávez też był przekonany, że ma receptę na wszystkie problemy swojego kraju i że strumień petrodolarów nigdy nie wyschnie” – pisze Forró. Tymczasem w samej Wenezueli ropa była tak tania, że kiedy ktoś jechał na zakupy, do banku czy na obiad, nawet nie wyłączał silnika w samochodzie.

W chwili, gdy autor „Gorączki złota” po raz pierwszy odwiedził Wenezuelę, problemy już się piętrzyły: rozrastały się slumsy, rosła przestępczość, ale wciąż było bardzo tanio, no i jeszcze nie był to kraj upadły. Niskie ceny przyciągały turystów – Forró był jednym z nich, wędrującym ku terenom zamieszkanym przez Indian Pemon, gdzie można było odbyć swoistą podróż w czasie do innej epoki, a przybysz trafiał w kolorowy egzotyczny świat rodem z eksktyjących fotoreportażów „National Geographic”.

Gdy trafił do Wenezueli ponownie – rok 2016 – sytuacja była diametralnie inna. „Miasto Caracas przez dziesięć lat – od czasu mojego ostatniego pobytu – całkowicie się zmieniło. Przedtem też było dość niebezpieczne i brudne, ale mieszkali w nim uśmiechnięci i przyjemni ludzie. Teraz nie odważyłem się nawet wsiąść do metra, a mój gospodarz pozwał mi wychodzić do miasta tylko w ciągu dnia, w dodatku w towarzystwie kogoś miejscowego” – zapisuje Forró. „Wykrywalność zbrodni wynosiła mniej niż pięć procent, choć morderstwa popełniano przeważnie w ciągu dnia, na ulicy i na oczach wielu świadków”. To już zupełnie

inna chwila w dziejach Wenezueli, od roku 2013 nie żyje Hugo Chávez, ropa potaniała i cała ekonomiczna bańka zawałała się z hukiem. Następca Cháveza – Nicolás Maduro – zmaga się bezskutecznie ze skutkami ekonomicznego krachu i zamienia kraj w dyktaturę. Po wyborach prezydenckich w roku 2018, które były farsą, przestaje być uznawany za legalnego przywódcę kraju. Z frontu potępienia wyłamują się oczywiście przedstawiciele państw zbójceckich, Rosja czy Iran, a także Chiny, które inwestują olbrzymie pieniądze w ekspansję na kontynencie południowoamerykańskim, a kłopoty z jakimiś tam prawami człowieka zupełnie im nie przeszkadzają.

PIEKŁO NA ZIEMI

I jest wreszcie trzecia wyprawa Tomáša Forró, ta, do której doszło w roku 2020. „Wojsko i urzędnicy państwowi już dawno przekroczyli wszelkie granice. Władze czują się dziś jak zapędzone w kąt dzikie zwierzęta i nie mają żadnych złudzeń co do tego, jak mogłby wyglądać upadek ich reżimu. Dlatego chcą utrzymać się u steru tak długo, jak to tylko będzie możliwe”. Kraj, który ze względu na swoje zasoby mogłby być krainą miodem i mlekiem płynącą, stał się piekłem na ziemi. Autor „Gorączki złota” jest w Wenezueli w chwili, gdy zaczyna się pandemia koronawirusa. Udać mu się wydestać przez zamykane granice w ostatniej chwili. Wiza blokady i pozostania na nie wiadomo jak długo w kraju, gdzie nie można kupić nawet aspiryny, jest przerażająca. Forró ewakuuje się przez Brazylię. Podczas międzypaństwowego docierania do niego wieści z Wenezueli: „Od przyjaciół z Boa Vista dostaję wiadomość, że miasto przed chwilą zostało zajęte przez wojsko, ogłoszono stan wyjątkowy i odwołano natychmiast wszystkie loty. Mój samolot był ostatnim, który jeszcze wystartował”.

Uporządkujmy opowieść, bo chciałbym zwrócić uwagę na trzy wątki książki słowackiego reportera, które wydają mi się najważniejsze. Oczywiście jest to opowieść o upadku kraju, o upadku w najgorszym latynoamerykańskim stylu – z tego nieszczęsnego kontynentu dobiegały nas już nieraz przerażające



TOMÁŠ FORRÓ
„GORĄCZKA
ZŁOTA. JAK
UPADAŁA
WENEZUELA”
WYD. CZARNE

wieści o zbrodniach rozmaitych dyktatur, o raku biedy i przemocy, który dziś pożera Wenezuelę. Wszystko to nie wydarzyło się ot tak – każde zjawisko ma swoje przyczyny. Pozujący na światowego męża stanu Chávez (jakże go fetowano na międzynarodowych salonach za antyamerykańską retorykę) w istocie budował w swoim kraju małą Kubę, a to, że przez jakiś czas wydawało się, że takie samobójcze działanie

może się opłacić, wywołane było tylko koniunkturą na rynku surowców.

„Chávez sprowadził setki lekarzy z Kuby, którzy zapełnili nowe ośrodki zdrowia w całym kraju. Ale wraz z nimi przyjechali kubańscy doradcy i tajni agenci, którzy pomagali mu budować państwo policyjne” – odnotowuje Forró. W innym miejscu pisze: „Jego mentorem był bliski współpracownik samego Fidela Castro. Dlatego dość zasadne wydaje się podejrzenie, że cała nowa republika Cháveza to był w istocie kubański projekt”. I jeszcze: w ramach „bratniej pomocy” Kuba dostarczyła Chávezowi „tajnych agentów i wojskowych ekspertów. Ale to całkiem inna historia”. Otóż nie, tu Forró nie ma racji, to nie jest inna historia, to właśnie sedno zła sprowadzonego na wenezuelską ziemię – kolejna socjalistyczna utopia zamieniła się w koszmar. Wińmy więc inżynierów dusz i komunistycznych marzycieli, którzy zawsze prędzej czy później zamieniają się w zbrodniarzy.

MYŚL O BUNCIE

Wątek drugi, dla Forró najważniejszy. Nie bez powodu książka nosi tytuł „Gorączka złota” – i wcale nie chodzi tu o metaforę, czyli największe bogactwo Wenezueli, którym jest ropa naftowa. Otóż nie, idzie o prawdziwe złoto, którego kurs na światowych rynkach – w odróżnieniu od ropy – się nie załamał i które jest jedną z przyczyn, dla których dyktatura Maduro ma jeszcze w ogóle jakiegokolwiek pieniądza. Tu opowieść słowackiego reportera robi się szczególnie ponura. Owo złoto wydobywano przed laty na terenach zamieszkałych przez Indian Pemon i w pełnej z nimi symbiozie – to oni pracowali w kopalniach, oni je nadzorowali i oni się na swojej pracy bogacili. Gdy nadszedł krach, a złoto stało się towarem jeszcze bardziej pożądanym,

rząd postanowił zagarnąć całe zyski i rabunkowo zwiększyć wydobycie. Jednak niesprawna dyktatura nie była w stanie dokonać nawet tego, poza tym Pemonowie bronili się zaciekle. Krwawej pacyfikacji dokonali w imieniu reżimu z Caracas przedstawiciele „prywatnej inicjatywy”, czyli po prostu bandyci niewahający się przed niczym. Kraina Pemonów stała się krajem wojny i okupacji. Jednych po prostu zabito, inni uciekli, jeszcze inni siedzą w więzieniach. A ci, którzy pozostali na wolności, są szczurami jedni na drugich i próbują przetrwać w świecie rządzonym przez skorumpowane wojsko i policję, przestępcze gangi, kolumbijskich partyzantów i handlarzy narkotyków. Przy czym grupy te płynnie przechodzą jedna w drugą.

Jest wreszcie sprawa trzecia, czyli obecny stan rzeczy: druzgocący efekt, który te krwawe dekadki wywarły na mieszkańców Wenezueli. Miliony uciekli (zwłaszcza klasa średnia i wyedukowani specjaliści) i wegetują w sąsiedniej Brazylii, która ma własne kłopoty i nie zamierza w imigrantów inwestować. Ci, którzy pozostali, to ludzie pełni apatii,

część z nich cierpi – po latach „cudu” Cháveza – na wyuczoną bezradność, a wszyscy pogrążeni są w beznadziei. „Gdy moi współpracownicy zarobią pierwsze pieniądze, zaspokajające ich najbardziej palące potrzeby, to od razu opuszcza ich motywacja do dalszej pracy” – wspomina Forró. „To ten sam wzorzec zachowania, jaki ekonomiści zaobserwowali u osób długotrwale bezrobotnych, które po zdobyciu upragnionej pracy już do niej nie przychodzą, a szefowie skarżą się na ich niskie morale”.

Myśl o buncie też mało komu przychodzi do głowy (choć i takie przypadki Forró opisuje – zwykle kończą się tragicznie). Wenezuelczycy zdają się dziś narodem złamanym, a perspektywy odbudowy wyjątkowo dalekie czy wręcz nierealne. Jeszcze jeden istotny element. W klasycznych dyktaturach członkowie aparatu przemocy byli dobrze nagradzani, aby wynagrodzić im alienację ze społeczeństwa i zagwarantować lojalność. W kraju Maduro wojskowi i policjanci czy tajni agenci dostają ochłapy, muszą więc sami sobie radzić, żeby przetrwać, co zamienia

ich po prostu w lokalnych łapówkarzy, złodziei, morderców, zwyczajnych bandytów. Tak powstają brudne wspólnoty, które połączone występkami mają jeszcze jeden powód, by trzymać się razem i razem gnębić tych, którzy jeszcze w Wenezueli pozostali. Jak przygotować pieriestrojkę w takim kraju? Jak go wyzwolić? „Zapewne powtórzyłyby się tu scenariusz znany z Afganistanu: szybkie zniszczenie mizeryjnych sił wenezuelskiej armii rządowej, a potem długa i bolesna okupacja zniszczonego i podzielonego kraju. W dodatku na niegościnnym terenie, gdzie zagranicznych żołnierzy nieustannie atakowałyby małe, lecz operatywne grupki mafiosów oraz miejscowych i kolumbijskich partyzantów”. Zatem co dalej?

Tomáš Forró o wszystkich tych sprawach opowiada z perspektywy zwykłych ludzi, których spotkał podczas swoich peregrynacji. I jest to opowieść przerażająca, poruszająca, bardzo smutna. Nie ma krajów biednych, są tylko źle rządzone. Jednak źle rządzone kraje wielkich bogactw okazują się równie wielkim koszmarem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



LECZENIE I REHABILITACJA

*Pobyty w terminach:
21.08 – 01.10
01.10 – 29.10.2023r.*

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do **120 minut** dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Normalna nienormalność



★★★★★
REŻ. MAGDALENA
PIEJKO
„NASZOŚĆ.
TYLKO DLA
NIENORMAL-
NYCH”
POLSKA 2023

dokumentalny

Istnienie Akcji Alternatywnej „Naszość” było dla mnie stałym elementem krajobrazu III RP i nieustannym przypomnieniem tego, że nie jest to kraj normalny – to znaczy sprawiedliwy. Pozujący na sympatycznych wariatów aktywiści „Naszości”, z Piotrem Lisiewiczem na czele, widzieli republikę okrągłostołową dużo trzeźwiej niż zachłyśnięci nadejściem nowych czasów prasowi propagandyści. „Wyśmialiśmy was, bo to, co było niebezpieczne w PRL, w III RP powtórzyć się mogło już tylko jako farsa” – czytamy w książce „Flaki z nietoperza”, która była „manifestem poetyckim” „Naszości”. Farsa była, owszem, ale obiekty protestu jak najbardziej poważne: SLD-owcy

zachowujący się w dalszym ciągu jak właściciele Polski, Rosja podbijająca Czeczenię czy powitanie Bronisława Komorowskiego rosyjskim szalikiem, bo jest to „szalik tego kraju, którego interesy najwyżej zawsze stawiał”.

Połączenie poetyki absurdu z przesłaniem politycznym musi przypominać Pomarańczową Alternatywę. „Ludziom na Zachodzie więcej powie o sytuacji w Polsce informacja o tym, że zamknięto mnie w areszcie za rozdawanie kobietom podpasek, niż czytanie książek i artykułów pisanych przez innych opozycjonistów” – mówił Waldemar Fydrych. A stawianie przed sądem za udawanie jelenia? „Naszość” miała jednak tego pecha,

że działała już w czasach, gdy świat sądził, iż w Polsce jest fantastycznie, więc odruchami protestu (zwłaszcza z wykorzystaniem humoru) się nie interesował.

Ciekawie w filmie mówi Lisiewicz o tym, jak bardzo „Naszość” była kontrą wobec inicjatywy Owsia, który zaszczepiał młodym dziwny rodzaj apolityczności połączonej z antyklerykalizmem. „Naszość” widziała przeciwników prawdziwych, niewyimaginowanych: po akcji pod rosyjskim konsulem Władimir Putin domagał się publicznie „ukarania winnych z Poznania”.

Historię „Naszości” opowiada Magdalena Piejko wartko, ciekawie, z walnym udziałem członków grupy i wykorzystaniem arcyciekawych materiałów archiwalnych. Dziękuję jej za opowieść o kolejnym fragmencie świata nieprzedstawionego, a chłopakom z „Naszości”, że bronili honoru staczającego się w niezrozumiałą miłość do postkomunizmu i platformizmu Poznania oraz stali się takim sumieniem III RP, na jakie niestety zasługiwała – to znaczy sztyderczym. © ©



NOWE SERIALE: „SCHRONIENIE”

Harlan Coben w wersji light. Serial „Schronienie” to ekranizacja powieści young adult o młodym Mickeyu Bolitarze, bratanku Myrona Bolitara, bohatera najsłynniejszej serii powieści kryminalnych Cobena. O 15-latkę Mickeyu powstała osobna trylogia (całość

znamy w Polsce). W wersji serialowej gra go Jaden Michael. Pierwsze trzy odcinki z zamówionych ośmiu już trafiły do Amazona, kolejne mają pojawiać się co tydzień. © ©

Piotr Gociek

• sezon 1 „Schronienie”, USA 2023, Amazon Prime

prime video

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 7 „Billions”, USA 2023



• sezon 1 „Gwiezdne wojny: Ahsoka” („Star Wars: Ahsoka”), USA 2023



• reż. Anthony Stacchi „Małpi król” („The Monkey King”), 2023



Japońska huśtawka



Ulubioną postacią brytyjskich filmowców jest typ emocjonalnie wycofany, niemal autystyczny, którego tylko jakieś nadzwyczajne wydarzenie może wytrącić z bezpiecznej rutyny. Dla pana Williamsa jest to wizyta u lekarza.

Po usłyszeniu bezlitosnej diagnozy dociera do niego, że wiódł jałową egzystencję. Jak na dżentelmena w meloniku przystało, trzyma fason, ale postanawia żyć oddając pełnię życia (choć nie ma pojęcia, co to właściwie oznacza). W przypadku wyspiarzy kontrolowanie emocji polega na tym, że łatwiej zwierzyć się obcym ludziom niż rodzinie. Urzędnik doskonały, spec od spławiania natrętnych petentów i odkładania decyzji do święty nigdy to figura dobrze wpi-

sująca się w realia gasnącego imperium, ale akcja rozgrywa się w czasach, gdy Beatlesi byli jeszcze dziećmi z całkiem innego powodu. „Życie” jest dość wierną kopią „Piętna śmierci” Akio Kurosawy z roku 1952. Dla Billa Nighy’ego zagrać Pana Zombie to

jak bułka z masłem, ale ta rozwlekła baśń o nawróconym biurokracie wciąż zalatuje sushi. Innymi słowy: dalekowschodni mental, mimo postępów globalizacji, wciąż kiepsko koresponduje z anglosaskimi stereotypami (choć zdarzają się wyjątki, takie jak „Siedmiu wspaniałych”). Nic się nie zmieni dopóty, dopóki producenci będą sponsorować przetrząsanie archiwów, zamiast inwestować w nowe pomysły. © ©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. OLIVIER HERMANUS
„ŻYCIE” („LIVING”)
WIELKA BRYTANIA/ JAPONIA/SZWECJA
2022

wyst. Bill Nighy,
Aimee Lou Wood,
Alex Sharp



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „BALDUR'S GATE 3”

Król erpegów powraca w wielkim stylu. Od pierwszych minut – a zaczynamy ok. 100 lat po wydarzeniach przedstawionych w dodatku do „BGII” – historia wciąga po uszy. Podobnie jak ogromny, klimatyczny, immersyjny świat, na który wyraźnie wpływamy

naszymi decyzjami. Świetne dialogi, doskonale nakreślone postaci, które autentycznie się lubi lub faktycznie nas irytują, masa zawartości. Do tego bardzo dobra oprawa audio-wideo. Ogromna gra na setki godzin, która może jednak przytłoczyć. Dużo daje,

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



ale i sporo wymaga. Zwłaszcza poświęcenia jej czasu i uwagi. Warto to zrobić. © ©
Radosław Wojtas
• **Gatunek:** RPG
• **Platforma:** PC
• **Producent, dystrybutor:** Larian Studios

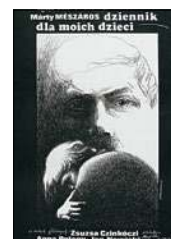
CHŁOPOMAN I PATRIOTA



★★★★★
REŻ. MARIA GUZY
„GOSPODARZ. WŁODZIMIERZ TETMAJER ZNANY I NIEZNANY”
POLSKA 2020

Był ulubieńcem Matejki, ale malarstwo historyczne go nie kręciło. Wolał sławić pędzlem urodę podkrakowskich Bronowic, gdzie również (ku zgrozie rodziny) znalazł żonę. Ślub inteligenta o szlacheckich korzeniach z chłopką wstrząsnął Krakówkiem. Związek okazał się jednak szczęśliwy, bo oprócz kobiety Włodzimierz widział w Annie personifikację ojczyzny. Równie stały był w poglądach na sztukę: wierzył, że powinna czerpać siłę z folkloru. Przyłożył rękę do powstania Panoramy Raławickiej, chętnie dekorował wnętrza świątyni. W kościele w Sosnowcu Ducha Świętego przedstawił pod postacią białego orła. Witosa uważał za męża stanu, wspierał Legiony, uwijał się w kuluarach konferencji w Wersalu, jednak potem polska polityka tak mu obmierzała, że nie przyjął teki ministra. Może w Roku Włodzimierza Tetmajera wydarzy się cud i rodacy przestaną mylić Gospodarza z „Wesela” z jego przyrodnim bratem poetą? © ©

ODDECH STALINA



★★★★★
REŻ. MÁRTA MÉSZÁROS
„DZIENNIK DLA MOICH DZIECI” („NAPLÓ GYERMEKIMNEK”)
WĘGRY 1982

Młodość w cieniu czerwonej gwiazdy. Czy kogoś to jeszcze kręci? Czerdziesięć lat temu rozliczenia z gnijącym systemem i własnym węć uwikłaniem były wziętym gatunkiem literacko-filmowym. Pierwsza część trylogii Márti Mészáros wyróżniała się stylem, ascetycznym i beznamietnym. Bohaterką jest nastoletnia sierota, która w 1949 r. wraca do ojczyzny. Pokiereszowany Budapeszt wydaje się Juli rajem na ziemi, ale gad komunizmu przypętl już nad Dunaj i swym jadem zatrzuwa umysły. Krnąbrna dziewczyna źle się czuje w skórze czerwonej księżniczki, od szkoły woli kino. Są tu polskie akcenty: Anna Polony znakomicie gra babochłopa z psim oddaniem służącego Partii. Jan Nowicki jako przyszywany wujek, który woli wino od kawy, trochę razi nonszalancją. Dla zainteresowanych penetracją mroków węgierskiej duszy mam złą wiadomość: w tym filmie zło jest uniwersalne. © © **Wiesław Chełmniak**

wyst. Zsuzsa Czinkóczi, Anna Polony,
Jan Nowicki

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Narzędzia walki klasowej

Czas wielkiego przełomu związanego z upadkiem ZSRŚ, odzyskanie przez Polskę suwerenności po 1989 r. i żmudne budowanie III Rzeczypospolitej przedstawia prof. Wojciech Roszkowski w drugiej części najgłośniejszej książki ostatniego roku, czyli podręcznika do nowego przedmiotu historia i teraźniejszość.

I ten tom czyta się znakomicie, co nie znaczy, że nie skłania do polemiki. Na dobrą sprawę to nie jest w ogóle podręcznik, lecz książka, którą uczniowie szkół średnich powinni przeczytać i uzyskane treści, a przede wszystkim interpretacje, poddać na lekcjach analizie, bo „temu – powiada autor – służyć powinny lekcje historii w szkole”.

Profesor Roszkowski nie zamyka się w ramach najnowszej historii Polski, a nawet Europy, poszczególne rozdziały poświęcając innym regionom świata, w tym tak ważnym jak azjatycki. Podobnie też jak w pierwszym tomie „Historii i teraźniejszości” zwraca uwagę na zjawiska i dzieła kultury, bo to one po latach stają się często najważniejszym świadectwem epoki, a nie polityczne zawirowania, konflikty i, niestety, wojny. Jednak autor nie pozostaje wobec artystycznych osiągnięć – i tych rzeczywistych, i tych za takie uchodzących – bezkrytyczny. Potrafi np. w wymienionym w książce „Forreście Gumpie” Roberta Zemeckisa dostrzec „wspianą alegorię osoby i społeczeństwa”, a także przypomnieć, że francuski „Le Monde” wśród 100 najwybitniejszych książek XX w. nie wymienił żadnej powstałej po roku 1989. Tej ostatniej kwestii specjalnie nie rozwija, wskazując jedynie, że tytuły królujące w ostatnich latach na listach bestsellerów „dawały najczęściej tylko namiast-



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

kę poważniejszych refleksji nad ludzką kondycją”. Odnosnie zaś do filmów, to cóż, „nawet hollywoodzka fabryka snów zaczęła lansować relatywizm moralny”, z czym trudno polemizować.

A tak, przepraszam za ciekawość, z czym właściwie polemizują niesłuchanie wymowni przeciwnicy książki prof. Roszkowskiego, samego autora, wydawcy – a może przede wszystkim ministra edukacji, który wpisał ten tytuł do wykazu podręczników szkolnych. Dla przypomnienia: szefem odpowiedniego resortu jest Przemysław Czarnek. I wszystko jasne. Podręcznik Wojciecha Roszkowskiego jest zły z natury rzeczy, bo na jego część pierwszą oburzył się Tusk, którego rzekomo najbardziej poruszyły fragmenty podręcznika odnoszące się do dzieci poczętych metodą in vitro. W istocie równie „skandaliczny” mógłby być każdy inny ustęp książki, której grzechem pierworodnym – dla „totalnej” opozycji – był negatywny stosunek nie tylko do komunizmu, lecz także wszelkiego lewactwa oraz mocno sceptyczne nastawienie do liberalnej demokracji. Dodajmy do tego, że autor konsekwentnie nazywa LGBT ideologią i mamy komplet.

Teraz, w drugiej części podręcznika, oburzeni „postępowcy” na czele z burmistrzem Ustrzyk Dolnych, który zakazał (!) uży-

wania podręcznika Wojciecha Roszkowskiego w jego (!) szkołach, mogą sobie przeczytać: „Teza ideologii LGBT, że społeczne role mężczyzn i kobiet nie mają wiele wspólnego z płcią biologiczną i że są produktem kultury, jest bardziej szalona niż marksistowsko-engelsowska teza o walce klas w... rodzinie (patrz: »Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa« Friedricha Engelsa)”. Trudno i darmo, ale cieszę się, że pan profesor kolejny raz dowiódł, że poprawność polityczną ma w... dużym poważaniu. Zresztą podany przez niego przykład tej „poprawności” w postaci opublikowanych nowych wersji Biblii, „w których Bóg Ojciec musi być Ojco-Matką, aby nie razić skrajnych feministek, a jego »prawica« staje się »mocarną ręką«, żeby nie dyskryminować lewicy i mańkutów”, jest obezwładniający.

Książkę prof. Roszkowskiego krytykuje się za „dzielenie Polaków”, co ma za złe autorowi niezwykle zasłużona w jednoczeniu narodu postać Lubnauer, za jednoznacznie negatywne podsumowanie działalności publicznej Ewy Kopacz, szczególnie zapamiętanej przez tenże naród za ujmujące za serce zachowanie po katastrofie smoleńskiej, ale najbardziej ujął mnie Wiesław Władyka, aż za dobrze znany z „Polityki” i TOK FM, który rozdarł szaty nad tym, że historia i teraźniejszość wyparła ze szkół nieoceniony wprost WOS, czyli wiedzę o społeczeństwie, na której „młodzi ludzie dostawali jakieś narzędzia, aparat pojęciowy wprowadzający ich w obywatelskość w rozumieniu polityczno-socjologicznej współczesności”. Nawet pamiętam, jak się te narzędzia nazywały: młot, sierp i cep. ©



★★★★★
**WOJCIECH
ROSZKOWSKI**
**„HISTORIA
I TERAŹNIEJSZOŚĆ
1980–2015.
PODRĘCZNIK
DLA LICEÓW
I TECHNIKÓW.
CZĘŚĆ 2”**
**BIAŁY KRUK,
KRAKÓW 2023**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Cień góry

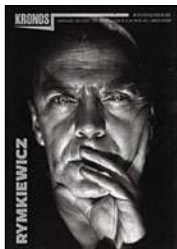
Los ambitnych pism łatwy nie jest, witamy dopiero dziś numer kwartalnika „Kronos” opatrzonego numerem 1/2023. Miała ta premiera uczcić pierwszą rocznicę śmierci Jarosława Marka Rymkiewicza, zabieramy się za lekturę niemal pół roku później, ale to nieważne, bo liczy się to, co w środku. Cześć za to było warto i nie mam wątpliwości, że kiedyś będzie ten numer pisma antykwarecznym białym krukiem.

Powodów wiele. Choćby dla samych fragmentów nie-napisanej nigdy książki JMR o Maurycym Mochnackim. Dla rozbitych na trzy części „Rozmów, wróżb, snów polskich w Paryżu wiosną 1985”. Choćby dla eseju Krzysztofa Rutkowskiego „Z Rymkiewiczem nad zakolem Marny”. Dla trzech wierszy napisanych przez żegnającego się powoli ze światem poetę: „Wszystko co było znów otwiera usta / I znów chce śpiewać – jak ten zając w chrusztach / Zając a owszem ale bez ogona / Właśnie dlatego ja mam Parkinsona” („Księżyć jak zając”). I dla tekstu Piotra Nowaka „Odzykiwanie pamięci”, w którym wychodząc od słynnej książki „Umschlagplatz”, snują się rozważania o losach polsko-żydowskich z podsumowaniem: „Jeśli kiedykolwiek pojawi się w was

moment wahania, po czyjej stronie stoi racja, wracajcie do Rymkiewicza. On wam powie”.

Piękna i mądra jest ta antologia pośmiertna mistrza i dla mistrza, który jest jak góra – tym lepiej widać ogrom, im bardziej się oddalimy, bo dopiero z pewnej odległości dostrzeżemy, jak wznosi się nad innymi. Nie rozstaję się z Rymkiewiczem, nie ma tygodnia, bym do niego nie zaglądał. Jak przeżyć sierpień, nie wracając do „Kinderszenen”? Jak ominąć w czas zaduszny powrót do tomu „Moje dzieło pośmiertne”? Jakże nie powtórzyć po cichu, gdy nadejdzie grudzień, słów: „Kiedy się obudziłem, Polski już nie było”? A cykl mickiewiczowski od lat czytam po prostu na wrywki jak ulubioną encyklopedię czy słownik.

„Przekonanie o nieciągłości bytu, o zerwaniu tradycji, o pokawałkowaniu i rozczłonkowaniu życia nie wynikało z lektury modnych francuskich filozofów, ale z doświadczenia osobistego, z dziejów rodziny, z historii Polski tamtego przerażającego stulecia” – pisze o rozważaniach ojca Wawrzyniec Rymkiewicz we wstępie do numeru. „Filozofia może się od poezji wiele nauczyć. Tak właśnie rozumieli stosunki filozofii i poezji pisarze Młodej Polski. Ojciec podjął tamtą tradycję”. ©©



★★★★★
AUTORZY RÓŻNI
„KRONOS”
1/2023
FUNDACJA
AUGUSTA
HRABIEGO
CIESZKOWSKIEGO
2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Jeśli go nie znałeś, to nie żałuj, bo przyjaciela straciłbyś” – śpiewał o nim Ryszard Riedel. Biografia Ryszarda „Skiby” Skibińskiego, legendy polskiego bluesa, to także opowieść o grupie Kasa Chorych i szarym PRL.



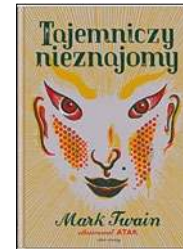
MAREK
GAŚSIOROWSKI,
ROBERT TRUSIAK
„SKIBA.
NIEDOKOŃCZONY
BLUES”
PAŚNY BURIAT

4,6 miliarda lat w 12 rozdziałach – najnowsza książka brytyjskiego paleontologa, redaktora prestiżowego magazynu „Nature”. Wyróżniona Royal Society Science Books Prize, rekomendowana przez Jareda Diamonda.



HENRY GEE
„(BARDZO)
KRÓTKA HISTORIA
ŻYCIA NA ZIEMI”
ZYSK I S-KA

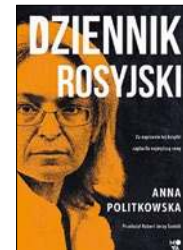
Nowy przekład ostatniego dzieła Twaina, fantastycznej opowieści o Szatanie podającym się za anioła i jego wizycie w pewnej austriackiej wiosce. Plus ekspresyjna szata graficzna z edycji francuskiej.



MARK TWAIN
„TAJEMNICZY
NIEZNAJOMY”
DWIE SIOSTRY

Wznowienie książki „Udręczona Rosja. Dziennik buntu” w nowym przekładzie. Zapisy prowadzone od grudnia 2003 r. do sierpnia 2005 r. Rok później antyputinowska dziennikarka została zamordowana. ©©

recenzuje Piotr Gociek



ANNA
POLITKOWSKA
„DZIENNIK
ROSYJSKI”
MOVA

KOMIKS TYGODNIA:
„POWSTANIE WARSZAWSKIE”,
T. 2

ciąg dalszy opowieści o bohaterach znanych z części pierwszej (ukazała się rok temu), a są nimi 17-letnia Zosia ps. Oczko i 15-letni Janek ps. Wydra. Ich historia w tym tomie rozpoczyna się 5 sierpnia na warszawskiej Woli od walk toczonych przez żołnierzy batalionów „Zośka” i „Parasol”.



AUTORZY RÓŻNI
„POWSTANIE
WARSZAWSKIE”,
T. 2. KOMIKS
PARAGRAFOWY”
IPN 2023

Jako że komiks jest paragrafowy, można go czytać kilkakrotnie, za każdym razem inaczej wybierając sekwencję zdarzeń. **Piotr Gociek**



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Nowe otwarcie

Pozostając miejscem szczególnym dla Polaków, Cytadela Warszawska zmienia swój charakter i otwiera się na mieszkańców Warszawy oraz turystów. Muzeum Katyńskie, Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej, Oddział Muzeum Niepodległości wraz z powstającym Muzeum Historii Polski i Muzeum Wojska Polskiego tworzyć będą nowoczesny kompleks muzealny.



FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Na otwarcie MHP musimy jeszcze nieco poczekać (wystawa czasowa zostanie udostępniona w drugiej połowie września), niedawno wystawę inauguracyjną – „1000 lat chwały oręża polskiego” – pokazało Muzeum Wojska Polskiego.

Zajmuje ona większą powierzchnię niż wystawa stała Muzeum Wojska Polskiego w dotychczasowej siedzibie i liczy ponad 3 tys. eksponatów. Sporo, choć to kropla z kolekcji liczącej ponad 300 tys. muzealiów. To nie koniec budowy, bo w planach jest wzniesienie kolejnego pawilonu MWP. Powstanie również wystawa plenerowa. Dotychczas Muzeum Wojska Polskiego (powołane do życia w 1920 r.) działało w budynkach użytecznych. © ©

GDZIE? Cytadela Warszawska



FOT. DANUTA MATCZAK/MPN

„POMORSKI KATYŃ”

I jeszcze jedno otwarcie. Tym razem Muzeum Płańckiego w Villi Musica w Wejherowie. – To był „Pomorski Katyń”, „Pomorska Golgota” – zbrodnia, o której pamięć, mimo przeciwności, została przeniesiona przez lata. Zadbały o nią rodziny i działacze społeczni, a teraz możemy tę pamięć podnieść do poziomu instytucji – powiedział minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński podczas uroczystości otwarcia muzeum. Villa Musica, w której działa placówka, to miejsce mające głęboki związek ze zbrodnią, której poświęcone jest muzeum. © ©

GDZIE? Muzeum Płańckie w Villi Musica w Wejherowie

NA SŁUCH

Odnalezione skarby



GRZEGORZ BRZozowicz

W latach 70. Neil Young był najbardziej twórczym amerykańskim wykonawcą, choć z urodzenia jest Kanadyjczykiem. Wydał wówczas kilka solowych arcydzieł oraz jedno z kwartetem Crosby, Stills, Nash & Young. Jednocześnie kilka nagranych albumów schował do szuflady.

W ciągu ostatnich lat Young zaczął wietrzyć swoje archiwum, dzięki czemu w 2017 r. dostaliśmy akustyczny „The Hitchhiker”, a trzy lata później country-rockowy „Homegrown”. Fani z napięciem czekali jednak na „Chrome Dreams”, album, który powstawał przez trzy lata i miał się ukazać w 1977 r. Wszystkie piosenki z tej płyty, w oryginalnej albo zmienionej formie, zostały

wydane przez Younga, ale nigdy na jednym krążku. Najpóźniej fani poznali utwór „Stringman”, który pojawił się w 1993 r. na płycie „Unplugged”. Przez 45 lat „Chrome Dreams” był jednym z najsłynniejszych „zaginionych albumów” w historii rocka. Zwłaszcza że na jego repertuar złożyły się prawdziwe perły, jak „Like a Hurricane”, „Pocahontas” czy „Powderfinger”. W 2007 r. Neil wydał nawet drugą część albumu o tytule „Chrome Dreams II”.

Tylko trzy z dwunastu piosenek wyraźnie różnią się od wersji znanych z wcześniejszych płyt. Niewątpliwie 45 lat temu album zrobiłby większe wrażenie, ale i tak jest to jedna z ważniejszych płyt w obszernym katalogu wybitnego artysty. © ©



★★★★★
NEIL YOUNG
„CHROME DREAMS”
REPRISE



★★★★★
JOHN COLTRANE
WITH ERIC DOLPHY
„EVENINGS AT THE VILLAGE GATE”
IMPULSE!

Niepublikowane koncertowe nagrania z 1961 r. Kwintet Coltrane’a wraz z Dolphy roztacza prawdziwą magię, mimo że dźwięk nagrania nie jest perfekcyjny. Pięć ponad 10-minutowych klasyków, w tym „My Favorite Things” i „Africa”.



★★★★★
THE HIVES
„THE DEATH OF RANDY FITZSIMMONS”
DISQUES HIVES

Na szóstym albumie, wydanym po 11 latach przerwy, Szwedzi są zuchwali i złośliwi jak dawniej. Ich obecna mieszanka thrashowych wybuchów, electrofunku i gangsterskich opowieści jest niczym innym, jak wezwaniem do karkołomnej, a zarazem nostalgicznej zabawy. © ©

Dwóch profesjonalnych iluzjonistów, z aktorskim przygotowaniem i wieloletnim doświadczeniem z pokazów tzw. magii, przetworzyło w wykraczający daleko poza świat tej specyficznej rozrywki pełnowymiarowy spektakl teatralny. Podczas wakacji „The Trick” pojawiał się, ale wyłącznie na festiwalach cyrkowych (lubelski Carnaval, oleśnicka OFCA) – bo przecież teatr zajmuje się poważniejszymi sprawami, a kuratorzy festiwali teatralnych nie wystawiają nosa poza własne poletko. Jako propozycja bezkompromisowa, nie-standardowa, wykraczająca poza schematy i formaty nie zmieścił się też, na razie, w repertuarze żadnej ze scen. Tak więc, jeśli się chce „The Trick” po wakacjach zobaczyć, to trzeba na niego zapolować. Warto.

Panowie Rotowski i Słomka, majstrzy w swoim fachu, w typowych dla prestidigitatorów anturażu, scenerii i kostiumach prezentują swoje popisowe numery. Szybkie tempo, sztuczki z odgadywaniem zakrytych kart, zamkniętych kopert – cały ten efektowny towar nie pierwszej świeżości, który świetnie się sprawdza w telewizji i na firmowych eventach. Ale ich komentarz, który na początku wydaje się zabawną wariacją z dziedziny „magia i jej zde-maskowanie”, zmierza w kierunku analizy bezlitosnej i bezkompromisowej. Bo choć nie brakuje tu znikających przedmiotów, odwracania uwagi i oszukiwania percepcji widzowi, to tytułowy trik jest zaledwie punktem wyjścia do wykładu, błyskotliwego i zmuszającego do przemyśleń. Opowieść, która zaczyna się od tłumaczenia sposobów na trik, na sztuczki, w sam raz



Zawodowi magicy i technologia polityczna



Grzegorz Kondrasiuk

Czasem w tzw. teatralnym office, poza instytucjami, powstaje coś świeżego i zaskakującego. Nie ma szans, by wpadli na to twórcy mainstreamowi, nawet ci zorientowani najbardziej eksperymentalnie. To jest właśnie przypadek spektaklu „The Trick”, stworzonego przez duet Rotowski & Słomka

do zabawnych popisów przed znajomymi, szybko dochodzi do tematów marketingu, technologii politycznej czy teorii spiskowych.

Nie ma co się oszukiwać – iluzja ma zszarganą opinię. Zresztą tak jak jej szlachetny kuzyn teatr, pretendujący do miana sztuki elitarnej, a przecież uważany powszechnie za rozrywkę i sprawkę antyintelektualną. Tymczasem zawodowi magicy mają nam do powiedzenia rzecz arcyważną i w dodatku jest to prawda. Zarządzanie światem polega na zestawie tych samych chwytów, na których opiera się każdy pokaz iluzji. Wykonawcy wyliczają główne elementy, zasady stosowane zarówno przez sprzedaw-

ców, jak i politycznych spin doktorów. Obietnica (należy zawsze obiecywać, niezależnie od dalszego ciągu), stawka (wciągamy naszych słuchaczy w grę, zawsze o coś, nie bójmy się proponować rzeczy i wartości największych czy nierealnych), błąd (na „bezczela”, im bardziej, tym lepiej), odwracanie uwagi (zrobić dużo szumu, by po cichu przeprowadzić to, na czym nam zależy), zaskoczenie (tatyka szoku), rytm (hipnotyzujący i usypiający czujność) – szokująco proste, szokująco skuteczne chwyt. Sam towar, który chcemy sprzedać, albo nasze poglądy to już są kwestie drugorzędne.

I choć przykłady, które pojawiają się we wstawkach filmowych, uderzają głównie

w Stany Zjednoczone Ameryki, w zintytucjonalizowaną religię i partię aktualnie rządzącą – co ukrywa uniwersalny przekaz – to chłopakom i tak udało się trafić w sam środek tarczy. Stworzyli spektakl tak naprawdę aktualny w każdych okolicznościach i pod każdą szerokością geograficzną, teatr prawdziwie polityczny, a nie tylko naiwnie zaangażowany. W dodatku opowieść o ponowoczesnym, przesyconym mediami zachodnim społeczeństwie w spektaklu oparli na autentycznym, świetnie opanowanym warsztacie, na rzemiośle. Rzemiosło, choćby to była tylko „magia”, jest mądrzejsze od poglądów. Coś wielkiego tutaj, w spektaklu „The Trick”, się udało, na chwilę ukazano nam groźną naturę rzeczy. ©

ROTOWSKI & SŁOMKA, „THE TRICK”
SCENARIUSZ, REŻYSERIA:
WOJCIECH ROTOWSKI, ROMAN SŁOMKA
PREMIERA: 1 GRUDNIA 2022 R.
GRAND PRIX KONKURSU NA AUTORSKI SPEKTAKL CYRKOWY FESTIWALU CARNAVAL SZUKMISTRZÓW
NAJBLIŻSZY POKAZ: 16 WRZEŚNIA, KLUB HYBRYDY, WARSZAWA

W sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa może być przeprowadzone referendum ogólnokrajowe” – mówi polska konstytucja w art. 125. Jednak referendum, do którego próbuje właśnie doprowadzić PiS (tekst powstaje jeszcze przed posiedzeniem Sejmu, które ma sprawę rozstrzygnąć), zapowiada się raczej jako karykatura tej instytucji.

Najbardziej z referendum kojarzona jest Konfederacja Szwajcarska (formalnie jest to jednak państwo federalne, nie konfederacyjne – wbrew nazwie). Tylko w 2022 r. przeprowadzono tam aż trzy referenda federalne, a w każdym zadawano po kilka pytań, m.in. o ochronę niepełnoletnich przed reklamą wyrobów tytoniowych (przyjęto), o zakaz intensywnej produkcji rolnej (odrzucono) czy o wprowadzenie opodatkowania serwisów VOD, takich jak Netflix (przyjęto). W Szwajcarii dla podjęcia nowej inicjatywy, czyli doprowadzenia do referendum w sprawie nowego aktu prawnego, potrzeba 100 tys. podpisów. Dla zainicjowania referendum w sprawie potwierdzenia lub odrzucenia istniejącego prawa wystarczy już tylko 50 tys. podpisów. Czyli odpowiednio 1,14 proc. oraz 0,57 proc. ludności (nawet mniej, jeśli wliczyć tylko obywateli Szwajcarii, gdzie ok. jednej czwartej mieszkańców to obcokrajowcy). W Polsce do wniesienia obywatelskiego wniosku o referendum potrzeba 500 tys. podpisów, a więc 1,31 proc. ludności, przy czym wniosek może zostać odrzucony przez Sejm.

Jeśli uznać, że Szwajcaria jest wzorcem z Sèvres tego, jak należy traktować instytucję referendum, to Polska jest mocno od tego wzorca oddalona, a za sprawą obecnego referendum oddali się jeszcze bardziej.

POLITYCY KONTRA OBYWATELE

Referendum w naszym kraju niekomunikacyjnie kojarzyło się dobrze. W 1946 r. komuniści przeprowadzili słynne referendum „3 x TAK”, mające potwierdzić ich dominację – oczywiście całkowicie sfalszowane. Pytania brzmiały:

„Czy jesteś za zniesieniem Senatu?

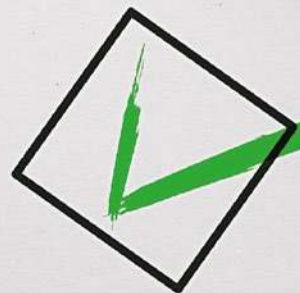
Czy chcesz utrwalenia w przyszłej Konstytucji ustroju gospodarczego, zaprowa-

Instrukcja obsługi



Łukasz Warzecha

Referendum powinno być kwintesencją demokracji, ale w Polsce jest instytucją fasadową i tegoroczne głosowanie tylko to potwierdza



dzzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?

Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?”

Według podanych do wiadomości publicznej wyników na pierwsze pytanie „tak” odpowiedziało 68 proc., na drugie – 77,2 proc., na trzecie – 91,4 proc. Profesor Andrzej Paczkowski w latach 90. podał na podstawie archiwów wyniki prawdziwe: 73,1 proc., 58 proc. oraz zaledwie 33,1 proc.

W III RP odbyło się w sumie pięć referendów, jednak przełomowy był rok 2003. Wtedy, w oczekiwaniu na przyjęcie Polski do UE, trzeba było przeprowadzić referendum akcesyjne i na jego potrzeby powstała Ustawa o referendum ogólnokrajowym. Referendum przeprowadzono w ciągu dwóch dni w czerwcu tamtego roku i przy frekwencji sięgającej prawie 59 proc. 77,45 proc. opowiedziało się za wejściem Polski do Unii Europejskiej. Jak nietrudno zauważyć, była to mniejszość uprawnionych go głosowania.

Drugie referendum na podstawie ustawy odbyło się we wrześniu 2015 r., a plan jego przeprowadzenia ogłosił po-

między turami wyborów prezydenckich Bronisław Komorowski, któremu ziemia usuwała się już spod nóg. Skorzystał z jednej z dwóch możliwości zarządzania referendum: albo poprzez uchwałę Sejmu podjętą bezwzględną większością głosów z własnej inicjatywy, na wniosek Rady Ministrów, Senatu lub grupy obywateli, albo poprzez zarządzenie prezydenta za zgodą Senatu także wyrażoną większością bezwzględną. Komorowski chciał zjednać sobie wyborców Pawła Kukiza i dlatego najważniejszym pytaniem referendalnym było to o wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych do Sejmu. Poza tym zapytano o to, czy ma zostać utrzymany dotychczasowy sposób finansowania partii politycznych z budżetu państwa oraz czy ma zostać wprowadzona zasada ogólna rozstrzygania wątpliwości na korzyść podatnika. Pytania dotyczyły faktycznie istotnych spraw i były nawet sensownie sformułowane, ale nim referendum się odbyło, Bronisław Komorowski przegrał wybory, a będący na fali PiS nawoływał, żeby głosowanie zlekceważyć. I tak się stało: do urn poszło niespełna 8 proc. uprawnionych, przy czym wyraźna większość odpowiedziała twierdząco na wszystkie pytania.

referendum

wnioskiem o referendum podpisałoby się milion Polaków, głosowanie musiało- by zostać zorganizowane. I do tego warto dążyć.

CO CHCE UGRAĆ PiS?

Tak dochodzimy do roku 2023. Zjednoczona Prawica rozpaczliwie szukała tematu, który pociągnie jej kampanię. Takim tematem ma się stać referendum, zorganizowane łącznie z wyborami parlamentarnymi. Taka sytuacja miałaby miejsce po raz pierwszy i z pewnością miałaby wpływ na frekwencję.

Co politycznie chce ugrać PiS? Cechów jest kilka. Po pierwsze – przejęcie inicjatywy i zmuszenie przeciwnika do gry na własnej połowie. To się w jakiejś mierze udało: pytania referendalne stały się punktem odniesienia w kampanii, przynajmniej na razie. Po drugie – wymuszenie na oponentach, żeby się określili w sprawach wygodnych dla PiS, być może zaprzeczając częściowo swoim wcześniejszym deklaracjom. Po trzecie – wynik referendum może dać argumenty w sporze z UE. Po czwarte – choć to akurat powód najsłabszy i mający najmniejsze szanse się zrealizować – wiążący wynik referendum zablokowałby niektóre potencjalne zmiany w Polsce po zmianie władzy.

Wyniku wiążącego nie należy mylić z ważnością referendum. Warunkiem wiążącego wyniku jest frekwencja powyżej połowy uprawnionych do głosowania, natomiast ważność – czyli prawidłowe przeprowadzenie referendum – stwierdza Sąd Najwyższy w terminie 60 dni od podania rezultatu głosowania. Zatem każde wiążące referendum musi być zarazem ważne, ale niekoniecznie każde ważne jest wiążące. To z 2015 r. było ważne, ale nie było wiążące.

Dla PiS korzystne byłoby, gdyby wynik okazał się wiążący oraz oczywiście po myśli partii Jarosława Kaczyńskiego. Przeprowadzenie referendum łącznie z wyborami da pewne oszczędności (referendum z 2015 r. kosztowało ponad 70 mln zł), ale przede wszystkim wpłynie na frekwencję.

Obóz władzy chce referendum przede wszystkim nie dlatego, że jest tak uczulony na wolę obywateli, ale dlatego, że chce nim uderzyć w przeciwnika. Jednym ze sposobów będzie wskazywanie, że PO nie chce, aby ludzie decydowali o tym, co ważne. To oczywiście skrajna

Jednak wtedy, gdy głosowania powszechnego chcieli obywatele, ustawa się nie sprawdzała. W 2013 r. Sejm odrzucił wniosek obywatelski o przeprowadzenie referendum w sprawie obowiązku edukacyjnego dla sześciolatków – jednej z budzących największy sprzeciw reform rządu PO. Oznaczało to zmielenie miliona podpisów, zebranych przez Fundację Rzecznik Rodziców państwa Elbanowskich, i ostentacyjne zlekceważenie woli obywateli. To jeden z największych minusów obecnej ustawy: Sejm może po prostu zlekceważyć wniosek obywateli, nawet poparty przez tak olbrzymią liczbę osób.

Porażkę referendalną zaliczył także prezydent Andrzej Duda w swojej pierwszej kadencji. Prezydent ogłosił niespodziewanie 3 maja 2017 r., że zamierza zawnioskować o przeprowadzenie referendum w sprawie zmiany konstytucji, które miało się odbyć na stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Wkrótce plany Andrzeja Dudy się jednak posypały. Okazało się, że PiS – który wówczas kontrolował Senat – głosowania nie chce, więc senatorowie nie poparli wniosku głowy państwa. Referendum byłoby zresztą tylko konsultacyjne, a nie konstytucyjne – w przeciwieństwie do re-

ferendum z 1997 r. – bo przecież żadnego projektu nowej konstytucji nie było. Stąd lista pytań, która wzbudziła powszechne zdumienie. Znalazło się tam nawet pytanie o wpisanie do konstytucji członkostwa w UE na wzór francuski. Pomysł umarł.

Prawnik z Uniwersytetu Śląskiego, dr Marek Suska, napisał w ubiegłym roku artykuł naukowy, w którym referendum „w sprawach szczególnej wagi dla państwa” określił jako instytucję symboliczną. Suska stwierdza:

„Określanie referendum mianem fasadowego wyraża rozczarowanie faktem, że nie spełnia ono swojego celu *prima facie*, którym jest umożliwienie obywatelom podejmowania wiążących decyzji politycznych w sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa. Instytucja referendum w sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa może być oceniona jako nieefektywna, a może jeszcze trafniej – jako nieprzydatna w polskim ustroju [...]. Jej trwanie można wyjaśnić zjawiskiem bezwładności legislacyjnej. Po tym, gdy raz uczyniono ją częścią polskiego ustroju, trudno wyobrazić sobie jej usunięcie”.

Poza usunięciem takiej instytucji jest jeszcze druga metoda: jej naprawa, choćby poprzez sprawienie, że jeśli pod

FOT. AUDREY STUCK

demagogia, ale uczestnictwo w głosowaniu będzie jedną z osi kampanii. Na tych, którzy nie będą chcieli dołożyć się do frekwencji, czekają jednak pułapki.

LICZĄ SIĘ KARTY W URNIE

Przed wszystkim nie było jasne, jak frekwencja będzie liczona. Ustawa o referendum w art. 22 mówi, że „komisja obwodowa na podstawie liczby kart ważnych, wyjętych z urny, ustala liczbę osób, które wzięły udział w referendum”. Oznaczałoby to, że liczą się karty wrzucone do urny, a nie pobrane. Część ekspertów twierdzi jednak, że frekwencję będzie się zliczać na podstawie rejestru pobranych kart. Zadałem w tej sprawie pytania Państwowej Komisji Wyborczej. Odpowiedź jest jednoznaczna: „Liczba osób, które wzięły udział w referendum (frekwencja referendalna), ustalana jest wyłączenie na podstawie liczby kart ważnych wyjętych z urny wyborczej. Powołana ustawa [o referendum ogólnokrajowym] nie przewiduje ustalania tej liczby na podstawie innego kryterium” – odpisało biuro prasowe PKW. Tu zaznaczyć trzeba, że do frekwencji liczy się także karta ważna z głosem nieważnym – to również dwie odrębne kwestie. Ważna jest karta o określonym wzorze, podstemplowana – niezależnie od tego, czy oddany na niej głos jest ważny czy nie. Zatem oddanie nieważnego głosu – np. poprzez jednocześnie zaznaczenie „tak” i „nie” – nie jest sposobem na obniżenie frekwencji.

Będzie zapewne wiele sytuacji, gdy wyborca w lokalu z rozpędu pobierze kartę referendalną oprócz karty do głosowania w wyborach, ale potem dojdzie do wniosku, że w referendum nie chce brać udziału. Tyle że nie za bardzo ma wtedy co z kartą zrobić. Wynieść z lokalu mu jej nie wolno – zgodnie z art. 497a kodeksu wyborczego to przestępstwo zagrożone karą do dwóch lat pozbawienia wolności. Podrzeć także jej nie wolno – kodeks karny w art. 248 przewiduje za zniszczenie materiału wyborczego karę do trzech lat pozbawienia wolności. Przed takim problemem stanie w tym roku zapewne wiele osób.

DEMAGOGICZNE PYTANIA

Odrębny rozdział to pytania, które skonstruowano w większości językiem propagandy. Częściowo zresztą PiS zo-

Zadziwiające jest pytanie o likwidację bariery na granicy z Białorusią, której żadne ugrupowanie likwidować nie chce

rientował się, że stworzył pytania absurdalne, i dwa z nich zmienił w stosunku do pierwotnej wersji. W pierwszym pytaniu mieliśmy najpierw „przedsiębiorstwa państwowe”, których – zgodnie z definicją ustawową – jest w Polsce raptem 17 i poza Polską Żegluga Morską to kompletnie nieznaczące firmy. We wniosku skierowanym do Sejmu ostatecznie pytanie brzmi: „Czy popierasz wyprzedaż majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?”.

Użycie słowa „wyprzedaż” ma oczywiście znaczenie propagandowe, ale w razie wiążącego wyniku referendum może mieć paradoksalny skutek. Prawo nie zna bowiem pojęcia „wyprzedaży”, słowniko-wo zaś to sprzedaż po obniżonej cenie. Zatem nawet gdyby Polacy odpowiedzieli „nie”, nie oznaczałoby to zablokowania prywatyzacji na rynkowych warunkach, bo taką sprzedaż trudno nazwać „wyprzedażą”. Poza tym to najbardziej demagogiczne z proponowanych pytań – próba przywrócenia emocji i konfliktu, mającego źródła w latach 90. i dla wielu młodszych wyborców kompletnie nieczytelnego. Demagogia polega i na tym, że państwo ma udziały w kilkuset firmach, z których jedynie niewielka część należy do „strategiczných sektorów”. O tym, jakie sektory są strategiczne, też można by zresztą dyskutować. Jest natomiast mnóstwo argumentów za tym, żeby zmniejszyć udział państwa w gospodarce.

Kolejne pytanie, także skonstruowane w demagogiczny sposób, brzmi: „Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?”. O jakich tysiącach mowa i dlaczego nie ma w tym pytaniu mowy

o migrantach z Azji, gdzie jest przecież wiele państw obcych nam kulturowo – nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że PiS, który nie prowadzi praktycznie żadnej uporządkowanej polityki migracyjnej, pozwala agencjom zatrudnienia i koncernom ściągać do Polski dziesiątki tysięcy imigrantów zarobkowych z krajów właśnie azjatyckich, takich jak Uzbekistan, Bangladesz, Gruzja – potencjalnie bardzo problematycznych (Gruzini w relacji do ich liczby w Polsce są najbardziej kryminalną grupą cudzoziemców).

Następne pytanie brzmi: „Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn?”. To jest względnie konkretne, ale również razi demagogią. Wydolność polskiego systemu emerytalnego powinna być przedmiotem bardzo poważnej dyskusji, a nie pytania, które nie uwzględnia wielu możliwych rozwiązań.

Zadziwiające jest pytanie o likwidację bariery na granicy z Białorusią, której żadne ugrupowanie nie chce burzyć, a która już kosztowała dobrze ponad miliard złotych. Można by spytać, co zrobiłby rząd, gdyby niespodziewanie większość opowiedziała się jednak za jej skasowaniem, a wynik referendum byłby wiążący. Po co więc ono jest? I po to, żeby postawić w trudnej sytuacji oponentów, i po to, żeby część najbardziej fanatycznych przeciwników PiS jednak się złamała i w emocjach oddała głos na „tak”, podbijając frekwencję.

PiS ogłasza, że chce słuchać Polaków. Dlaczego w takim razie nie zada w referendum pytań o to, co już teraz niszczy naszą pomyślność i zamożność: o akceptację polityki klimatycznej UE albo o strefy czystego transportu czy zakaz sprzedaży samochodów spalinowych? Czyżby dlatego, że sam taką politykę firmuje?

Można powiedzieć, że referendum jest kwintesencją demokracji. W Polsce jest jednak – jak słusznie zauważa dr Suska – instytucja fasadowa i rytualna. Tegoroczne głosowanie tylko to potwierdza. Do zmiany jest Ustawa o referendum ogólnokrajowym. To instrument, który przede wszystkim powinien dawać siłę obywatelom, a nie być kolejną zabawką polityków i środkiem do naganiania sobie poparcia.

© All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone



POLITYCY GINĄ PRZED WYBORAMI

Zanim w Ekwadorze ludzie mogli oddać głosy w wyborach prezydenckich (w niedzielę 20 sierpnia), w kraju zastrzelonych zostało już dwóch polityków. 9 sierpnia po wyjściu ze spotkania z wyborcami zastrzelony został kandydat na urząd prezydenta Ekwadoru Fernando Villavicencio (na zdjęciu). Z kolei 16 sierpnia we własnym domu zabity został kierujący partią Rewolucja Obywatelska Pedro Briones.

FOT. AP/ARISTIDEA

PREZYDENT WOLNY, ZMIANA TOŻSAMOŚCI BO W WIĘZIENIU TŁOK ZA KANAPKĘ

Były prezydent RPA Jacob Zuma trafił za kratki na 15 miesięcy. Wyrok dostał za obrazę sądu. Wypuszczono go jednak na wolność z przyczyn medycznych. Sąd uznał, że to nie było zgodne z prawem. Zuma nie trafi jednak ponownie do więzienia. Powód: więzienia w RPA są przepełnione i brak miejsc.

Amerykańska sieć Subway ogłosiła, że osoba, która oficjalnie zmieni imię na Subway, będzie otrzymywała darmowe kanapki z restauracji do końca życia. W ciągu czterech dni pojawiło się aż 10 tys. chętnych, z których wybrana zostanie jedna osoba. Zwycięzca ma zostać ogłoszony w tym miesiącu.

WAKACYJNE SKUBANIE W RESTAURACJI

Bar nad jeziorem Como we Włoszech stał się znany na całym świecie. Klient opublikował paragon, który tam otrzymał za kanapkę, colę, wodę i kawę espresso. Na rachunku widniała dodatkowa pozycja za 9 euro opisana jako „przecięcie na pół”. Bar doliczył mu tyle za to, że kanapka, którą otrzymał, została przedzielona nożem.

SPORTOWCY UCIEKLI Z MISTRZOSTW

Podczas Mistrzostw Świata U19 w Chorwacji grupa 17-letnich piłkarzy ręcznych z Burundi uciekła swoim przełożonym. Media podają, że chłopcy ruszyli w poszukiwaniu lepszego życia w Europie. Policja w żupanii primorsko-gorskiej oświadczyła, że prowadzi działania, które mają na celu odnalezienie nielegalnych migrantów. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Zimna wojna 2.0

Stany Zjednoczone już mają w Europie ponad 100 tys. żołnierzy. Tak wielu wojskowych z Ameryki nie było na Starym Kontynencie od dwóch dekad. Główna różnica pomiędzy obecną sytuacją a stanem armii amerykańskiej w Europie w czasach zimnej wojny polega na tym, że siły amerykańskie są rozproszone niemal w 20 krajach, a wiele oddziałów stacjonuje w starych państwach Układu Warszawskiego, które są teraz częścią NATO.

Co więcej, władze w Waszyngtonie ustami Johna Kirby'ego zasygnalizowały, że są gotowe nie tylko do

utrzymania tej liczby przez dłuższy czas, lecz także do negocjacji w sprawie ewentualnego dalszego zwiększenia tego kontyngentu. W czasach wojny propagandowej i wszechobecnej dezinformacji twarde liczby to ważna wiadomość. Ameryka wywiązuje się ze swoich zobowiązań. Najważniejsze z nich polega na odstraszaniu tradycyjnie najgroźniejszego agresora na europejskim kontynencie, który – wbrew myśleniu życzeniowemu – wciąż nie tylko nie rozpadł się na małe nic nieznaczące kawałki, lecz także dobrze przygotował się do ukraińskiego kontrataku, który co

prawda odzyskuje część zajętych przez rosyjskich najeźdźców ziem, ale tempo działań jest o wiele wolniejsze niż się spodziewano.

Prosojusznicza postawa Ameryki jest ważna zwłaszcza wtedy, gdy białoruskie śmigłowce wojskowe naruszają polską przestrzeń powietrzną, tysiące najemników z Grupy Wagnera panoszą się w pobliżu granicy, a kolejne prowokacje ze strony Rosji lub Białorusi są tylko kwestią czasu. Dobrze, że polski rząd stawia na sojusznika za oceanem. Czas, aby do obronności poważnie zaczęła podchodzić również opozycja... ©©

Libido et impera



Wojciech Golonka

W chwili masowych protestów przeciw reformie emerytalnej we Francji trwał w najlepsze ekshibicjonizm seksualnych fantazji ministrów Emmanuel Macrona. Odwracanie uwagi od problemów czy „decywilizacja”?

Minister wyzywająco pozująca na okładce „Playboya”, minister odprężający się pisaniem ordynarnej pornografii, minister poświęcający czas na coming out w tęczowym czasopiśmie – to wszystko miało miejsce w tym samym czasie, wiosną, kiedy przez Francję przelewały się burzliwe protesty przeciw reformie emerytalnej, trwała debata o postępującym ubóstwie w społeczeństwie, a dług publiczny bił kolejne rekordy. Wynurzenia ministrów na tle libido były na tyle synchronizowane czasowo, że nie sposób nie zadać sobie pytania, czy całość nie była skoordynowaną rządową seksofensywą, a ekshibicjonizm – desperacką próbą odwracania uwagi od źródła społecznego niezadowolenia.

24 marca ukazał się wywiad w onegdaj gejowskim, dziś już tęczowym LGBTIQ+ czasopiśmie „Têtu” z ministrem pracy Olivierem Dussopt. Tytuł brzmiał ostrzegawczo w kontekście sytuacji politycznej: „Być może będziemy ponownie musieli

użyć artykułu 49.3 [konstytucji]”, umożliwiającego rządowi przepychanie ustaw bez głosowań w parlamencie. W rzeczywistości nastąpiło wstępne rozbicie krytyki w myśl prawideł retoryki Arystotelesa: porusz pierwszy względem siebie zarzuty, którymi zamierza zaatakować się oponent. Operacja była na tyle skuteczna, że następnego dnia media rozpisywały się bardziej o gejowskim coming outcie ministra dokonany w trakcie wywiadu i doświadczonych przezeń homofobicznych krzywd. Zabieg był sztuczny, ponieważ – w przeciwieństwie do Polski – wynaturzona orientacja seksualna polityków dawno przestała być we Francji jakimkolwiek tabu czy paliwem dla kariery politycznej. A przynajmniej tak odebrali to liderzy wiodącej wówczas prym w protestach ulicznych lewicy, z irytacją deklarując, że mają gdzieś prywatne życie ministra, nie zważając na możliwe zarzuty o homofobiczną niewrażliwość. Niemniej punkt ciężkości w dyskusji został częściowo przesunięty z budzącej

wrzenie reformy na osobę ministra i jego osobiste dylematy.

EKSHIBICJONIZM I WYUZDANIE

W ten erotyczny wyłom otwarty przez rządowego kolegę ochoczo rzuciła się, z właściwym sobie impetem dyżurnej przedstawicielki postępu, znana ze spektakularnego pustosłownia Marlène Schiappa. Otóż w prima aprilis zapowiedziała swój długi wywiad dla „Playboya” mający się ukazać 6 kwietnia. Dla ilustracji postaci: w latach 2017–2020 pani minister pisała tekę do spraw równości między mężczyznami a kobietami oraz walki z dyskryminacjami, a końcówkę pierwszej prezydentury Emmanuel Macrona zakończyła sprawami życia obywatelskiego (była wówczas odpowiedzialna za innowację formularzy administracyjnych uwzględniających „różnorodność francuskich rodzin”, bo przecież „dzieci mają prawo mieć dwóch ojców lub dwie matki”, jak głosiła). W tym samym czasie postępową pani minister wywołała woltę muzul-

Marlène Schiappa jako francuska minister do spraw równości płci podczas wywiadu w telewizji w 2018 r.

FOT. CHRISTOPHER GOODNEY/BLOOMBERG/GETTY IMAGES



mańskiego kleru we Francji, sugerując, że imamowie w swych kazaniach powinni głosić poparcie dla homoseksualnych „małżeństw” cywilnych; zapowiadała także utworzenie, za pomocą sztucznej inteligencji, nowego „nieco transpłciowego” wizerunku Marianny personifikującej Republikę Francuską. Jednak najbardziej w historii Republiki Schiappa zapisała się wulgarnym ekshibicjonizmem na okładce „Playboya”, czym, ma się rozumieć, skupiła uwagę mediów, również za granicą, w myśl niedopowiedzianej zasady lewicy: jej ciało – wszystkich sprawa.

Nie minęło kilka tygodni, na horyzoncie zbliżał się 1 maja z tradycyjnymi wieciami związków zawodowych, będących spiritus movens kontestacji reformy emerytalnej, a do seksacji wkroczył sam minister finansów Bruno Le Maire, z zapowiedzią swej nowej książki „Fugue Américaine”. Le Maire, mający na swym koncie już kilkanaście tytułów wydanych u prestiżowych francuskich wydawców, przejawiający zresztą niewątpliwie predyspozycje literackie (studiował w École Normale), popełnił w tej książce stronę szokującą, budzącą obrzydzenie i zupełnie niepotrzebną dla fabuły pornografię, której analnego wyuzdania nie sposób tu cytować. Dodajmy, że jako student dorabiał, redagując roman-sidła Harlequina. Z kolei Schiappa, jeszcze bardziej płodna piórem, opublikowała na przestrzeni lat pod pseudonimem kilkanaście „podręczników erotycznych”, z czego ostatni, poświęcony kobiecym orgazmom, będąc już ministrem.

NOWE LINIE PODZIAŁU

Te trzy historie – zarówno osobno, jak i razem wzięte – odwracały uwagę, tworząc nowe linie podziału, w myśl zasady: dziel i rządź. Zresztą pomruki niezadowolenia pojawiały się w samym rządzie – w sprawie okładki w „Playboyu” do Schiappy miała dzwonić sama premier Elisabeth Borne. Trudno orzec, na ile było to wyreżyserowane strofowanie, podobnie jak nie da się z pewnością stwierdzić, mimo zbieżności w czasie, że całość miała zorganizowany charakter.

Z pewnością zarówno sama zdolność do wynurzeń natury seksualnej, jak i pewna obsesja na punkcie libido w ogóle jest w obozie władzy wyraźnie obecna, co uzmysłowi inna, jeszcze bardziej wymowna anegdota.

Roselyne Bachelot, minister kultury w latach 2020–2022, przytacza w swej niedawnej książce „682 jours” przepychanki z Pałacem Elizejskim w kwestii odbudowy katedry Notre Dame po jej pożarze, a zwłaszcza słynnej iglicy Viollet-le-Duca. Bachelot głosiła, że zgodnie z konwencją wenecką iglica musi zostać identycznie odbudowana, podczas gdy prezydent marzył o swoistym „geście architektonicznym”, cokolwiek by to znaczyło. Tym razem zacytuje autorkę: „Nie pożałowałam mej niesubordynacji, kiedy kilka dni później na obiedzie z Brigitte Macron pokazała mi ona projekt [katedry] ze swego rodzaju postawionym do góry penisem, ze złotymi gałkami u jego podstawy”. Po publikacji książki w styczniu tego roku nastąpiła przepychanka o to, co kto miał na myśli, a fact-checkerzy prześcigali się w przekonaniu, że pani prezydentowa jedynie przekazała projekt, bynajmniej go nie popierając, tak jakby sam fakt, niewymagający żadnej egzegezy, nie był oszałamiający: zafiksowana na „geście architektonicznym” para prezydencka była w posiadaniu projektu fallicznej odbudowy katedry Notre Dame i z jakiegoś powodu Brigitte Macron zaznajomiła z nim ówczesną minister kultury. Notabene podczas święta muzyki w 2018 r. para prezydencka podjęła u siebie raperski zespół murzyńskich transów ubrany w topy-kabaretki i staniki. Na korzyść Bachelot, która skądinąd twierdziła, że w ogóle należy zburzyć we Francji kościoły stojące nieużytkiem, zaliczmy, że przynajmniej nie zamierzała przerobić je na neopogańskie przybytki lubieżności.

POWAGA ELIT

Epilog tej seksagii rodzi pytanie o powagę francuskich elit, tym bardziej kiedy z portfolio strategicznej współpracy uciekają Francji kolejni afrykańscy partnerzy. Na skutek smrodu wokół podlegającego pod minister Schiappę „funduszu

Marianny” pożegnała się ona z rządem w trakcie jego rekonstrukcji pod koniec lipca. Od strony działań antyprzemocowych wobec kobiet... w samym Paryżu w roku 2022 było o 30 proc. więcej zgłoszeń dotyczących przemocy seksualnej niż w roku poprzednim, a średnio na policję w stolicy Francji zgłaszano cztery gwałty dziennie. Pozostawmy tu otwarte pytanie, czy uprzedmiotowienie kobiety na okładce „Playboya” idzie w parze z upodmiotowieniem jej bezpieczeństwa na tle pożądania gwałcieli.

Od strony ministra finansów – w pierwszym trymestrze 2023 r. zadłużenie Francji powiększyło się o dodatkowe 63 mld euro, przebijając sufit 3 tys. mld euro; ostatnie zamieszki dorzucają do tej kwoty dodatkowe parę miliardów. Finanse państwa były bez porównania w o wiele lepszym stanie w przededniu wybuchu rewolucji z 1789 r.

Z kolei w domenie ministra pracy – choć bezrobocie sytuuje się na stosunkowo niskim poziomie ok. 7 proc., to badanie Ifop z końca maja ukazało zatrważające wręcz zubożenie Francuzów z racji rosnących kosztów życia: po podstawowych płatnościach jedna trzecia Francuzów pozostaje od 10. do końca danego miesiąca z co najwyżej 100 euro na koncie.

„Koniec ery obfitości” zapowiedziany solennie przez prezydenta Macrona oraz jego ubolewanie nad procesem „decywilizacji”, w zestawieniu z osobistymi zainteresowaniami jego ministrów (i nie tylko), złośliwie przywołują w mej pamięci balangi i orgie niemieckich elit w opuszczonym Reichstagu, podczas gdy czerwonarmiści wkraczali do Berlina z zamiarem rewanzu przez masowe gwałty. W kraju rewolucji seksualnej z 1968 r. znaki otrzeźwienia przejawia jednak minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin, mający obecnie do czynienia z tłącym się buntem policji. Opierając się na ustawie z 1949 r. zakazującej szerzenia treści pornograficznych wśród nieletnich, pod koniec lipca poddał on cenzurze powieść o seksualności dla młodzieży „Bien trop petit”, która otąd może być sprzedawana wyłącznie dorosłym. Dość nietypowe, jak na współczesną Francję posunięcie, a może po prostu kolejna odsłona tematów zastępczych na tle seksualności, tyle że ze strony ministra nieskorego do bardziej osobistych wynurzeń.



Krystian Kratiuk

Co – oprócz poglądów – łączy Klausa Schwaba, Joe Bidena, George'a Sorosa i papieża Franciszka? Otóż wszyscy oni są w mocno już podeszłym wieku, a mimo tego wciąż próbują zbudować kolejnym pokoleniom nowy wspaniały świat

W jednym z poprzednich numerów „Do Rzeczy” Jan Pospieszalski po raz kolejny przestrzegł, że podczas Światowych Dni Młodzieży w Lizbonie młodzi katolicy z całego świata będą nauczani nie tylko o Chrystusie, lecz także o „celach zrównoważonego rozwoju” i Agendy 2030. Jak to możliwe, że doszło do tak przedziwnej fuzji Kościoła i celów globalistów, której ŚDM stanowią tylko jaskrawy przykład?

O Franciszku i jego wizji Kościoła napisano już – również na tych łamach – bardzo wiele. Powszechnie znane są jego oryginalne poglądy i metody działania. Jednak warto zwrócić uwagę, że Jorge Bergoglio przyspiesza swą rewolucję wewnątrz Kościoła w niejkiej koordynacji z przyspieszeniem innej światowej rewolucji. Osiemdziesięciosześcioletni hierarcha pozostaje jednym z liderów projektu, któremu twarz, pieniądze, instytucje oraz know-how dają także George Soros (92 lata), Joe Biden (80 lat) oraz Klaus Schwab (85 lat).

REALIZACJA IDEAŁÓW MŁODOŚCI

Wbrew pozorom data urodzenia wymienionych dzentelmenów stanowi niezwykle istotny element ich formacji. Otóż wszyscy panowie są duchowymi dziećmi rewolucji roku 1968 – rewolucji mającej przynieść wyzwolenie z oków starego świata, przynieść wolność, równość i braterstwo w sposób mniej krwawy, ale bardziej skuteczny niż rewolucja francuska. Którą to zresztą rewolta roku 1968 miała dokończyć. To właśnie wtedy, po roku 1968, do powszechnego, masowego

Pokolenie '68. Dokończyć rewolucję



Według koncepcji Klausa Schwaba (na zdjęciu) im więcej aktorów zaangażowanych jest w daną organizację, tym większa powinna być ich decyzyjność. FOT. FABRICE COFFRINI/AFP/EAST NEWS

imaginariusm Zachodu przedostały się idee przemiany całych społeczności na jeszcze bardziej egalitarne, demokratyczne, tolerancyjne, liberalne – tego typu rzekomych synonimów słowa „wolność” używano w czasie trwania konkretnych etapów tej rewolucji. Nie bez znaczenia jest też to, że rewolucja roku 1968 wydarzyła się zaledwie kilka lat po obradach Soboru Watykańskiego II.

I tak, zaraz po roku 1968, bo w latach 70., powstaje European Management Forum (1971) Klausa Schwaba, przemianowane kilkanaście lat później na doskonale znane nam World Economic Forum.

W roku 1972 zaledwie 29-letni wówczas Joe Biden po raz pierwszy startuje do Senatu i pokonuje republikańskiego nestora senatorów Caleba Boggsa.

Pod koniec lat 70. (1979) milioner George Soros postanawia czynnie zaangażować się w przemiany w społeczeństwach bloku wschodniego, wspierając finansowo tamtejsze organizacje, by w 1984 r. założyć pierwszy Instytut Społeczeństwa Otwartego na Węgrzech.

13 grudnia 1969 r. Jorge Bergoglio przyjmuje święcenia kapłańskie, a wieczystą profesję składa 22 kwietnia 1973 r.

Wymienieni tu reprezentanci pokoleń '68 czytali te same książki, formowali ich te same wydarzenia i inspirowały podobne autorytety. Za cel przyjęli sobie zmianę świata i po dojściu do wielkich wpływów, pieniędzy i władzy postanowili najwidoczniej, że zdążą jeszcze na własne oczy ujrzeć realizację ideałów młodości.

DEMOKRACJA

Wśród owych ideałów jest rzecz jasna idea samorządności i demokracji. O ile od lat dla wielu jasne jest, że zajmuje się tym George Soros, finansując „budowę społeczeństw obywatelskich” w wielu miejscach świata, oraz że demokratyczne wartości pozostają ważne dla Joe Bidena – wieloletniego lidera Partii Demokratycznej właśnie, o tyle ta idea w wykonaniu papieża czy szefa WEF może nie wydawać się aż tak oczywista.

A jednak i oni mają swój udział w promowaniu decentralizacji władzy pośród różnych organizacji. Otóż Klaus Schwab opracował – i opublikował w 1971 r. – teorię multistakeholder governance polegającą na zarządzaniu poprzez „zbliżanie wszystkich interesariuszy do udziału w dialogu, podejmowaniu decyzji i wdrażaniu odpowiedzi na wspólnie dostrzegane problemy”. Pomysł jest skomplikowany, w skrócie napiszmy tylko, że według Schwaba im więcej aktorów zaangażowanych jest w daną organizację, tym większa powinna być ich decyzyjność, co zapewniać ma większą legitymację i możliwość skuteczniejszego wdrażania zmian niż tradycyjna ścieżka decyzyjna.

A papież Franciszek natomiast to przecież formalnie monarcha posiadający w Kościele i w Watykanie władzę nieporównywalną z nikim innym stojącym na czele jakiegokolwiek zachodniej organizacji państwowej. Jednak od początku swego pontyfikatu deklaruje, że pragnie się tą władzą dzielić, a w konieczność decentralizacji władzy w Kościele wierzy tak intensywnie, że raczył nawet określić ją mianem „zbawiennej”. Zwołał Synod o synodalności, co stanowi najpewniej najbardziej prodemokratyczny gest papieski w historii: oto katolicy z całego świata mieli opowiedzieć swoim biskupom o tym, w jaki sposób chcą być rządzani i w jaki sposób w Kościele przebiegać ma proces decyzyjny. Kolejne etapy tego synodu wciąż trwają, a papież

przygląda się im, podkreślając, że jest to najważniejszy projekt podczas jego urzędowania na Tronie Piotrowym.

WOLNOŚĆ I TOLERANCJA

Nie trzeba także przekonywać, że cała porównywana tu czwórka to promotorzy podobnie rozumianych idei wolności czy tolerancji.

Klaus Schwab stale mówi – a potwierdzają to liczni goście forum w Davos – o potrzebie jedności, otwartości, zwalczania nierówności, tolerancji, pokoju i ochrony klimatu.

George Soros większość swojego majątku przeznaczył właśnie na promocję tych wartości, początkowo antytotalitytarnych, potem stopniowo rozszerzających znaczenie słów „wolność” i „tolerancja” do tego stopnia, że dziś kojarzą się one już głównie z finansowanymi przez niego międzynarodowymi marszami w krajach całej Europy Wschodniej.

Joe Biden, gdy tylko został prezydentem, zezwolił „osobom transpłciowym” rywalizować w męskich lub żeńskich konkurencjach sportowych na podstawie... deklaracji o swojej płci.

Nowocześnie rozumiana tolerancja pozostaje też niezwykle ważna dla papieża Franciszka. Najszerzej cytowane słowa jego pontyfikatu brzmią: „Kim jestem, by go oceniać?” – w kontekście homoseksualistów. Pragnienie zmiany podejścia katolików do grzechu sódmskiego jest w papieżu tak silne, że nieustannie wychwala i zaprasza na najważniejsze wydarzenia o. Jamesa Martina, znanego wyłącznie z propagowania gejowskiego stylu bycia. To właśnie podczas aktualnego pontyfikatu po raz pierwszy w oficjalnych dokumentach Watykanu pojawiły się takie frazy jak „katolicy LGBT”.

DECENTRALIZACJA, ALE...

Pokolenie wychowane na ideałach roku 1968 tak bardzo pragnie zdążyć wprowadzić w życie swoje idee, że zwalczą każdego, kto ma inne zdanie. I owa walka z „wrogami rewolucji” nasila się wraz z upływem czasu, którego przedstawicielom tego pokolenia zostało już coraz mniej.

O tym, w jaki sposób postępują wychowankowie fundacji George'a Sorosa z przeciwnikami ideowymi, napisano już bardzo wiele – donosy do prokuratury, ostracyzm medialny, wprowadzanie do

prawodawstwa ustaw o „mowie nienawiści”, to tylko niektóre z przykładów.

Zaraz po dojściu do władzy Joe Bidena w Stanach Zjednoczonych cały aparat państwowy zaczął robić wszystko, by nie tylko nie dopuścić do władzy jego największego przeciwnika, Donalda Trumpa, lecz także, żeby nie dopuścić do tego, by w ogóle mógł on wystartować w wyborach. A i amerykańscy sędziowie w wielu stanach nie mają skrupułów, by karać ludzi za poglądy inne niż te reprezentowane przez lewicowego prezydenta demokrate.

Klaus Schwab już na samym początku pandemii ogłosił, że chce zbudować nowy świat, tak bardzo przejmując się swoją rolą rewolucjonisty, że – niczym jakobini czy bolszewicy – flirtował nawet z pomysłem nowego kalendarza, sugerując, że historię należałoby dzielić na erę „przed koronawirusem” i „po koronawirusie”. Jaki jest przedstawiony przez Schwaba ideał nowej ludzkości w nowej erze? Otóż chodzi o masy z zatraconym poczuciem tożsamości etnicznej, narodowej i religijnej. Która w dodatku „nie będzie niczego posiadać i będzie szczęśliwa”.

Papież Franciszek tak szeroko otworzył Kościół, że pozbawił watykańskich urzędów wszystkich przeciwników wizji „ewolucji dogmatów” i zbyt zdecentralizowanych interpretacji synodalności. Gdy podczas jego pierwszego synodu (dotyczącego rodziny) frakcja konserwatywna okazała się nadspodziewanie silna, jej znakomici przedstawiciele nie otrzymali papieskiego zaproszenia do udziału w drugiej części owego synodu. Gdy wreszcie okazało się, że nowatorskie, a czasami oceniane nawet jako heretyckie pomysły papieża nie przypadają do gustu środowiskom tradycjonalistycznym, papież postanowił – trzymając się idei odpowiedzialności zbiorowej – wszystkim tradycjonalistom na świecie radykalnie ograniczyć możliwość uczestnictwa w Mszach Świętych sprawowanych w tradycyjnym rycie rzymskim.

Bo rewolucja jest zbyt cenna, by jej nie dokończyć. Aby ktokolwiek stał na jej przeszkodzie, rzucił kłody pod nogi jej głosicieli. Bo rewolucjoniści się starzeją i nie mają już czasu. Bo nie ma wolności dla wrogów wolności, tolerancji dla wrogów tolerancji i synodalności dla wrogów synodalności.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.



Papież Franciszek z delegacją ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich na placu św. Piotra FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

Franciszek głosi Arabom... różnorodność religii



Paweł Chmielewski

Papież Franciszek podpisał się w 2019 r. pod dokumentem, który ogłasza heretycką naukę o różnorodności religijnej. Później tłumaczył, że miał co innego na myśli. Dokumentu jednak nigdy nie wycofał, wprost przeciwnie – nadal aktywnie go promuje i zachwala. Co więcej, na początku lipca w rozmowie z arabskim dziennikiem niemal dosłownie powtórzył słowa, których fałszywość sam wcześniej odnotował

Historia tego błędu jest dość złożona. W dniach 3–5 lutego 2019 r. papież Franciszek odbył podróż apostolską do Zjednoczonych Emiratów Arabskich. W stolicy tego kraju, Abu Zabi, znajduje się siedziba Wikariatu Apostolskiego Arabii Południowej, który obejmuje swoim zasięgiem, oprócz ZEA, również

Jemen i Oman. Łącznie w tych krajach mieszka niespełna milion katolików, większość – ok. 750 tys. – w ZEA. Jednak to nie spotkanie z katolikami w krajach islamskich było głównym celem papieskiej podróży. Jej kulminacją nastąpiła 4 lutego, kiedy Franciszek podpisał słynny „Dokument o ludzkim braterstwie dla pokoju światowego i współistnienia”. Drugim z synnatariuszy był wielki imam Uniwersytetu Al-Azhar w Kairze, jedna z najważniejszych postaci islamu sunnickiego. Wśród wielu słów nakierowanych na wsparcie idei budowy powszechnego braterstwa padło też tam niesławne zdanie o heretyckim wydzwisku. „Pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry, płci, rasy i języka są wyrazem mądrej woli Bożej, z jaką Bóg stworzył istoty ludzkie”. Jeżeli Bóg chciał różnorodności religii tak samo, jak skóry, płci czy rasy, to jest oczywiste, że chciał jej pozytywnie. Innymi słowy, Bóg chciałby, aby na świecie oprócz wiary w Jego Syna byli też tacy, którzy tę wiarę odrzucają, jak muzułmanie, żydzi, buddyści etc. Jest to formalna herezja.

BEZ KOREKTY

1 marca tamtego roku papież Franciszek został publicznie upomniany przez bp. Athanasiusa Schneidera z kazachskiej Astany. Podczas audyencji, której Franciszek udzielił całej grupie kazachskich

biskupów w związku z wizytą ad limina apostolorum, bp Schneider wezwał go „w obecności Boga i w imię Jezusa Chrystusa” do odwołania stwierdzenia z dokumentu z Abu Zabi, które, jak powiedział papieżowi, „relatywizuje wyjątkowość wiary w Jezusa Chrystusa”. Franciszek odparł, że „nie o to mu chodziło”, ale o to, że Bóg jedynie dopuszcza różnorodność religii (koncepcja teologiczna voluntas permissiva, woli dopuszczającej). Biskup wyjaśnił mu, że dokument z Abu Zabi jest tak skonstruowany, że taka interpretacja jest logicznie niemożliwa. Franciszek próbował z tego wybrnąć w zaskakujący sposób: poprosił bp. Schneidera, by to on ogłosił światu, jaka była jego prawdziwa intencja. Biskup się na to nie zgodził: wezwał papieża do uczynienia tego osobiście.

Później doszło między Franciszkiem a bp. Schneiderem do wymiany listów. W efekcie 3 kwietnia 2019 r. Franciszek podczas audyencji generalnej powiedział: „Dlaczego Bóg dopuszcza wiele religii? Bóg chce to dopuścić: teologowie scholastyczni mówili o Bożej voluntas permissiva. Bóg chciał dopuścić taką rzeczywistość: jest wiele religii”. 7 kwietnia wysłał do bp. Schneidera list z tekstem wygłoszonym podczas audyencji i z podkreślonymi zdaniami, które zacytowałem. Biskup Schneider wyraził mu za to wdzięczność. Publicznie powiedział jednak, że tego rodzaju

autokorekta jest niewystarczająca. Podczas audyencji papież nie wspominał dokumentu z Abu Zabi, który jako taki pozostał zatem nieskorygowany. Co więcej, wskazał Schneider, o ile wymowa dokumentu jest oczywista (promocja różnorodności religijnej), o tyle nauka o voluntas permissiva dość hermetyczna – zwłaszcza dla niekatolików nieznających teologii scholastycznej. Nie można zatem powiedzieć, by sprawa została wyjaśniona. Niestety, w kolejnych miesiącach i latach chaos jeszcze narósł.

Dokument z Abu Zabi nie tylko nie został skorygowany, lecz także pomimo zaplanowanej w nim formalnej herezji był i nadal jest promowany przez Stolicę Apostolską. Jest prezentowany w różnych oficjalnych kontekstach, rozsyłany do instytucji edukacyjnych. Stał się też podstawą pracy Wyższego Komitetu Ludzkiego Braterstwa, w którego skład wchodzi katolicki kardynałowie, biskupi i księża, a także muzułmanie, Żydzi oraz ateści. Komitet patronował budowie Domu Rodziny Abrahamowej, kompleksu religijnego złożonego z kościoła, meczetu i synagogi, o czym pisałem szczegółowo w „Do Rzeczy” nr 11/2023. Dom może być łatwo rozumiany jako architektoniczny wyraz herezji zawartej w dokumencie z Abu Zabi. Dobrze obrazują to słowa kard. Michela Fitzgeralda, który uchodzi za eksperta od tzw. dialogu katolicko-islamskiego. W dniach inaugurujących działanie Domu kard. Fitzgerald wygłosił homilię podczas Mszy sprawowanej w kościele będącym częścią składową kompleksu. Odwołując się do słów z Księgi Izajasza mówiących o Bożym domu modlitwy, stwierdził: „Zauważyliście, że prorok mówi, iż ma to być dom modlitwy dla wszystkich ludzi, i jestem pewien, że tak to właśnie będzie”. Trudno te słowa odczytać inaczej niż afirmację błędu z dokumentu z Abu Zabi: tak, jakby Bóg chciał, aby czczono go zarówno w kościele, jak i w meczecie oraz synagodze.

POWTARZANIE HEREZJI

Błąd, o którym mowa, został po raz kolejny proklamowany podczas Kongresu Przywódców Światowych i Tradycyjnych Religii, który odbył się w dniach 14–15 września 2022 r. w stolicy Kazachstanu, Nur-Sułtan/Astanie. Wzięło w nim udział ok. 100 przedstawicieli religijnych z 60 krajów, w tym papież Franciszek oraz wielki imam Ahmad al-Tayyeb. Pod

koniec spotkania anglikańska „biskup” Jo Bailey Wells odczytała treść deklaracji, która miała zostać przyjęta przez uczestników. W punkcie 10. podano wprost: „Stwierdzamy, że pluralizm i różnice religii, koloru skóry, płci, rasy i języka są wyrazami mądrości woli Boga w stworzeniu”. Powtórzono zatem niemal słowo w słowo heretycką treść z dokumentu w Abu Zabi. Papież Franciszek, podobnie jak inni zgromadzeni, klaskał z aprobatą po lekturze. W tekście ogłoszonym oficjalnie już po spotkaniu treść dokumentu została zmieniona. Napisano w nim: „Stwierdzamy, że pluralizm odnośnie do różnic w kolorze skóry, płci, rasie, języku i kulturze jest wyrazem mądrości Boga w stworzeniu. Różnorodność religijna jest dopuszczana przez Boga” – a więc dokładnie tak, jak chciałby tego bp Schneider. Którą wersję aprobował papież? Tę, której klaskał, czy tę, która została oficjalnie ogłoszona?

Ostatnio sprawa wróciła niejako do punktu wyjścia. 3 lipca tego roku wywiad z papieżem opublikował emiracki dziennik „Al-Ittihad” należący do rządowego konglomeratu medialnego. Do mainstreamowych mediów z rozmowy przebiły się przede wszystkim papieskie słowa na temat Koranu: Franciszek ubolewał, że w Szwecji spalone zostały strony tej książki; jak mówił, wolność słowa nie może nigdy wiązać się z niszczeniem tekstów, które ktoś uważa za święte. Rozmowa miała jednak więcej wątków. Papież został zapytany m.in. o swoją ocenę Domu Rodziny Abrahamowej. „Dom Abrahama jest miejscem poszanowania różnorodności, której chciał Bóg, a nie zamieniania różnicy w pogardę lub powody do konfliktów” – odparł. „Różnorodności, której chciał Bóg” – to znówu powtórzenie herezji z Abu Zabi. Czy papież naprawdę to powiedział? Wywiad został opublikowany po arabsku na stronie „Al-Ittihad”. Nie jest omówieniem, to prezentacja dosłownych cytatów w formie pytanie – odpowiedź. Być może Franciszek odwołał się do scholastycznej teologii voluntas permissiva, a arabski redaktor tekstu, nie mogąc tego zrozumieć, uprościł papieską wypowiedź... W oficjalnych mediach watykańskich, na portalu „Vatican News” oraz w dzienniku „L’Osservatore Romano”, wywiad omówiono tak, że kluczowa kontrowersja została pominięta. „Vatican News” linkuje jednak do oryginału, gdzie znajduje się wyrażenie o heretyckiej wymowie.

Wywiad dla „Al-Ittihad” byłby głęboko problematyczny nawet wówczas, gdyby nie znajdowało się w nim tamto błędne stwierdzenie (choć się przecież znajduje). Przede wszystkim papież w rozmowie z arabskim dziennikarzem entuzjastycznie wypowiadał się o dokumencie z Abu Zabi, słowem nie wspominając o wymogu jego korekty: „Przedstawiam Dokument Ludzkiego Braterstwa wszystkim delegacjom, które przyjmują w Watykanie, ponieważ uważam, że jest to tekst ważny nie tylko dla dialogu między religiami, lecz także dla pokojowego współistnienia wszystkich istot ludzkich” – powiedział. Mówił też wielokrotnie o wierze w Boga tak, jakby zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie posiadali swoistą doskonałość w tym względzie, jakby ci drudzy nie potrzebowali uwierzyć w Chrystusa. Przykładowo wskazywał, czym jest rzekomo prawdziwy kult: „Tylko w ten sposób możemy czcić Boga: uważając się za braci, nie słowami, ale czynami, uczynkami miłosierdzia, zwłaszcza wobec naszych braci i siostr w potrzebie, wobec ubogich”. Cały wywiad utrzymany jest w tonacji wspólnej dla chrześcijan i muzułmanów wiary w Boga, w odmiennościach, które wymagają wyłącznie tolerancji i szacunku – bez jakiegokolwiek próby ustalenia prawdy na centralny temat, Jezusa Chrystusa.

PRAWDZIWE POGLĄDY

Jakie więc tak naprawdę poglądy ma Franciszek na kwestię różnorodności religijnej? Takie, jakie ogłosił w aprobowanym przez siebie „Dokumencie” i powtórzył w wywiadzie, czy takie, jakie przedstawił w rozmowie z bp. Schneiderem? Biorąc pod uwagę całokształt spraw, nie mam wątpliwości, że przypisywanie Bogu pozytywnej woli względem istnienia różnych religii dalece lepiej opisuje stanowisko obecnej Kurii Rzymskiej. Dalekie jest to od postawy pierwszych franciszkańskich męczenników, którzy w 1220 r. zostali zamordowani przez muzułmanów za głoszenie im Ewangelii. Święty Franciszek był głęboko przejęty ich postawą; sam również próbował nawracać mahometan. Pozostaje ciępką ironią, że Kościół katolicki będący częścią kompleksu w Abu Zabi nosi właśnie... jego wezwanie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

1920: triumpf heroizmu i nauki



Janusz Baldyga, „Alegoria bitwy 1920 r.” (2010 r.), wystawa w Kordegardzie (2020 r.)

FOT. PAWEŁ SOSNOWSKI



Jerzy Miziołek

Zwycięstwa w bitwach pod Warszawą, Komarowem, nad Niemnem i inne były możliwe dzięki heroizmowi całego społeczeństwa polskiego, ale w ogromnym stopniu również za sprawą radiowywiadu; kryptografowie połączyli siły z wybitnymi matematykami

Przez całe lata jeden z największych sekretów zwycięstwa nad bolszewikami w 1920 r. okryty był głęboką tajemnicą. Chodzi o rolę radiowywiadu i jego czołową postać – porucznika, później majora Jana

Kowalewskiego, który w okresie międzywojennym pełnił ważne funkcje przy ambasadzie polskiej w Moskwie, gdzie nieco inaczej kontynuował swoje dzieło. Milczeli też uniwersyteccy matematycy i to milczenie musiało trwać dalej po drugiej wojnie światowej, bo dla Sowietów klęska 1920 r., jeszcze bardziej niż klęska w Finlandii w 1941 r., była ogromną raną.

O tym, jak wielką, świadczy rozmowa, którą niemiecka komunistka Klara Zetkin przeprowadziła z Leninem. „Przedwczesny przymrozek odwrotu Armii Czerwonej z Polski – mówił Lenin – zważył rozwijający się kwiat rewolucji... myśl o cierpieniach, jakie przyniosłaby następna wojenna zima, była nie do zniesienia. Musieliśmy zawrzeć pokój”. W swoim komentarzu Zetkin posunęła się do granic absurdu i śmieszności, pisząc: „Gdy Lenin mówił [...], na jego twarzy malowało się [...] niewysłowione cierpienie. Oczyma duszy widziałam obraz ukrzyżowanego Chry-

stusa pędzla średniowiecznego mistrza Grünewalda [...]. Lenin objawił mi się jako taki właśnie «człowiek fraszobliwy», niosący ciężar bólu, zgnębiony, przeszyty całym cierpieniem rosyjskiego ludu pracującego”.

WOJNA ŚWIATÓW

U źródeł wojny wywołanej przez bolszewicką Rosję leżały dwie diametralnie różne koncepcje geopolityczne. Pierwsza – odrodzonej, demokratycznej Rzeczypospolitej Polskiej, której kultura i tradycje zbudowane były na fundamencie cywilizacji zachodnioeuropejskiej, z jej etyką chrześcijańską i zasadami czerpanymi z filozofii greckiej i prawa rzymskiego; druga – bolszewickiej Rosji zmierzającej do rewolucji światowej poprzez zburzenie „starego świata” i utworzenie nowego, „rewolucyjnego” ładu w całej Europie. Była to więc rzeczywistość „wojna światów”. Wizja polska, autorstwa głównie Józefa Piłsudskiego, zawierała ideę odrodzenia pierwszej

Rzeczypospolitej, ale w nowym kształcie terytorialnym i politycznym, a więc utworzenia bloku państw między Bałtykiem i Morzem Czarnym o wielkim potencjale, bo będącej domem 100 mln mieszkańców i rozległego na 1000 km. Skonfederowane państwa – Polska, Litwa, Łotwa, Białoruś i Ukraina – miały być siłą równoważącą zagrożenie ze strony Niemiec i Rosji, dającą gwarancję niepodległości wszystkim tym państwom skonfederowanym. Koncepcja ta, pomimo istnienia Unii Europejskiej, do dziś nie straciła swych walorów.

Oto w 1918 r. na mapie Europy pojawia się odrodzona Polska ze swoją wizją, podczas gdy obok, w Rosji, trwała rewolucja, która zgodnie z doktryną Marksa nie powinna wybuchnąć w tym najbardziej zacofanym, niemal feudalnym kraju. Aby nabrać mocy i rozlać się po całym świecie, powinna się połączyć z rewolucją w Niemczech, kraju zindustrializowanym, z najlicniejszym skupiskiem klasy robotniczej. Przegrodą na drodze między Niemcami i Rosją były Polska, część Ukrainy z ambicjami państwowotwórczymi i kraje bałtyckie. Dlatego w interesie rewolucji leżało obalenie tej przegrody, by mógł nastąpić powrót do wielokrotnie podejmowanej kooperacji niemiecko-rosyjskiej. Wszakże Stalin marzył o posłaniu konarmii Siemiona Budionnego na południe, aż do Italii. Seria polskich zwycięstw, w tym kompletne rozbicie konarmii pod Komarowem, co ogromnie wprost zabolowało Lenina, a co tak interesująco opisuje Izaak Babel w „Dziennikach” i „Konnej armii”, położyło kres tym mrzonkom.

„Opisywałam Leninowi – pisze Zetkin – jak odbiło się to na rewolucyjnej awangardzie niemieckiej klasy robotniczej... kiedy towarzysze z sowieckimi gwiazdami na czapkach w niewiarygodnie zużytych strzępach mundurów i cywilnych ubrań, w podartych butach, [na próżno] popędzali ostrogami swe żwawe koniki wprost ku niemieckiej granicy... Lenin przez parę minut siedział w milczeniu, pogrążony w myślach”. A potem przyszło to jego „niewysłowne cierpienie”.

POTĘGA NAUKI

„Gdyby Lenin, Trocki i Stalin – pisze Grzegorz Nowik – byli agentami polskiego wywiadu, nie dostarczyliby tak szybko tak wielu i tak pewnych informacji o ugrupowaniu i zamiarach Armii

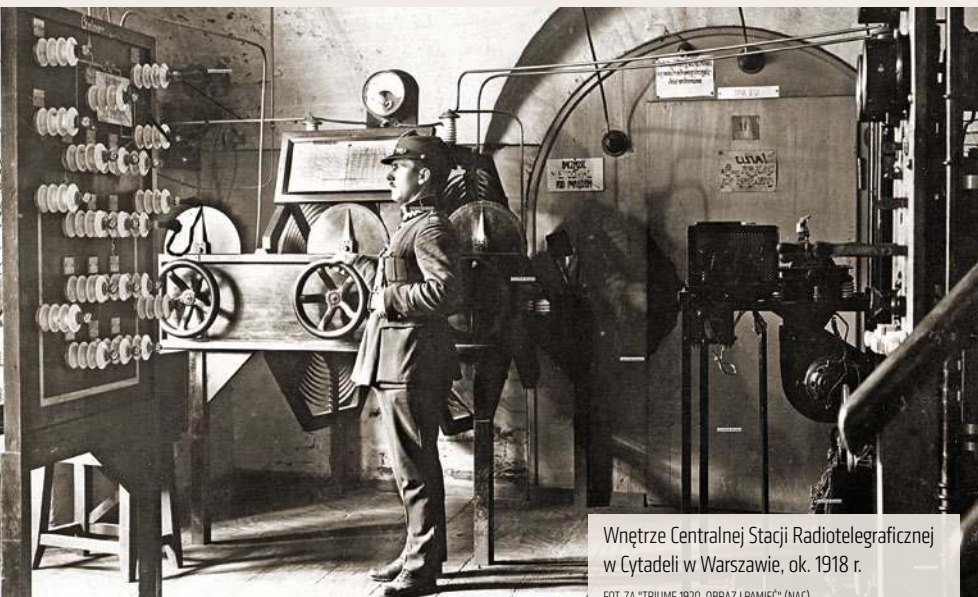
Czerwonej, o jej sile i słabości, jakich dostarczał polski radiowywiad”. Do końca wojny złamał ponad 100 różnych szyfrów i kodów. Obsługa kierowanej przez por. Kowalewskiego Centralnej Stacji Radiotelegraficznej (CSR), która była „sercem i mózgiem” radiowywiadu, a ulokowana była w Cytadeli Warszawskiej, odczytała bez mała 4 tys. rosyjskich szyfrogramów. Były to szyfrogramy Naczelnego Dowództwa Armii Czerwonej, korespondencja dowództw frontów, armii, aż do szczebla dywizji, a także korespondencja sowieckiej misji dyplomatycznej w Berlinie dotycząca paktu sowiecko-niemieckiego, jak również korespondencja polityczna dotycząca sytuacji wewnętrznej Rosji. Do końca wojny CSR łamała zmieniane nieustannie szyfry i kody. O ruchach i planach Armii Czerwonej wiedziano dosłownie wszystko. Podczas Bitwy Warszawskiej, a także w dniu starcia dwóch wielkich konnych armii pod Komarowem, gdzie Budionny był bliski dostania się do niewoli, polski radiowywiad znał każdy szczegół całej szyfrowanej korespondencji radiowej Armii Czerwonej. Dzięki temu Piłsudski mógł tworzyć tak śmiałe plany strategiczne, jak uderzenie znad Wieprza. Francuski generał Maxime Weygand, jeden z jego doradców, który zapewne nic nie wiedział o CSR, stwierdził, że Polacy wygrali, gdyż złamali wszystkie zasady sztuki wojennej, podczas gdy ich działania były oparte na bardzo gruntownej wiedzy o teatrze wojny.

Jakie są kulisy tego fenomenalnego wyczynu i jakie były jego początki? Jan

Kowalewski opowiedział o nim w jednej z audycji Radia Wolna Europa. Warto tu przywołać dłuższy fragment tej opowieści, bo ma charakter bezcennego dokumentu i jest ciągle zbyt mało znana: „Pewnego razu mój kolega, por. [Stanisław] Sroka, miał pojechać na ślub swej siostry panny Srocanki. Z tego powodu poprosił mnie o zastępstwo w Sztabie Generalnym. Praca była prosta – miałem posegregować depesze radiowe z nasłuchu i powysyłać [je] do odpowiednich komórek. Wtedy wpadła w moje ręce spora sterta zaszyfrowanych depesz bolszewickich. Na jednej bowiem stacji nasłuchowej siedział [były] podoficer z austriackiej służby radionasłuchu i z przyzwyczajenia »brał wszystko pod ołówek« [...]. Nie wytrzymałem i zabrałem się do pracy. Jedynym źródłem moich wiadomości o szyfrach były jedynie nowelki Allana Edgara Poe. Spędziłem całą noc na tej pracy. Udało mi się odszyfrować depesze [...]. W deszyfracji pomogły mi dwie rzeczy – słowo »dywizja«, które w języku rosyjskim zawiera w sobie trzy razy literę »i« [дивизия], oraz to, że depesze były podpisane raz szyfrem, a raz jawnym tekstem [...]. Na drugi dzień wybuchła sensacja – oto jest ktoś, kto odczytuje bolszewickie szyfry! Powierzono mi utworzenie komórki deszyfracyjnej w Sztabie Generalnym. Rozbudowałem całą sieć stacji nasłuchowych. [...] połączonych ze Sztabem Generalnym przy pomocy szybko piszących telegrafów Hughesa. W komórce tej zatrudniłem profesorów i asystentów matematyki. I tak pracowaliśmy”.

Anteny na Cytadeli w Warszawie przy Centralnej Stacji Radiotelegraficznej (1918–1920) FOT. MUZEUM X PAVILONU CYTADELI WARSZAWSKIEJ





Wnętrze Centralnej Stacji Radiotelegraficznej w Cytadeli w Warszawie, ok. 1918 r.

FOT. ZA "TRIUMF 1920. OBRAZ I PAMIĘĆ" (NAC)

Nowelka Allana Edgara Poe to słynny „Złoty żuk”, będący znakomitą wprowadzeniem do świata szyfrów, a wspomnianymi profesorami matematyki byli m.in. wybitni uczeni Uniwersytetu Warszawskiego – Stefan Mazurkiewicz, Stanisław Leśniewski, Wacław Sierpiński. Niektórzy z nich związani byli ze słynną filozoficzno-matematyczno-logiczną Szkołą Lwowsko-Warszawską, wydawali znane na całym świecie pismo naukowe „Fundamenta Mathematicae”. Wspierany przez nich zespół CSR łamał niezwykle sprawnie, niekiedy w ciągu zaledwie kilku, a nawet dwóch godzin, niemal wszystkie, zmieniane co 10–15 dni szyfry. W tym dziele, które tak ogromnie przyczyniło się do wielkiego zwycięstwa (Bitwę Warszawską uznaje się za jedną z 18 najważniejszych bitew w dziejach świata), wielką rolę odegrali oficerowie wywiadu służący niegdyś w armiach austriacko-niemieckich i rosyjskiej. Całą swoją wiedzę ofiarowali teraz odrodzonej Polsce. „Wielu z oficerów polskiego radiowywiadu – pisze Grzegorz Nowik – było wcześniej członkami organizacji konspiracyjnych walczących z Rosją, okupującej 80 proc. ziem I Rzeczypospolitej. Przez ponad sto lat Polacy podlegali rusyfikacji, potrafili więc mówić, pisać, czytać, liczyć oraz myśleć po rosyjsku, znali też mentalność Rosjan i to właśnie ułatwiło im łamanie szyfrów”.

Nie byłoby to jednak w pełni możliwe, gdyby nie zastosowano podwójnego – lingwistyczno-matematycznego – ataku na rosyjskie szyfry. Polacy byli na tym polu pierwsi; ich śladami poszli Brytyjczycy (nie zawsze oddając zasłużony hołd tym, od



Stanisław Noakowski, „Łuk triumfalny”, 1920

FOT. POLITECHNIKA WARSZAWSKA, WYDZIAŁ ARCHITEKTURY

których się uczyli) i Amerykanie, czego najlepszym przykładem jest Midway – wielka bitwa morska drugiej wojny światowej.

WOŁANIE O ŁUK TRIUMFALNY

Warszawa nie doczekała się do dziś monumentu czczącego wielkie polskie zwycięstwo 1920 r., będące bez wątpienia również triumfem nauki. Słowa Brytyjczyka – Edgara Vincenta D’Abernon – pozostają w całym wymiarze słuszne: „Współczesna historia cywilizacji zna mało wydarzeń, posiadających znaczenie większe od bitwy pod Warszawą w roku 1920. Nie zna zaś ani jednego, które by było mniej doceniane [...] Zadaniem pisarzy politycznych [...] jest wytłumaczyć europejskiej opinii publicznej, że w roku 1920 Europę zbawiła Polska”. Czy dostatecznie wytłumaczyliśmy? Czy opowiedzieliśmy o triumfie radiowywiadu i profesorów matematyki?

„Polacy wierzyli szczerze, że walczą za wolność, język, tradycję i religię” – te słowa Michaela Fibicha, majora armii USA, uczestnika bolszewicko-polskiej wojny w 1920 r., posłużyły za motto do hasła „Bitwa Warszawska” w wydanej w ogromnym nakładzie książki R.G. Granta „1001 Battles that Changed the Course of History” (2011). W hasle tym czytamy, że „starły się bolszewicki ferwor rewolucyjny i polski nacjonalizm. Rosjanie ponieśli upokarzającą klęskę. Wielkie polskie zwycięstwo nad Armią Czerwoną pod Warszawą zapewniło przetrwanie niepodległej Polski i zapobiegło może bolszewickiej inwazji na Niemcy”. Encyklopedyczna narracja ma zdecydowanie pozytywną tonację, pomimo że trudno jest się zgodzić z określeniem „polski nacjonalizm”, podczas gdy chodziło o prawdziwy patriotyzm i obronę chrześcijańskich wartości, co słusznie zauważył mjr Fibich. Niestety, Grant nie pisze o roli polskiego radiowywiadu.

Czy triumf A.D. 1920, będący triumfem całego narodu, doczeka się wreszcie stosownego monumentu w Warszawie i czy zajmie w sercach Polaków miejsce tak ważne, jak Powstanie Warszawskie 1944 r.? Nasuwa się też pytanie o miejsce wojny polsko-bolszewickiej w percepcji uniwersalnej. D’Abernon uznał Bitwę Warszawską za jedną z 18 najważniejszych bitew w dziejach świata, ale to nie jego książka, lecz „Konarmia” i „Dzienniki” Izaaka Babla, uczestnika wojny po stronie sowieckiej, są ciągle wznawiane i czytane na całym świecie. Na szczęście jest to przekaz nieomal obiektywny, nie deprecjonuje polskich zwycięstw, nie pomija nawet roli amerykańskich pilotów, którzy skutecznie walczyli z konarmią Budionnego. Dokonania lotników, m.in. Cedrica Fauntleroya i Meriana Coopera (z czasem generała armii amerykańskiej i reżysera, twórcy filmu „King Kong”), wraz ze znakomitą polskim radiowywiadem – równie kluczowym jak dla Brytyjczyków radar w czasie bitwy o Anglię – to materiał nie tylko na kilka książek, lecz także na hollywoodzki film. Miejmy nadzieję, że obchody 105. rocznicy Bitwy Warszawskiej staną się początkiem do dalszych działań, także w wymiarze uniwersalnym, promujących rolę Polski, jej oręża i jej genialnych specjalistów od szyfrów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author wraz z J. Sosnowską był pomysłodawcą i redaktorem naukowym pracy zbiorowej pt. „Triumf 1920. Obraz i pamięć” (2020).



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Związek Walki Młodych

Wszystkie większe organizacje konspiracyjne podczas okupacji tworzyły swe piony młodzieżowe, traktując je jako dopływ kadr w niedalekiej przyszłości. Nic zatem dziwnego, że własną młodzieżówkę chcieli mieć komuniści z PPR. Dlatego utworzyli Związek Walki Młodych (ZWM). Ale mieli problem – brak chętnych. Powody były dwa. Po pierwsze, najbardziej ideowa młodzież szukała organizacji niepodległościowych i tam występowała. Po drugie, PPR i GL-AL traktowane były jako agenturalne organizacje komunistyczne, więc nikt rozsądny nie szukał wśród nich miejsca dla siebie.

Komuniści znaleźli jednak sposób na rachityczne wprawdzie, ale stworzenie własnej młodzieżówki. Sięgnęli bowiem po sprawdzoną już podczas rewolucji bolszewickiej metodę – oparcie się na lumpenproletariata. Był to pomysł Lenina, który zrozumiał, że margines społeczny będzie komunistom wiele zawdzięczać i będzie nadzwyczaj lojalny. Z trudem, ale powołali ZWM, z którego szeregów miały być powoływane tzw. specgrupy (grupy specjalne) przeznaczone do specjalnych zadań: akcji zaopatrzeniowych, likwidacyjnych i w ogóle zbrojnych jako takich. W AK taką rolę odgrywały grupy i oddziały Kedywu, w NOW – Obozowe Drużyny Bojowe. W NSZ były to oddziały Akcji Specjalnej. Po wojnie

komuniści porównywali swe specgrupy do Kedywu! Robił to nawet Leszek Moczulski na łamach partyjnej prasy.

Na szczęście dysponujemy zachowanymi dokumentami konspiracji komunistycznej. Nie były tworzone na potrzeby zewnętrznej propagandy, więc jest to obraz straszliwej degrengolady. Towarzysz Jan Krasicki „Janek”, jako szef ZWM, wystawił swym podwładnym szczere świadectwo, pisząc, że werbowano lumpów (czerwiec 1943 r.). Motywem ich działania nie było ideowe zaangażowanie, ale udział w zdobytych łupach: „Werbunek tow. Baški, Edwarda i Huberta do specgrupy odbywał się w ten sposób, że roztańczano przed nimi wspaniałe obrazy dobrobytu, wręcz luksusowego zbytku, zapewniano ich, że przy małym wysiłku (ok. 4 godz. dziennie) zarobią znacznie więcej niż przy normalnej pracy zawodowej. Obiecywano im od 1 tys. zł do 1,5 tys. zł miesięcznie, wiele nowych i pięknych ubrań”.

Specgrupy żyły z napadów, dzieląc się zdobyczą z partią (PPR). Rabowały złoto, a także ubranka dziecięce, a nawet... skarpetki. Brak natomiast sprawozdań z przeprowadzonych akcji bojowych, bo ich po prostu nie było.

Od kilku lat lansowana jest w świecie (a także w Polsce) „bojownicza” z takiej specgrupy w Warszawie – Niuta Tajtelbaum „Wanda” jako PPR-owski MacGyver w spódnicy. Będą o niej nawet hollywoodzkie ekranizacje. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Unia w Krewie

Litwini pojawili się w dziejach Polski, gdy zaczęli najeżdżać nasz kraj. Zagrożenie rabunkowymi najazdami było tak poważne, że na Mazowszu osadnictwo polskie przesunęło się na zachód o 100 km. Podczas walk zginął też książę Siemowit I.

Jagiello nie mówił po polsku, nie znał łaciny ani niemieckiego

W Polsce Litwini rabowali, natomiast ekspansję terytorialną skierowali na Ruś. Rozbita na wiele księstw i zależna od Mongołów była łatwym celem i agresorzy bez problemów podbijali kolejne terytoria. W ciągu 100 lat w rękach Litwinów znalazły się ogromne tereny sięgające aż do Morza Czarnego, a wschodnia granica ich państwa przebiegała tylko 100 km od Moskwy.

Nie wiadomo, kto pierwszy wystąpił z propozycją unii polsko-litewskiej, której ostrze miało być skierowane przeciw Krzyżakom. To był główny wróg obu krajów i propozycję unii po obu stronach uznano za znakomity pomysł. Negocjacje z wielkim księciem litewskim Jagiełłą przebiegały sprawnie i szybko uzgodniono szczegóły. Ostatecznie akt unii podpisano na zamku w Krewie 14 sierpnia 1385 r. W zamian za inkorporację Litwy do

Polski cały kraj miał zostać ochrzczony (był ostatnim pogańskim państwem Europy).

Król polski, Jadwiga (taki nosiła oficjalnie tytuł), nie był, delikatnie mówiąc, zachwycony. Jadwiga kochała poprzedniego narzeczonego, Wilhelma Habsburga, i życie prywatne z Jagiełłą jej się nie układało. Kronikarze zanotowali, że często miały miejsce „wzajemne spory i niechęci”, dochodziło też do „poróżnień”. Znajac dyskrecję dziejopisów tamtej epoki, oznaczać to musiało, że Jadwiga i Jagiełło często się kłócili i czasami w ogóle nie rozmawiali ze sobą. Cena, jaką Jadwiga musiała zapłacić dla dobra kraju i chrześcijaństwa, była bardzo wysoka.

Jagiello nie mówił po polsku, nie znał łaciny ani niemieckiego. Posługiwał się wyłącznie językami litewskim i ruskim, nie potrafił czytać ani pisać. Do tego zaczynał już łysieć i był znacznie niższy od przyszłej żony. Był za to abstynentem, gdyż obawiając się otrucia, pił tylko wodę, wiedząc, że wino czy miód maskowały smak trucizny. Lubił jednak dobrze zjeść, chętnie i często używał też łaźni, co dziwiło jego nowych poddanych.

Przez całe życie zachował typowo pogańskie przesady, co irytowało jego królewską małżonkę. Obracał się trzy razy przed wyjściem z budynku, rzucał za ramiona patyczki, a włosy wyrwane z brody starannie mył, by następnie włożyć je między palce. Jadwiga i Jagiełło to faktycznie były zupełnie różne światy... ©©

Wielu polskich artystów było solidarnych z Czechami i ze Słowakami. Najbardziej znanymi tego przejawami były listy otwarte ich autorstwa. Do najgłośniejszych należały te Jerzego Andrzejewskiego czy Sławomira Mrożka. Andrzejewski pisał do prezesa Związku Pisarzy Czechosłowacji Eduarda Goldstückera: „Zdaję sobie sprawę, że mój głos protestu politycznego i moralnego nie zrównoważy i zrównoważyć nie może niesławy, jaką w postępowej opinii całego świata okryła się Polska. Ale ten protest, zrodzony z oburzenia, bólu i ze wstydu, jest jedyną rzeczą, jaką w obecnych warunkach mogę ofiarować Panu i Pańskim Przyjaciołom”.

Mrozek stwierdzał zaś: „Wobec czynnego udziału Rządu PRL w zbrojnej agresji na Czechą Socjalistyczną Republikę Ludową i okupacji wojskowej tego kraju oświadczam, co następuje: Protestuję przeciwko tej akcji. Jestem solidarny ze wszystkimi Czechami i Słowakami, którzy się tej akcji sprzeciwiają. Szczególnie ze swoimi towarzyszami, pisarzami czeski i słowackimi, którzy są prześladowani i więzieni”.

Oprócz nich podobne listy otwarte napisali m.in. Gustaw Herling-Grudziński, Jan Lebenstein, Zygmunt Mycielski czy Leopold Tyrmand. Ten ostatni zresztą publicznie oświadczył: „Z chwilą, gdy polscy żołnierze komunistyczni deptają ziemię Czechosłowacji i nazywają Rosjan i Niemców swymi aliantami, pryncypia stają się martwe. Dla mnie osobiście jedyną formą wyrażenia żałoby z tego powodu jest rezygnacja z obywatelstwa obecnej Polski, o czym niniejszym zawiadamiam”. Listy te odbiły się szerokim echem, szczególnie na Zachodzie.

„W HRADCU KRALOVEM, W HRADCU KRALOVEM DUDNIĄ POLSKIE TANKI...”

Dużo mniejszy rezonans miały wiersze czy piosenki związane z inwazją. Powstawały one zarówno w Polsce, jak i na terenie Czechosłowacji oraz na Zachodzie – na emigracji.

Paradoksalnie najmniej wiemy o tych krajowych, przynajmniej tych tworzonych na bieżąco w roku 1968. I tak np. za śpiewanie w pociągu piosenki „o treści

Przebacz mi, smutna Bratysława...



Grzegorz Majchrzak

Polscy twórcy w utworach dawali wyraz sprzeciwowi inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w sierpniu 1968 r.

krytykującej [...] wkroczenie wojsk polskich w 1938 r. na Zaolzie, a obecnie do Czechosłowacji” został zatrzymany 8 września w Gdańsku, a następnie skazany na rok więzienia student Uniwersytetu Wrocławskiego Stanisław Januszewski. Z pewnością najbardziej znanym utworem napisanym „na gorąco” jest piosenka Jacka Tarkowskiego „Hradec Kralove”:

*[...] W Hradcu Kralovem, w Hradcu Kralovem
Dudni krok żołnierzy.
A kobieta przerażona
Patrzy zza firanki
W Hradcu Kralovem, w Hradcu Kralovem
Dudnią polskie tanki.
W Hradcu dni są niespokojne
I noce zatrute,
Miażdży bruk polski żołnierz
Swym podkutym butem.
Była wolność i swoboda,
Była demokracja,
W Hradcu Kralovem, w Hradcu Kralovem
Polska okupacja [...].*

Z kolei po 13 latach – w czasie tzw. solidarnościowego karnawału – do udziału ludowego Wojska Polskiego w inwazji na Czechosłowację odniósł się Andrzej Garczarek. W odśpiewanym podczas I Przeglądu Piosenki Prawdziwej utworze odnoszącym się do sytuacji z roku 1981 i stosunku naszych sąsiadów do sytuacji w PRL znalazł się m.in. fragment:

*Jakim Wy prawem o wolności
Głosicie bracia w Rudym Pravie
Wszak to od waszej nie ostatni*

*Zwariował pisarz Ota Pawel
Przebacz mi smutna Bratysława
Hradcu Kralowy, złata Praha
Za śmierć jaskółki tamtej wiosny
I polskie tanki nad Wełtawą
Przyjaciół nikł nie będzie mi wybierał
Wrogów poszukam sobie sam
Dlaczego k..wa mać bez przerwy
Pouczka ktoś w co wierzyć mam.*

„PACZEMU?”

Zdecydowanie więcej wiadomo na temat utworów polskich twórców zamieszkałych na terenie naszego południowego sąsiada. Wielu z nich – podobnie jak większość naszych rodaków zamieszkałych na terenie CSRS – popierało Praską Wiosnę i jej liderów oraz sprzeciwiało się inwazji. I dawało temu wyraz publicznie na łamach polskiej prasy wychodzącej w tym kraju. I tak np. na łamach wydawanego w Ostrawie „Głosu Ludu”, czyli organu Północnomorawskiego Komitetu Komunistycznej Partii Czechosłowacji, ukazał się krótki wiersz Wilhelma Przeczka i Władysława Sikory pt. „Paczemu?”:

*Dlaczego przychodźcie nocą?
Nieśliśmy przyjaźń i chleb na tacy.
Bronicie nas przed nami, po co?
Jesteśmy w drodze do pracy.
Dlaczego przychodźcie nocą?
Wystarczy podnieść słuchawkę:
– Nu, kak u tiebia? – Mocno
Trzyma się naród, Pawko!
Dlaczego przychodźcie nocą?*

*Zrywacie dzieci ze snu?
Po co nam chcecie skrzydła odciąć?
Pytamy: Paczemu?*

Również w „Głosie Ludu” została opublikowana – anonimowa tym razem – przeróbka popularnej piosenki „Katusza” Michała Isakowskiego:

*Dojrzały grusze i jabłonie,
popłynęła ponad Olzę mgła,
pod Cieszym drżały bruki, błonie,
gdy pancerna kawaleria szła.
Do przyjaciół jadąc w odwiedziny
Podnosiła lufy w samą pierś,
z szarmem, butnie i ze srogą miną
przyszła do nas, żeby „wolność” nieść.
Gdy dojrzały grusze i jabłonie,
mgła jesienna przesłoniła sad,
nad Wełtawą kilka domów płonie,
a w Koszycach z automatów grad.*

Z kolei na łamach „Zwrotu” (miesięcznik Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji) Henryk Jasiczek opublikował swój utwór zatytułowany „Zostań człowiekiem”:

*Kiedy ci gorycz ścisnie krtań,
kiedy zdradzony zostaniesz sam,
zostań człowiekiem.
Gdy z piasku wyjrzą głowy strusie,
krzycząc obłudnie: I ty, Brutusie!
zostań człowiekiem.
Gdy ci przyjaciel napluje w twarz,
przy twoich myślach postawi straż,
zostań człowiekiem.
Kiedy zostaniesz straszliwie sam,
a wokół ciebie przemoc, fałsz i kłam,
gdy łez zabraknie opuchłym powiekom,
zostań człowiekiem.*

Na autorów tych wierszy spadły represje – wszyscy zostali objęci zakazem wjazdu do PRL, a Jasiczek stracił również pracę i miał problem ze znalezieniem kolejnej posady.

POLSKIE CHORĄGWIE NA SŁUŻBIE SUWOROWA

Również na emigracji powstawały utwory związane z brutalnym zdławieniem przez wojska Układu Warszawskiego Praskiej Wiosny. Szczególnie aktywny był poeta i satyryk Marian Hemar, którego wiersze drukowała polska prasa na emigracji oraz upowszechniało Radio Wolna Europa. W utworze zatytułowanym „Plama” pisał o hańbie, którą jest udział w inwazji Wojska Polskiego:

*Kto w najśmielszej fantazji
Co przed niczym nie stchórzy,*

*Mógł pomyśleć, że kiedyś
W historii się powtórzy
Rzeź Pragi – i że wtedy
Polskie chorągwie będą
Na służbie Suworowa
I pod jego komendą?
Kto, w najbliższej fantazji
Co się przed niczym nie wzdraga,
Mógł pomyśleć, że kiedyś
Znow padnie zdobyta Praga,
A wtedy żołnierz polski
Będzie jej okupantem,
Nie jej obrońcą, ale
Janczarem i aliantem
Napaśnika – z nim ruszy
Przeciw wolności czeskiej? [...].*

W innym z kolei – zatytułowanym „Wstyd i kara” – odnosił się do postawy Czechów i Słowaków wobec „bratniej pomocy”:

*Rozgłosili dookoła,
Z miejsca ostro i srogo,
Że nic nie zrobią zgoła,
Bo nic zrobić nie mogą.
Zapowiedzieli w sposób
Niedwuznacznie surowy,
Że gdyby Dubczekowi
Włos miał w Moskwie spaść z głowy,
Gdyby go napaśnicy
Śmieli zabić czy pobić,
To nic na to nie zrobią,
Bo nic nie mogą zrobić.
Potępiając agresję
Co śmie prawu urgać,
Stwierdzili, że się nie dadzą
Prowokować i wciągać
W żadne zbrojne rozprawy
Z rozzuchwaloną szują
I z góry oznajmiają,
Że nie zareagują.
Dając wyraz pogardzie,
Żalowi i konsternacji
I podkreślając niezłomną
Cześć dla Czechosłowacji [...].*

KU CZCI JANA PALACHA

Polacy oddawali również hołd Czechom i Słowakom za ich postawę po inwazji. Przez lata czcili pamięć Jana Palacha – czeskiego studenta, który 16 stycznia 1969 r. dokonał samospalenia w Pradze na placu Wacława przed Muzeum Narodowym, a paradoksalnie nie wiedzieli o podobnym czynie Ryszarda Siwca i to mimo że zdecydował się on na niego na oczach 100 tys. osób zgromadzonych

(8 września 1968 r.) na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie...

Nie tylko w rocznicę czynu Palacha (np. w 1975 r.) kolportowano okolicznościowe ulotki – klepsydry czy publicznie (jak Zbigniew Herbert w telewizji austriackiej) mówiono o nim jako o postaci, której postępowanie stało się symbolem dla świata, lecz także poświęcono mu specjalny wiersz. Ułożył go poruszony śmiercią młodego Czecha polski poeta i prozaik przebywający na emigracji (w Londynie) Kazimierz Wierzyński. W utworze zatytułowanym „Na śmierć Jana Palacha” pisał m.in.:

*W Sajgonie podpalali się buddyci,
Nikt nie przeszkadzał im płonąc do końca,
Ludzie stali na placu dokoła,
Patrzyli aż wyschnie
Na ogniu czarny,
Siedzący w kucki
Kościąny
Strup.
Myśleliśmy że to religia
Zniczula im śmierć [...]
Teraz ten pożar jest nasz.
Tu pali się ktoś
Za siebie i za nas,
Pali się z własnej woli
Pośrodku własnego narodu.
Nikt z odludnego świata
Nie przeszkadza mu płonąc do końca [...]
Złote miasto,
Nie odprowadzaj młodego człowieka
Do gnijnej ziemi,
Na cmentarz:
Oddaj go nam,
Upiomy cmentarzom
Naszego życia.
On spłonął i płonie,
Umiera i żyje,
Świeci pośrodku [...]
Nie oddawaj go ziemi,
Nie wstrzymuj w drodze,
Nam go potrzeba:
Może napadnie nas ogniem,
Wszystkich pośniętych,
Uderzy nim w naszą noc.*

O inwazji na Czechosłowację polscy artyści związani z opozycją pamiętali zresztą przez dekady, czego przykładem jest m.in. utwór z lat 90. Antoniny Krzysztos pt. „Braciszku” (na podstawie ballady Karela Kryla pod tym samym tytułem z połowy lat 80.)...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

Co gotuje kucharz Łukaszenki

Zoczywistych względów bardzo trudno jest z całą pewnością odpowiedzieć na pytania, czym był czerwcowy pucz oraz jakie naprawdę są i będą jego konsekwencje. Konsekwencje zarówno dla puczystów, jak i dla elity władzy w Rosji. Wiemy natomiast na pewno, że dwa miesiące po „marszu sprawiedliwości” na Moskwę jego uczestnicy nie tylko nie zostali ukarani, lecz także wciąż stanowią poręczne narzędzie agresywnej polityki zagranicznej Kremla.

Nie oznacza to jednak, że bunt Prigożyna był inscenizacją wyreżyserowaną przez Putina. Dla autorytetu autorytarnej władzy był zbyt wielkim zagrożeniem propagandowym, przy znikomych korzyściach. Żeby przerzucić wagnerowców na Białoruś, nie trzeba było udawać uderzenia na stolicę Rosji. Ponadto Putin, zapowiadający surowe ukaranie zdrajców, bardzo niekorzystnie wypada na tle



Maciej Pieczyński

Bunt wagnerowców nie był wymierzony w Putina. Najemnicy wciąż potrzebni są Moskwie – w Afryce, na Białorusi i na granicy z Polską. Dlatego pogłoski o politycznej – nie mówiąc już o fizycznej – śmierci Jewgienija Prigożyna na razie wydają się mocno przesadzone

Putina pozwalającego zdrajcom nadal działać, tyle że za granicą (a raczej „za granicą”, bo w kraju niemal całkowicie uległego wasała). Szczególnie że Prigożyn nie tylko nie chowa się w białoruskich lasach przed zemstą dyktatora, lecz także bez żadnych przeszkód przyjeżdża do rodzinnego (także dla Putina) Petersburga, a nawet publicznie pokazuje się tam podczas szczytu Rosja-Afryka, ściskając dłonie przywódców państw Czarnego Łądu. Wygrywa też przetarg na

catering dla rosyjskich szkół w obwodzie moskiewskim. Karmić uczniów to nie to samo, co karmić żołnierzy, wciąż jednak pokazuje to, że Prigożyn się liczy.

Wreszcie lider wagnerowców może też mieć liczne haki na przedstawicieli rosyjskich elit i w ten sposób zapewniać sobie nietykalność. Dlatego, choć oficjalnie Grupa Wagnera to zdrajcy należący do nielegalnej organizacji, zajmującej się nielegalnym procederem najemniczym, to wciąż rekrutuje w Rosji. Co prawda,



Szkolenie Grupy Wagnera z żołnierzami sił specjalnych Białorusi, 20 lipca 2023 r.
FOT. TELEGRAM/@MODMILBY/AFP/EAST NEWS

cją – dobry jest car, źli są bojarzy, którzy za jego plecami carstwo rujnują. I to bojarów, czyli elitę, chciał wyróżnić szef wagnerowców. Jak przystało na ludowego przywódcę, na którego się kreuje. Z takim wizerunkiem nie mógł uderzyć w samego Putina. A być może nawet nie chciał. Być może jego bunt przeciwko części elit został zaaranżowany przez inną ich część albo po prostu wykorzystany przez jedną z kremlofskich frakcji, która chciała osłabić Putina. Nie tyle odsunąć go władzy, ile skompromitować i sprawić, że jego władza będzie już czysto teoretyczna.

W Rosji jednoosobowa władza instytucjonalna ma ogromne znaczenie. Ostentacyjne obalenie cara w wyniku „oddolnego buntu”, pokierowanego przez trybuna ludowego, przerwałoby tamę powstrzymującą niebezpieczny chaos. Dlatego lepiej nacisnąć, osłabić, a za jakiś czas zakulisowo odsunąć od władzy. Zapewnić gwarancje bezpieczeństwa w zamian za oddanie steru, jak było z Jelcynem. Albo usunąć fizycznie, tyle że po cichu, w ramach przewrotu pałacowego (jak to często bywało), nie rewolucji. Nawet więc potencjalni mocodawcy Prigożyna (nie poznamy ich być może nigdy, choć w tym kontekście najczęściej pojawiał się gubernator obwodu tatarskiego Aleksiej Diumin) mogli chcieć, by pucz był deklaratorywnie wymierzony w zawsze niepopularną elitę (nieudolni generałowie i ministrowie), a nie w sacrum władzy carskiej.

INTERESY PAŃSTWA ROSYJSKIEGO

Tak czy inaczej wagnerowcy częściowo zniknęli z Rosji, nie walczą już na Ukrainie, za to wciąż aktywnie działają w Afryce i na Białorusi. Czyli tam, gdzie nieprzewidywalność i niepokorność ich przywódcy nie zagraża Moskwie, tylko innym stolicom. Rzecz jasna, nie wiadomo, czy o ich tymczasowo nie najgorszym (jak na zdrajców) losie samodzielnie zdecydował Putin czy może ci, którzy w efekcie osłabienia władzy carskiej sterują imperium z tylnego fotela (niczym regentka Zofia, która przez otwór w podwójnym tronie dyktowała małoletnim carom Iwanowi i Piotrowi, co mają mówić). Wiadomo jednak, że realizują interesy państwa rosyjskiego. Nie samego Prigożyna, który jest ważnym pionkiem w grze, ale jednak pionkiem, tylko Rosji jako ekspansywnego imperium.

W Afryce Grupa Wagnera od kilku lat odgrywa rolę efektywnego nadzorcę kolonii. Ochrania sympatyzujące z Moskwą siły polityczne, a nieprzychylnie jej rządy obala. Nadzoruje też eksploatację tamtejszych bogactw. I robi to niezwykle skutecznie. W Afryce wagnerowcy są bardzo popularni. W listopadzie 2021 r. w stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej stanął nawet pomnik rosyjskich instruktorów wojskowych.

Oczywiście niekoniecznie akurat Prigożyn musi realizować interesy Kremla na Czarnym Lądzie. On jednak do tej pory robił to skutecznie. Ma doświadczenie i know-how. Putin (czy ktokolwiek na Kremlu) nie może ryzykować, szczególnie teraz, gdy wywołany agresją na Ukrainę kryzys zbożowy uderza w Afrykę, a co za tym idzie – osłabia prorosyjskie sympatie na tym kontynencie.

DLACZEGO BIAŁORUŚ?

Z polskiej perspektywy najważniejsza jest oczywiście obecność wagnerowców na Białorusi. Jednego dnia słyszymy, że Łukaszenka już zbudował dla nich obóz. Następnego, że obóz jest pusty. Wniosek – informacja o rosyjskich najemnikach u bram Zachodu to propagandowa dezinformacja. Jednak już chwilę potem okazuje się, że istotnie wagnerowcy stacjonują już na Białorusi i szkolą armię „Bački”. Nie mija wiele czasu i media sensacyjnie ogłaszają – ludzie Prigożyna wracają do Rosji, bo im Łukaszenka płacić nie chce. Ostatecznie jednak obecność Grupy Wagnera (najprawdopodobniej w liczbie 5–6 tys. żołnierzy) jest faktem. Czemu ma służyć? Do czego może doprowadzić? Teorii jest mnóstwo.

Po pierwsze, to może być część ponownego planu uderzenia na Kijów od północy. To możliwe, ale mało prawdopodobne. Ukraińcy z pewnością za drugim razem byłoby lepiej przygotowani do odparcia ataku. Nie daliby się zaskoczyć. Umacniają północną granicę. Białoruski kontyngent Grupy Wagnera pod względem liczebności nie stanowi siły, która mogłaby zagrozić ukraińskiej stolicy. Wątpliwe też, by ledwo dający radę bronić się na wschodzie Rosjanie zaryzykowali ponowną klęskę pod Kijowem. O wiele bardziej realnie brzmi scenariusz, w którym sama obecność wagnerowców ma za zadanie wiązać siły ukraińskie przy granicy z Białorusią i odciągać inne odcinki frontu.

nie w stolicy, lecz w Woroneżu czy Krasnodarze, ale jednak.

OBALANIE CARATU

Przed wszystkim jednak należy pamiętać o rzeczy oczywistej, choć rzadko podkreślanej – otóż przynajmniej deklarowanym celem buntu Prigożyna wcale nie było obalenie Putina. Szef wagnerowców nigdy otwarcie nie rzucił wyzwania samemu gospodarzowi Kremla. Na Moskwę poszedł po to, aby „wymierzyć sprawiedliwość” i odsunąć od stanowisk Szojgu i Gierasimowa. Ani razu publicznie nie nawoływał do zmiany na stanowisku prezydenta. Nawet wówczas, gdy krytykował nieudolność „siwego dziadunia” – wtedy najprawdopodobniej chodziło mu o siwą głowę państwa, ale nazwisko mu przez usta nie przeszło. Nawet gdy Putin nazwał puczystów zdrajcami, Prigożyn jedynie stwierdził nieśmiało, że prezydent się myli. Zgodnie ze starą rosyjską trady-

■ Po drugie, wagnerowcy stanowią zagrożenie militarne dla przesmyku suwalskiego. Mogą np. otrzymać zadanie uderzenia na polsko-litewskie pogranicze, aby spełnić marzenie kremlowskich strategów – czyli połączyć obwód królewiecki z Białorusią i odciąć państwa bałtyckie od reszty NATO. Niedawno atakiem na przesmyk suwalski groził na antenie państwowej telewizji (w programie osławionego Władimira Sołowiowa) szef komisji obrony Dumy Państwowej Aleksiej Kartapołow. Byłaby to jednak akcja samobójcza. Grupa Wagnera nie miała by żadnych szans z polskimi wojskami zgromadzonymi przy granicy. I to nawet, gdyby wsparcia udzieliły jej oddziały z rosyjskiej eskadry oraz armia Łukaszenki. Byłby to atak na państwa NATO. Rosjanie przeją muskuły i lubią pogardliwie rozprawiać o słabym i niezdecydowanym Zachodzie. Jednak po 24 lutego 2022 r. sojusz udowodnił, że potrafi zdecydowanie działać po stronie Ukrainy, a co dopiero gdyby ofiarą napaści stał się jeden z jego członków. Ludzie Kremla muszą sobie z tego zdawać sprawę. Dlatego słusznym krokiem jest wzmacnianie liczebności wojsk przy granicy z Białorusią, ale właśnie ten krok sprawia, że regularna agresja ze strony wagnerowców jest niemal nieprawdopodobna.

Po trzecie, najemnicy Prigożyna być może są na Białorusi nie po to, aby napaść na Polskę otwarcie, ale po to, aby napaść na Polskę hybrydowo, strasząc jednocześnie pełnowymiarową agresją. To o tyle realna hipoteza, że dokładnie tym się właśnie teraz wagnerowcy zajmują. Niezależnie od tego, jakie są dalsze plany ludzi Prigożyna, już teraz stanowią oni bardzo poważne hybrydowe zagrożenie dla nas. Nie ma powodu, by bagatelizować akcję rozlepiania w polskich miastach ulotek zachęcających do wstępowania do Grupy Wagnera. Każdy obywatel polski, który choćby z ciekawości zeskanowałby kod QR, umieszczony na ulotce, mógłby stać się później narzędziem kremlowskiej propagandy. Coraz częściej dochodzi do zatrzymań szpiegów rosyjskich w Polsce. Rzecz jasna, zawsze tu byli, ale po 24 lutego z pewnością jest ich o wiele więcej i są o wiele bardziej niebezpieczni.

Wreszcie najbardziej oczywistym zagrożeniem jest potencjalne rozkrę-

Nie jest wykluczone, że Prigożyn na Białorusi ma straszyć nie tyle Zachód, ile samą Białoruś

cenie kolejnego kryzysu migracyjnego. Wagnerowcy o wiele skuteczniej niż białoruskie służby mogą prowadzić nielegalnych migrantów do ataku na polską granicę. Mur pomaga, ale nie jest w stu procentach szczelny, a rosyjscy najemnicy mają środki, aby go jeszcze bardziej rozszczełnić.

Rozległe wpływy w państwach afrykańskich potencjalnie dają najemnikom możliwości sprowadzenia o wiele większej liczby migrantów niż jesienią 2021 r. Na razie z tej możliwości nie korzystają. Być może to kwestia czasu, a być może wystarczającą bronią, siejącą strach po polskiej stronie, jest sama wizja rozpętania kryzysu. Mur mocno utrudniałby masowe szturmowanie granicy. Nie zapobiegłby natomiast przenikaniu małych, wyspecjalizowanych grup – dywersantów podających się za migrantów. Ani niebezpiecznym prowokacjom z użyciem broni palnej.

Moskwa i Mińsk z pewnością mogą przeprowadzić jakiś atak hybrydowy w samym środku kampanii wyborczej nad Wisłą. Jesienią 2021 r. Łukaszenka osiągnął sukces, przy użyciu migrantów skłócając wewnętrznie polskie społeczeństwo. Teraz może być podobnie. A właściwie to już jest. Polacy kłócą się o to, czy Mariusz Błaszczak powinien zestrzelić białoruskie śmigłowce czy nie. Wrogiem jest przeciwnik polityczny nad Wisłą, a nie ten, kto śmigłowce przysłał. Ponadto PiS z kwestii bezpieczeństwa uczynił sztandar polityczny, więc każda szczelina w polskim murze obronnym, wywiercona przez Moskwę czy Mińsk, będzie osłabiać partię rządzącą i pogłębiać spór wewnętrzny, dając powody do kolejnych wzajemnych oskarżeń.

A co, jeśli Moskwa chce po prostu odwrócić uwagę Polski od Ukrainy? Im więcej będzie się mówić o zagrożeniu na granicy z Białorusią, tym większa będzie presja elektoratu na polityków, aby skupili się na bezpieczeństwie Polski i przestali

pomagać Kijowowi. Łukaszenka publicznie opowiada Putinowi, jak to wagnerowcy rwą się, żeby ruszyć na Warszawę lub Rzeszów. Putin, też publicznie, oskarża Warszawę o chęć aneksji zachodnich ziem Białorusi i Ukrainy (absurd, który akurat kremlowska propaganda powtarza często) i grozi Polsce odebraniem ziem zachodnich, „podarowanych przez Stalina”. No to Polacy może się przestraszą i skupią na sobie, a w tym czasie Rosja – na Ukrainie. A być może zamieszanie wokół granicy z Białorusią ma odwrócić uwagę nie tyle od Ukrainy, ile od wspomnianego Rzeszowa? Wedle tej wersji wagnerowcy na północy to straszak, podczas gdy Rosjanie zaatakują na południu. To by oznaczało dywersję wymierzoną w Rzeszów jako hub pomocy dla Ukrainy.

Na koniec nie jest wykluczone, że Prigożyn na Białorusi ma straszyć nie tyle Zachód, ile samą Białoruś. Wagnerowcy mają spore doświadczenie w organizowaniu zamachów stanu. Pozbawieni są co prawda ciężkiego sprzętu (ten mają w razie potrzeby otrzymać od Białorusinów), ale odsunąć od steru Łukaszenkę, gdyby ten próbował porozumieć się z Zachodem, są w stanie. Poszli na Moskwę, na Mińsk też mogą. Tyle że to znów byłoby ryzyko, że się Prigożyn ze smyczy urwie. Mógłby nie tylko zaprzagnąć na rozkaz Putina obalić Łukaszenkę, lecz także, już bez rozkazu, zająć jego miejsce. Mało możliwe, ale jednak możliwe. Szczególnie jeśli któraś baszta Kremla sobie tego po cichu zażyczy i udzieli równie cichego wsparcia.

A dopóki Łukaszenka jest wobec Moskwy lojalny, dopóty Prigożyn szkoli jego wojska. Nie od dziś wiadomo, że resorty siłowe na Białorusi specjalizują się raczej w tłumieniu wewnętrznych buntów niż w walce na froncie wojny z wrogiem zewnętrznym. A być może w pewnym momencie Rosja będzie potrzebować żołnierzy Łukaszenki. Sam prezydent Białorusi z pewnością wolałby uniknąć bezpośredniego udziału w wojnie na Ukrainie. Wagnerowcy w razie potrzeby pomogliby mu rozwiązać tego rodzaju wątpliwości... Nie można też zapominać o nieprzewidywalności Prigożyna. Nie jest absolutnie niemożliwe, że kiedyś, zachęcony osłabioną pozycją Putina, mając wsparcie kogoś z elity, powtórzy marsz na Moskwę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Podatki w górę! Które w 2024 r.?

Na razie trwa przedwyborcza zabawa w dobrych polityków – najlepszych przyjaciół polskich wyborców podatników – którzy nigdy w życiu (nigdy, przenigdy!) nie podnieśliby swoim ukochanym podatnikom, czyli wyborcom, podatków.

Na razie politycy prześcigają się w składaniu obietnic, które zasilki jeszcze powiększą, które podatki obniżą i które obniżki podatków (VAT na żywność!) utrzymają, a o planach podniesienia podatków – choćby najmniejszych – milczą jak zakłęci. (I nakazują państwowym monopolistom, by w ramach przedwyborczego kwartału dobroci dla wyborców obniżali ceny produktów, a nawet wycofali stare, wysokie faktury na przyszłoroczne zakupy np. gazu i wysyłali nowe, z obniżonymi cenami).

A przecież dobrze – doskonale! – wiadomo, że nie da się w nieskończoność udawać, iż pieniądze rosną na drzewach i to za pomocą takich właśnie, zerwanych z drzew, banknotów rząd będzie spłacał długi, których nazaciągał na prawo i lewo. Nazaciągał nie tylko na konieczne zbrojenie armii, lecz także na niekonieczne objęcie całym dobrodziejstwem polskiego socjału wszystkich przybyszów z Ukrainy, na także niekonieczne rozdęcie wydatków socjalnych, jak powiększenie „500+” do „800+”, czy podobnie niekonieczne wydatki na osłonę rolników polskich przed konkuren-

cją ukraińskich, których to wydatków nie musielibyśmy ponosić, gdyby rząd umiał, tak jak przyobiecał, już od 2022 r. chronić nasz rynek rolny. Itd.

A ile są warte słowa polityków – zwłaszcza te o niepodnoszeniu przez nich podatków – najlepiej wiemy my – wyborcy i podatnicy. Dobrze mając w pamięci obiecujących nie podnosić podatków polityków Platformy, którzy potem bez mrugnięcia okiem wywindowali VAT z 22 do 23 proc., i nie gorzej – obiecujących nie podnosić podatków polityków PiS, którzy potem to samo uczynili z podatkiem zdrowotnym, nie wiadomo, dlaczego wciąż nazywanym składką zdrowotną (tak jakby można było zrezygnować z jej płacenia!).

A zatem – wracając do tytułowego pytania – które podatki wzrosną jako pierwsze już w 2024 r.? I jak się będą nazywały? Bo przecież wiadomo, że w polskim matriksie nikt nie odważy się nazwać ich podatkami. Dobre wyobrażenie o cyrku, w którym żyjemy od kilku lat, daje informacja „Rzeczpospolitej”, że o ile z tytułu podatków dochodowych (tych nadal nazywanych podatkami) w 2022 r. zapłaciliśmy o 5 mld zł mniej niż w 2021 r., o tyle w tym samym czasie z tytułu innych podatków (tych nazywanych składkami i opłatami) zapłaciliśmy aż o 53 mld zł więcej. No bo rząd tylko obniża podatki, a nigdy ich nie podnosi!

A zatem – które podatki nie podatki wzrosną już od 2024 r., a które dopiero od 2025 r.? ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Po co Tuskwowi Kołodziejczak

Po co Donaldowi Tuskwowi potrzebny jest awanturnik Michał Kołodziejczak? AgroUnia nie przyprowadza ze sobą żadnych wyborców – jej sondażowe notowania, o ile w ogóle się w badaniach pojawia, są bliskie zeru, na granicy błędu statystycznego. O rolników realnie biją się dzisiaj trzy ugrupowania: tradycyjnie PSL, PiS, który jednak mocno swoją pozycję osłabił za sprawą „piątki dla zwierząt” i postawy wobec Ukrainy, która zaowocowała kryzysem z importem pro-

próba dobicia Trzeciej Drogi poprzez uderzenie w PSL. Po drugie – uderzenie w Konfederację. Po trzecie – chęć choćby częściowego przejęcia inicjatywy w kampanii i skupienia na sobie uwagi.

To jednak bardzo ryzykowne zagranie. Struktury AgroUnii nie istnieją. PSL wie, jakie to ważne. Kołodziejczak jest też całkowicie niewiarygodny. Jego meandry, niejasne postulaty, szukanie sprzymierzeńców w najdziwniejszych miejscach – cały ten wizerunek jest skrajnie niespójny z tym, jaki starała się tworzyć PO. Komicznie wygląda, gdy na Twitterze zalety Kołodziejczaka zachwala stary działacz Unii Wolności, liberał Janusz Lewandowski. Obecność szefa AgroUnii jest i będzie dla wielu polityków PO ogromnym wizerunkowym problemem, również dlatego, że łatwo jest znaleźć jego stare wypowiedzi, w których Tuska i PO mieszał z błotem. Łatwo też będzie poprzez Kołodziejczaka bić w Platformę. PiS już zaczął z najmodniejszą melodią sezonu, czyli „kto jest bardziej prorosyjski”.

Tusk zagrał zatem bardzo ostro i ryzykownie. Niektórzy interpretują to jako desperację i może tak jest faktycznie. Jeśli zaś sam Kołodziejczak wyobraża sobie, że będzie drugim Lepperem, to powinien pamiętać, że podróbka niemal zawsze jest gorsza niż oryginał. W tym wypadku widać to szczególnie wyraźnie. ©

**Obecność szefa
AgroUnii jest
i będzie dla
wielu polityków
PO ogromnym
wizerunkowym
problemem**

duktów rolnych, oraz nowy uczestnik tej walki – Konfederacja. Platforma Obywatelska nigdy się nie liczyła. Nie liczył się też Kołodziejczak, przez wielu rolników trafnie postrzegany jako nieefektywny, za to głośno wrzeszczący zadymiarz, który nic im nigdy nie załatwił, a tylko podczepiał się pod aktualne tematy.

Tusk uznał najwyraźniej, że potrzebuje takiego rolniczego trybuna ludowego. Możliwych motywacji jest kilka. Po pierwsze – to

Polowanie na Nessie



Na weekend 26–27 sierpnia zaplanowano największą akcję poszukiwania Nessie

FOT. ROSEMARY ROBERTS/ALAMY STOCK PHOTO/PAP



Teresa Stylińska

Czy katastrofa klimatyczna może być groźna dla kogoś, kto być może w ogóle nie istnieje? Pytanie wydaje się absurdalne, a jednak odpowiedź jest twierdząca i w dodatku wygłaszana z pełną powagą. Ów tajemniczy ktoś to Nessie, jak pieszczotliwie nazywany jest potwór ze szkockiego jeziora Loch Ness

Nessie żyje – jeżeli w ogóle – w głębinach jeziora, a globalne ocieplenie – jak twierdzą szkoccy specjaliści od natury i klimatu – nie może pozostać bez wpływu na stan jego wód. – Loch Ness, głębokie i zimne, jest dla Nessie idealnym miejscem do życia – wyjaśnia Joan Lawrie, kierująca badaniami nad zmianami klimatu w północnej Szkocji. – Gdy temperatura wody wzrośnie, a jej lustro opadnie, może się to zmienić. A zatem walka ze zmianami klimatycznymi oznacza, że zapewniamy też Nessie jej naturalne środowisko. Nie będzie musiała błąkać się wzdłuż

brzegów w poszukiwaniu pożywienia i chłodnego miejsca do życia.

W ten oto zgrabny sposób zbiegły się bardzo różne wątki: sekrety jeziora, masowe – popkulturowe wręcz – zainteresowanie, jakie budzi Nessie, walory czysto turystyczne, a zatem również korzyści ekonomiczne wynikające z obecności nieuchwytnego stwora (nieuchwytność podnosi atrakcyjność) i wreszcie – obojętne – troska o przyszłość.

DWADZIEŚCIA METRÓW NAD DNEM

Gdyby Nessie wiedziała – została uznana, nie wiedzieć czemu, za istotę rodzaju żeńskiego i tego będziemy się trzymać – że jej spokojna egzystencja wisi na włosku, mogłaby dołożyć starań, by wyemigrować gdzieś daleko na północ. Na wyspach północnego Atlantyku nie brakuje jezior, choć nie tak wygodnych jak Loch Ness. Pod względem głębokości jest ono drugie w Szkocji i Wielkiej Brytanii – średnio 123 m, maksimum 260 m, objętość wody aż 7,5 km sześć, brytyjski rekord. Co ciekawe, Nessie najczęściej widuje się w miejscu, gdzie jest największa głębina, nieopodal zamku Urquhart. Bez wątpienia ma się gdzie schronić przed dociekliwym ludzkim wzrokiem.

Potwór z Loch Ness był zawsze klasycznym tematem na wakacyjny sezon ogórkowy, gdy media wobec braku wydarzeń nie

mają czym się zajmować. Tak było niegdyś. Dzisiaj sezonu ogórkowego już nie ma. Wojny trwają przez okrągły rok (Ukraina, Jemen), nie próżnują autorzy zamachów stanu (Niger, Turcja w 2016 r.), wyborom lato już nie przeszkadza (Hiszpania), a dla terrorystów każda pora jest dobra. Nie mówiąc o klęskach żywiołowych, na czele z pożarami lasów.

Uwaga należy się dziś Nessie z dwóch powodów. Pierwszy to okrągła rocznica: 90 lat temu została dostrzeżona, opisana i nazwana. Był to pierwszy raz w czasach współczesnych, być może jednak nie pierwszy w ogóle. Święty Kolumban, irlandzki misjonarz w Szkocji, opisał dziwnego stwora, którego w 565 r. zauważył w przepływającej przez jezioro rzece Ness.

Drugi powód to największa akcja poszukiwania Nessie, zaplanowana na ostatni weekend (26–27) sierpnia. Szkoci chcą wiedzieć, czy tajemniczy mieszkaniec Loch Ness istnieje naprawdę czy stanowi jedynie wytwór wybujałej wyobraźni. Jezioro ma być gruntownie zbadane – z wody, lądu i powietrza – przez stałych poszukiwaczy Nessie oraz setki czy nawet tysiące wolontariuszy. Wykorzystane zostaną wszelkie techniki – drony, kamery i sonary. Organizatorzy wiążą szczególne nadzieje z użyciem sonarów, dają one bowiem możliwość wychwycenia wszelkich podwodnych

ruchów. Trzy lata temu zarejestrowano w ten sposób obiekt o długości 32 stóp (ok. 10 m), płynący na głębokości 500 stóp (ok. 180 m), zaledwie 62 stopy (ok. 20 m) nad dnem. Specjaliści nie wątpią, że obraz był prawdziwy.

ŚLADY NA WODZIE

Potwora z Loch Ness odkryła dla świata pani Aldie Mackay, zarządzająca hotelem w miejscowości Drumnadrochit, niedaleko Urquhart (w budynku mieści się dziś centrum informacji i badań nad Nessie). 14 kwietnia 1933 r., jadąc z mężem drogą nad jeziorem, zauważyła, że w wodzie dzieje się coś dziwnego. „Zatrzymaj się! To jakieś zwierzę!” – zawołała. Z jej kilku relacji, w tym pierwszej, zamieszczonej na gorąco przez lokalną gazetę „Inverness Courier”, wynika, że zwierzę „było wielkie i przypominało wieloryba”, że gdy pływało, zataczając koła, „woda się burzyła, wirując jak w kotle”, a gdy „zanurzyło się, znikając pod powierzchnią spienionej wody, powstały wielkie fale”.

Na słynnej fotografii autorstwa Roberta Wilsona, z zawodu lekarza, opublikowanej rok później przez dziennik „Daily Mail”, Nessie płynie. Ma małą głowę i cienką, długą szyję – resztę zakrywa woda. Zdjęcie, pstryknięte – jak twierdził autor – naprędce, gdy potwór nieoczekiwanie wychynął z wody, przez kilkadziesiąt lat uważano za autentyczne. W latach 90. jednak nabrano wątpliwości, a dokładniejsze badanie wykazało, że jest to fotomontaż, do którego zrobienia użyto dziecięcej zabawki – łodzi podwodnej.

Prawdziwe zdjęcia – również te najnowsze – pokazują niewiele, zostawiając entuzjastom Nessie szerokie pole do korzystania z wyobraźni. Na jednej z niedawnych fotografii tuż pod powierzchnią wody widnieje zamazana biała plama. Czym może być, jak nie nieznaną istotą? Na innej – sekwencja ciemnych wyrzyszeń. Zdjęć jest zresztą niewiele. Nessie nie raczy pokazywać się na zwołanie, a gdy już się pojawi, szczęśliwcy niekoniecznie mają przy sobie aparat fotograficzny (teraz jest lepiej, bo zastąpiły go telefony komórkowe), nie mówiąc o pożądanym w takiej sytuacji refleksie.

Nessie pojawia się na krótko – na minutę czy dwie. Jej samej na ogół nie widać, ale o tym, że jest, świadczą głębokie ślady na wodzie, takie, jakie zostawia

za sobą płynący statek. Woda burzy się, gwałtownie wznosi i opada. Od niedawna w kilku miejscach wokół Loch Ness zainstalowano kamery podłączone do Internetu. Dzięki temu na Nessie można polować zdalnie i najbardziej gorliwi jej łowcy skwapliwie z tego korzystają.

TRZYDZIEŚCI LAT CZEKANIA

W gronie zapaleńców są dwa nazwiska pierwszej wielkości: Irlandczyk Eoin O’Faodhagain (w angielskiej wersji O’Fagan) i Anglik Steve Feltham. Ten ostatni znalazł się w Księdze rekordów Guinnessa jako najbardziej wytrwały poszukiwacz Nessie. Czyny to nieprzerwanie od 32 lat. Feltham sprzedał swój dom w hrabstwie Dorset, zamieszkał we wsi Dores na wschodnim brzegu Loch Ness, robi miniaturowe figurki Nessie i utrzymuje się z ich sprzedaży. Poszukiwaniom podporządkował całe swe życie.

– Okazało się to o wiele trudniejsze, niż sądziłem – przyznał ostatnio w rozmowie z Radiem BBC Scotland. – Za pierwszym razem ujrzałem coś, co mknęło przez wodę jak torpeda. Ponieważ było to w pierwszym roku mojego tutaj pobytu, sądziłem, że wkrótce ujrzę Nessie ponownie. I na ten drugi raz czekam do dzisiaj.

Eoin O’Faodhagain mieszka w hrabstwie Donegal w Irlandii i stamtąd regularnie obserwuje jezioro przez kamerę. Z pozytywnym skutkiem. W marcu tego roku szczęście mu dopisało: to on właśnie dostrzegł na wodzie cztery intrygujące czarne wyrzyszenia poruszające się w sposób w pełni skoordynowany. To zresztą zrodziło pytanie, czy Nessie na pewno jest jedyną tajemniczą mieszkanką jeziora. Może ma w głębinach jakieś towarzystwo?

Pierwszą w tym roku osobą, która z bliska widziała Nessie, była 13-letnia Francesca McGarvey, która z rodzicami spędzała nad Loch Ness ferie wielkanocne. Był 5 kwietnia, godz. 11.52, państwo McGarvey jechali autem, gdy Francesca ujrzała w wodzie ciemny kształt. Kształt płynął w kierunku zamku Urquhart. Wystawał nad powierzchnię wody, przypominał grzbiet wieloryba i miał długość ok. 20 stóp (6–7 metrów). W pobliżu, jak zgodnie stwierdzili państwo McGarveyowie, nie było żadnych łódek. Francesca zrobiła nie tylko zdjęcie, lecz także rysunek.

Relacja Franceski, tak jak wszystkie, trafiła do specjalnego rejestru spotkań z Nes-

sie, prowadzonego od zarania dziejów do dziś. Przez 15 wieków nazbierało się 1155 relacji. Współczesne zapiski są nadzwyczaj szczegółowe. Muszą być nazwisko, data, czas (co do minuty!), miejsce, okoliczności i opis, a także – gdy są – zdjęcia i rysunki. Okazuje się, że ostatnio Nessie rzadziej się pokazuje. W 2021 r. widziano ją aż 16 razy, a prawie połowę stanowiły obserwacje na żywo. W 2022 r. tylko sześć. W tym roku do spisu trafiła jedynie relacja Franceski ze spotkania naocznego i Eoina O’Faodhagaina z obserwacji przez kamerę.

SUM CZY PLEZJOZAUROW?

Tym większe nadzieje budzi planowana wielka akcja. Podobną przeprowadzono już w 1972 r. Bez rezultatów, faktem jest jednak, że w owym czasie możliwości techniczne były znacznie skromniejsze, choć zapal uczestników nie mniejszy niż dziś. Niewiele wniosło również rozmaite specjalistyczne badania. Pięć lat temu zespół naukowców pod kierunkiem prof. Neila Gammella, genetyka z Nowej Zelandii, pobrał próbki wody, by zbadać DNA bytujących w jeziorze istot żywych. Doprowadziło to do konkluzji, że Nessie może być ogromną odmianą węgorza, bo – jak się okazało – w Loch Ness roi się od węgorzy. Jak jednak ktoś przytomnie zauważył, choć DNA wskazuje na obecność jakichś stworzeń, to nie mówi niczego o ich rozmiarach.

Teorię, że Nessie jest węgorzem, zdecydowanie podważył Floe Foxon, amerykański statystyk, który przeanalizował dane o połowach węgorzy. Prawdopodobieństwo, że węgorz z Loch Ness osiągnie wielkość 1 m, wynosi 1:50 000. O sześciu metrach w ogóle nie ma co mówić, bo szansa jest praktycznie zerowa.

Kim zatem jest Nessie? Ogromnym sumem (tak sądzi Steve Feltham), rekinem, który jakimś sposobem przedostał się do jeziora, a może potomkiem plezjozaurów sprzed tysięcy lat? Żadna z tych zgoda fantastycznych hipotez nie znalazła jak dotąd – bo nie mogła znaleźć – potwierdzenia.

Co nie zmienia tego, że miejscowe władze mają plan na wypadek, gdyby jednak Nessie jakimś cudem udało się schwycić: należy pobrać próbki tkanek, a ją samą wrzucić do jeziora. Plan przygotowano trochę dla zabawy. Jednak kto wie?

Zmierzch niemieckiej motoryzacji?

FOT. ADDBE STOCK



Jakub Wozinski

Niemiecki przemysł motoryzacyjny miał być wielkim wygranym polityki klimatycznej, lecz zamiast tego pogrąża się w coraz bardziej zauważalnym kryzysie

Obserwując zapał, z którym znajdująca się na usługach Niemiec Komisja Europejska wdraża kolejne instrumenty mające na celu wykluczenie aut z napędem spalinowym z użytku, można by wysnuć wniosek, że w ten czy inny sposób finalnymi beneficjentami tego procesu będą niemiecki przemysł motoryzacyjny oraz jego francuski odpowiednik. Od dłuższego czasu liderzy tej wyjątkowej dla niemieckiej gospodarki branży przeżyli w mediach muskuły, zapowiadając nawet, tak jak prezes Volkswagena, że do 2025 r. uda im się przebić pod względem sprzedaży elektrycznych pojazdów nawet amerykańską Teslę.

PERŁA W KORONIE

O tym, że niemiecki przemysł motoryzacyjny stanowi prawdziwą perłę w koronie gospodarki naszych zachodnich sąsiadów, nie trzeba nikomu przypominać. Od czasu, gdy w latach 50. ubiegłego wieku wysokość spłat niemieckich zobowiązań zaciągniętych za granicą powiązano z wartością niemieckiego eksportu, tamtejsi producenci uzyskali

wielki impuls do rozwoju i raz uzyskanej przewagi nad konkurencją z innych państw nie oddali praktycznie aż do dziś. Tak się przynajmniej mogło wydawać, lecz wydarzenia z ostatnich miesięcy pokazują, że dożyliśmy być może czasów, w których potęga niemieckich koncernów motoryzacyjnych dobiega niepostrzeżenie końca.

Jak to możliwe, że bezsprzecznie najważniejszą gałąź niemieckiej gospodarki, angażującą wciąż nawet 7 proc. całej siły roboczej nad Renem i ciągnącą przez lata cały niemiecki eksport oraz walutę, złapała zadyszkę właśnie w momencie, gdy Niemcy porzucili wszelką fasadowość i bezceremonialnie mówią o swojej woli skonstruowania federalnego państwa europejskiego? Jeśli Berlin bez większego trudu potrafi narzucać swoje zdanie w tak wielkiej liczbie kwestii, to czy możliwe jest, aby zaniedbał swój flagowy przemysł?

Niemcy potrafią rozgrywać na Starym Kontynencie państwa mniejsze od siebie, ale wiele wskazuje na to, że same dały się ograć dużo większemu graczowi. Początkowo niewiele wskazywało na to, że Chiny mogą zaszkodzić Niemcom w ich popiso-

wej branży, gdyż to niemieckie luksusowe pojazdy konsekwentnie podbijały rynek Państwa Środka. Jeszcze w 2021 r. eksport niemieckich aut do Chin wzrósł o 14 proc. w porównaniu z rokiem 2020, a chiński kierunek był najbardziej dochodowym spośród wszystkich i przewyższał choćby amerykański. W latach 2015–2019 udział aut niemieckich (spalinowych i elektrycznych) w całym rynku chińskim wzrósł nawet z 19,9 proc. do 24,6 proc., lecz od tego momentu wciąż spada i jest już niższy niż przed dekadą.

ROZWÓJ DZIĘKI COVID

Wieloletnie doświadczenie i prestiż własnych marek miały teoretycznie pomóc Niemcom zdobyć dla siebie ogromny rynek zbytu. Chiny początkowo nie robiły większych przeszkód i pozwalały na ekspansję, lecz w ostatnim czasie zmieniły strategię i wrzuciły biznesowy szósty bieg. Tak jak w wielu innych dziedzinach życia i gospodarki Chinom najbardziej pomogło pojawienie się koronawirusa. Jeszcze przed jego nadejściem Niemcy produkowali rocznie na ogół więcej niż 5 mln aut, lecz gwałtowne załamanie

popytu po raz pierwszy od kilku dekad spowodowało tę liczbę do ok. 3 mln. Mimo że od tego czasu minęły już ponad trzy lata, nadal nie widać zdecydowanego odbicia. Choć Niemcy dwoją się i troją, aby poprawić wyniki sprzedaży, to nadal im to zdecydowanie nie wychodzi.

Wielkim wygranym pandemicznego zamieszania są natomiast oczywiście Chiny, które w tym samym czasie zdolały zwiększyć produkcję z 25 do 27 mln aut (oprócz nich jedynie Indie zanotowały w tym okresie analogiczny wzrost). Choć prawdą jest, że znaczna część aut eksportowanych z Chin to tradycyjnie produkty zachodnich koncernów, to w ostatnim czasie ta proporcja szybko się zmienia. Od kiedy za sprawą agendy zrównoważonego rozwoju prawodawcy na całym świecie przyspieszyli wdrażanie harmonogramu całkowitego rozbratu z autami spalinowymi, Niemcy złapali wielką zadyszkę. Niemieckie samochody spalinowe miały swój stabilny udział w rynku, ale auta elektryczne ewidentnie zawiodą. Łączny udział elektryków produkowanych przez Volkswagena, Audi, BMW i Mercedes-Benz w chińskim rynku wynosił w ubiegłym roku zaledwie 4,8 proc.

W ostatnich latach chińscy producenci aut nadrobili wiele zaległości i ich produkty są uważane w Państwie Środka za dużo lepsze niż europejskie. Chińczycy mają na dodatek co najmniej kilka istotnych atutów, których Niemcom, Francuzom czy Amerykanom zwyczajnie brak. Pierwszym z nich jest ogromna oferta. Gdy w lutym Parlament Europejski przegłosował wprowadzenie zakazu sprzedaży aut spalinowych od 2035 r., sam unijny komisarz do spraw klimatu Frans Timmermans ostrzegał, że tylko w tym roku chińscy producenci wprowadzą na międzynarodowy rynek aż 80 nowych modeli aut.

To jednak nie koniec, ponieważ Chiny całkowicie zdominowały światowy rynek pozyskiwania i rafinacji metali rzadkich potrzebnych do tworzenia baterii do aut. Wedle jednego z raportów, który był szeroko komentowany w całych Niemczech, chińskie firmy są w stanie dzięki swojej uprzywilejowanej pozycji podyktować ceny nawet 20 proc. niższe niż ich światowa konkurencja. W ostatnim czasie niektóre z chińskich e-aut są sprzedawane po cenie niższej niż jakiejkolwiek

Wygranym pandemicznego zamieszania są Chiny.

Zwiększyły produkcję z 25 do 27 mln aut rocznie

nowe auto z tradycyjnym silnikiem spalinowym. Dla wielu klientów, którzy dotąd mogli uważać, że auto elektryczne to dla nich zbyt wielki wydatek, tego rodzaju oferta naprawdę robi różnicę.

ZJADANIE KONKURENCJI

Na szczególną uwagę zasługuje także to, że Chińczycy na swoim rodzimym rynku zachowują się dużo bardziej agresywnie niż gdziekolwiek indziej. W Europie czy w Stanach Zjednoczonych chińscy producenci starają się wciąż nie iść na ostrą konfrontację, ale na największym motoryzacyjnym rynku świata trwa zawzięta walka. I właśnie dlatego w pierwszym kwartale obecnego roku sprzedaż niemieckich aut w Chinach spadła o 15 proc., a w segmencie aut elektrycznych nawet o 40 proc. Docierające zaś w ostatnich tygodniach wieści dotyczące danych z drugiego kwartału zwiastują jeszcze większy pogrom.

Wiele wskazuje na to, że Chińczycy swoją postawę prezentowaną dotąd na rodzimym rynku zaczną wkrótce prezentować także poza granicami kraju. Najlepszą tego ilustracją są dane spływające w ostatnich miesiącach z Niemiec. Już w ubiegłym roku aż 7,8 proc. wszystkich importowanych do naszych zachodnich sąsiadów aut elektrycznych stanowiły pojazdy wyprodukowane w Chinach, lecz w pierwszym kwartale ich udział wzrósł aż do ponad 28 proc. Najbardziej adekwatne określenie dokonujących się właśnie zmian to branie niemieckiego rynku szturmem.

Chiny dokonują na naszych oczach czynu szczególnie zuchwałego, ponieważ nie dość, że stopniowo wypierają Niemców ze swojego własnego rynku, to na dodatek w zaskakujący sposób pokonują ich na niemieckim rynku. Kłopoty mają nie tylko sami Niemcy, gdyż zagrożeni czują się także Francuzi. To właśnie w świetle opisywanych tu wydarzeń należy odczytywać niedawną zaskakującą

wypowiedź Emmanuela Macrona, który podał w wątpliwość tempo wdrażania zielonych regulacji.

SAMOBÓJSTWO NA ŻYCZENIE

Dowodzona przez Niemców przy asyście Francuzów Unia Europejska pełni od dłuższego czasu spektakularne gospodarcze samobójstwo. W obszarze elektromobilności ów samodestrukcyjny trend przejawia się choćby w proponowanej regulacji Euro 7, wprowadzającej od początku 2025 r. nowe, bardziej wyśrubowane normy emisyjne dla aut spalinowych. Wprawdzie nawet niektórzy przedstawiciele przemysłu motoryzacyjnego ostrzegają, że sięganie po tego typu krok stanowi wyskakiwanie przed szereg, lecz obowiązująca poprawność polityczna nakazuje tłumienie wszelkiej krytyki. Mówi się w ostatnim czasie o możliwości sformowania europejskiej koalicji przeciwko wprowadzeniu tego przepisu, lecz jak zwykle w tego typu sytuacjach stosowany przez Niemcy argument siły niweczy ostatecznie wszelki sprzeciw.

Jedyna więc nadzieja w tym, że nasi zachodni sąsiedzi obudzą się za jakiś czas z ręką w nocniku z zagrożonym totalną marginalizacją przemysłem samochodowym i postanowią zmienić zasady gry. Od wielu lat niemiecka gospodarka nie dojeżdża na kolejne etapy najnowszych rewolucji technologicznych, ale sektor motoryzacji wydawał się zawsze niezniszczalnym wręcz bastionem unijnej gospodarki (inwestycje producentów aut od lat stanowiły lwią część wszystkich bezpośrednich inwestycji zagranicznych całej Unii). Teraz okazuje się, że w błyskawicznym tempie perła w niemieckiej gospodarce traci grunt pod nogami, podcinając tym samym skrzydła wzrostowi gospodarczemu i perspektywom na przyszłość.

W tym kontekście warto z jeszcze większą rezerwą patrzeć na nieporzucony wciąż projekt uruchomienia produkcji polskiej Izery. Skoro w rywalizacji z dalekowschodnią konkurencją polegają nawet potentaci z Wolfsburga czy Stuttgartu, to jakie szanse miałyby rządowy projekt pozbawiony jakiegokolwiek zaplecza? Chiński smok elektromobilności wdarł się już do Europy i nie miałby dla tego typu przedsięwzięcia żadnej litości.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Nu szto, tak do was jeszcze mini jubki nie przisli?”. Ten dowcip z późnych lat 70. miał pokazywać reakcję przyjeżdżających do Polski Rosjanek i wyśmiewać modowe zapóźnienie Związku Sowieckiego. U nas już dawno nosiło się maxi...

Nigdy nie lubiliśmy ruskich, ale z tą modą nie było u nich aż tak źle: w roku 1966 francuskie modelki w krótkich spódniczkach sfotografowano na placu Czerwonym i nawet reżim się na to zgodził. I mini mimo bariery informacyjnej i izolacji ZSRS także powoli zdobywało ulice Moskwy.

Trudno było się oprzeć – przyczółek po przyczółku krótka spódniczka opanowała świat. Nie było odwrotu. Część miniówek wprowadziła po kilku latach wykośli następny trend – maxi, ale reszta została i do dziś trzyma się nieźle. Z tym że dziś moda nie ma jednego obowiązującego kierunku. Każdy może wybierać długość, którą lubi i w której czuje się najlepiej: krótko, średnio, długo. Mini już nikogo nie oburza.

Jednak na początku łatwo nie było. Chanel była zniesmaczona. „To okropne pokazywać kolano. Kolano jest brzydkie, gruzłowate”. Co powiedziałyby dziś o 70-letniej Brigitte Macron, która nawet w oficjalnych okazjach dobrze czuje się w krótkich sukienkach? Sama kreatorka nigdy ich nie skróciła. Jednak mini niepomna jej reakcji i tak szła szturmem do przodu. W niejednej wersji: tylko za pupę albo do połowy ud, z rajstopami przezroczystymi lub grubymi. Do dziś jest częścią garderoby kobiet w każdym wieku.

Jednak w roku 1963, gdy pierwszy raz pokazała mini Angielka Mary Quant, to była rewolucja. Pomysł nazwy nasunął autorce już wtedy modny samochód: mini morris. Według jej relacji krótka spódniczka miała cel praktyczny: pomóc kobietom „dogonić autobus, nie płacząc się w spódnice”.

TRZĘSIENIE ZIEMI

W swingującym Londynie tamtych czasów nie było to specjalnie zaskakujące: nad swobodą ruchów pracowano równie intensywnie, co nad swobodą seksualną. Ale gdy przypomnieć, że lata 60. były to czasy grzecznych kostiumików, sukienek do kostki, kapelusza i dopasowanych do niego rękawiczek, można zrozumieć, że

Mini podbija świat



Joanna Bojańczyk

Kiedy modą rządziły dojrzałe kobiety, mini było zamachem na ich dyktaturę. Krótka spódnica szła po świecie jak burza – była to moda niedroga i prosta w użyciu. Uszyć umiała ją każda mama i to wystarczało 16-latkom. Najbardziej mini podobało się panom



FOT. ADRIAN STOK

nagły atak krótkich sukienek wymagał odwagi. Według strażników moralności pokazanie uda stanowiło jej pogwałcenie. Nie chodziło tylko o obnażenie kolana – nowość wizualizowała dokonującą się zmianę w wizerunku kobiety: nowoczesnej, wyemancypowanej.

We Francji pomysł firmował André Courrèges, świadomy jego potencjału erotycznego. U niego spódniczka w kształcie trapezu była jeszcze krótsza niż w Londynie. Do niej białe botki do pół łydki na płaskim obcasie, z błyszczącej skóry. Do botków należało mieć elastyczny golf albo sweterek boucle w kolorach jak najbardziej żarłokostnych. O tym marzyły licealistki połowy lat 60. Zafascynowani kombinizonami kosmonautów najsławniejsi wówczas projektanci nowej fali – André Courrèges i Pierre Cardin – ubierali modelki w kosmiczne przebrania. Plastik PCV miał być przyszłością mody...

Wprawdzie pierwszy człowiek postawił stopę na Księżycu dopiero w roku 1969, ale amerykańsko-sowiecki wyścig kosmiczny trwał przez całe lata 60. i świat obserwował go w napięciu.

Sprawa dotarła za ocean. Przypomnijmy, że amerykańska moda, taka, jaką dziś znamy, w USA nie istniała. Mieli tam kilku rodzimych projektantów, jednak prawdziwa elegancja polegała na tym, żeby skopiować kreacje z Paryża. Jacqueline Kennedy nosiła ubrania Chanel, w jednym z takich jasnych kostiumów widać ją w listopadzie roku 1963 na zdjęciach, gdy w aucie pochyliła się nad zranionym prezydentem.

Szefową amerykańskiego „Vogue’a” była wówczas Diana Vreeland, miejscowa ikona elegancji tamtych czasów. „To jest youthquake” – ogłosiła redaktorka w swoim magazynie – analogia do earthquake, trzęsienia ziemi. Rewolucja młodych, krótko mówiąc. To, że to młodzi dyktują modę, nie było wtedy oczywiste. Modą rządziły dojrzałe kobiety, nie dziewczyny. I to miał być zamach na ich dyktaturę. Jane Fonda, zawsze pierwsza na barykadzie, dołączyła do nowej mody. W jej wykonaniu to był niemalże ruch polityczny.

Tymczasem w Londynie Mary Quant, za nic mając oburzenie konserwatywnej części angielskiej opinii, otworzyła swój sklep. Na King’s Road, najmodniejszej wówczas ulicy świata. Jedną z jej

sukienek, w paski, jak garnitur bankiera nazywała się „Bank of England”. Sukienka to było jednak dla pani Quant za mało. Trzeba było pójść za ciosem i zmienić całą oprawę. Przede wszystkim makijaż, a także buty, rajstopy, uczesanie. Odrzucone zostaje wszystko, co stare, nudne, sztywne. Dość beżowych garsoniek za kolana, dość natapirowanych fryzur à la kapusta. Koniec z dojrzałością, władzę przejmuje młodość.

Nowoczesna dziewczyna jest chuda i wysoka, nosi się krótko, ma fryzurę z grzywką na pazia, rzęsy grubo pomalowane tuszem, powieki podkreślone kolorowym cieniem. Na dolnej powiece także rzęsy, tym razem wyraźnie wymalowane ołówkiem. Do krótkich spódniczek nosi

**Polska ulica zawsze była
dobrze zorientowana, co
aktualnie nosi się w Paryżu**

kolorowe, nieprzezroczyste rajstopy. Idolki epoki i jej czołowa modelka: Twiggy, gałązka, chudziutka, wielkooka, delikatna kobieta dziecko. Ma długie nogi, zero biustu i bioder. W tym sztafetu przypomina smutnego pierrotta. Jednak i tak nastolatki chcą wyglądać jak ona.

NOGI PRL

Nasz barak był podobno nie tylko najweselszy w całym RWPG, lecz także najelegantszy. W Polsce moda mini wkraça do ludu za pośrednictwem telewizji, kina, przez okładki „Przekroju” i opinotwórczego, lecz elitarnego magazynu „Ty i Ja”. W „Przekroju” cotygodniowy raport o najnowszych trendach zamieszcza Barbara Hoff, która począwszy od roku 1969, zaczyna też projektować własne kolekcje sprzedawane w warszawskim domu towarowym Junior. Mini w wersji swojsko socjalistycznej można było zobaczyć w kolekcji Grażyny Hase, wówczas studentki ASP. Krótkie sukienki i spódniczki zainspirowane motywami rosyjskimi i sowieckimi projektantka widziała na pokazie mody w Moskwie. Rubaszki, papachy, żołnierskie szynele. Minispódniczki i szorty na szelkach nawiązywały do pasów z nabojami noszonych przez

żołnierzy w czasach rewolucji. Dzisiaj marnie się kojarzą...

Bardziej zachodnie spojrzenie re-prezentował znany szwajcarski fotograf mody Peter Knapp, który w roku 1966 przyjechał do Polski, aby wykonać serię zdjęć mody na zlecenie Wydawnictwa Handlu Zagranicznego. Jedną z jego modelek ubrana była w sukienkę w stylu op-art, stylu „optycznym”. Ten kierunek w grafice opierający się na wrażeniach wzrokowych w nieoczekiwany sposób zestroił się z modą i stał się swoistym jej fenomenem. Duże, kontrastowe figury geometryczne, żywe kolory, szachownice, ruchome gry form, czarno-białe układanki dobrze się prezentowały na prostych sukienkach. Najsłynniejszą przedstawicielką tego zjawiska została sukienka Mondrian, projektu Yves’a Saint Laurenta, początkującego, ale już zapowiadającego się jako przyszła sława projektanta.

W roku 1968 z Mody Polskiej odeszła jej długoletnia szefowa Jadwiga Grabowska. Dyrektorką została Halina Kłobukowska. Weszło pokolenie, które zbuntowało się przeciwko tradycyjnemu myśleniu o modzie.

Polska ulica zawsze była dobrze zorientowana, co aktualnie nosi się w Paryżu. Nie zawsze zgadzam się z opinią, że Polki w PRL były zawsze świetnie ubrane, ale sama widziałam, jak szybko mini do nas dotarła. Nic dziwnego, bo była to moda niedroga i łatwa do sprocurowania domowym sposobem. Uszyć krótką spódniczkę w ukośną kratę, wówczas przebój młodzieżowy, umiała każda mama i to wystarczało 16-latkowi. Dziewczyny szybko podchwyciły trend – panom się też spodobało, bo na ulicach zaroilo się od nóg. Szczęściarzy miały elastyczny golf. Do tego można było u prywatniarza kupić buty na żywca kopiowane z modeli włoskich. Nikomu to wtedy nie przeszkadzało.

W roku 1970 Barbara Hoff na łamach „Przekroju” ogłosiła hiobową wieść: skończyła się moda mini, zaczyna się maxi. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. W magazynach tkanin zaczęły piętrzyć się zasoby krótkich spódniczek, a modę maxi uznano za niebezpieczną dla ustroju, gdyż można było nie nadążyć z produkcją materiałów na jej potrzeby. Sprawa oparła się o Komitet Centralny. Podobno.



Jacek Pałkiewicz

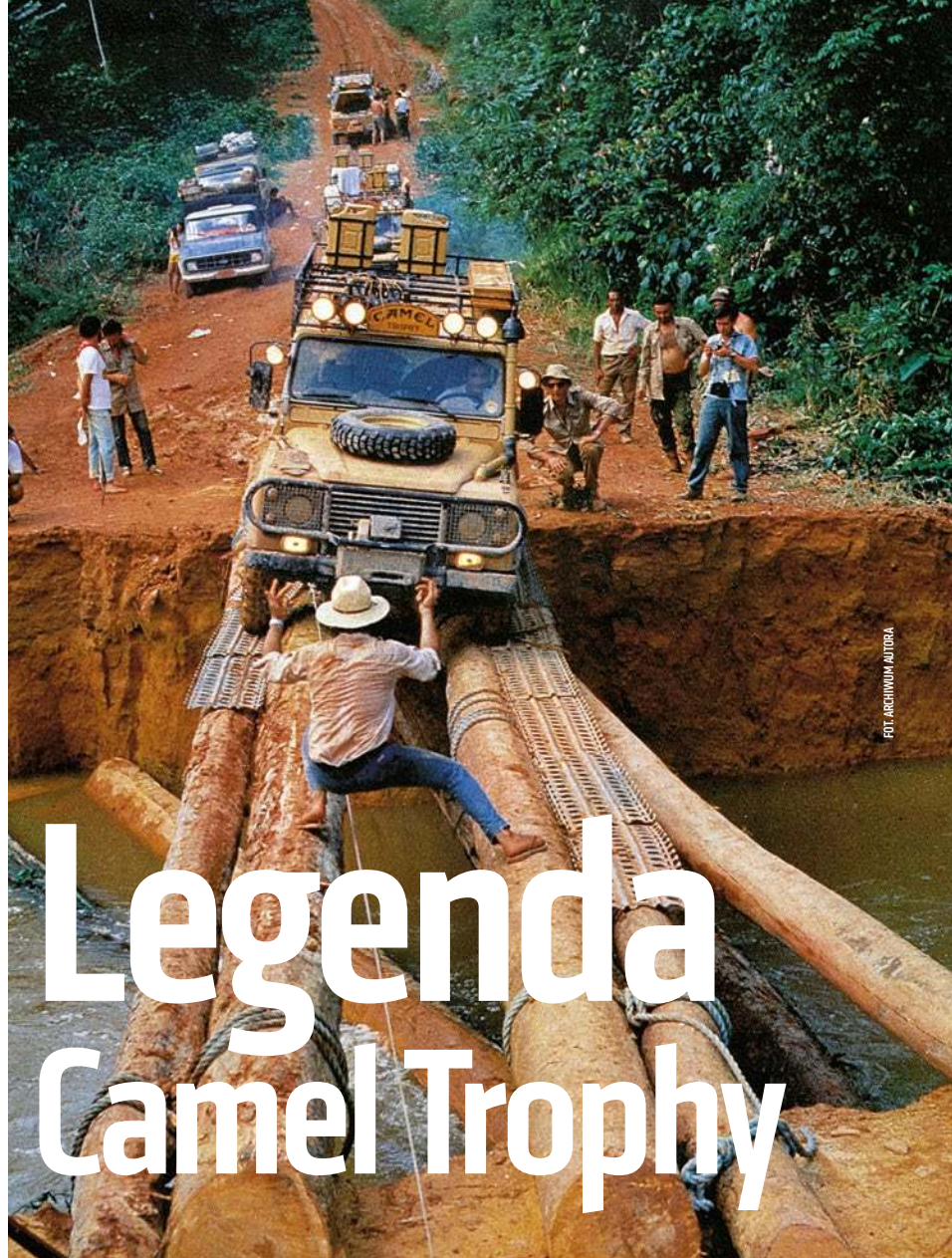
Rajd Camel Trophy przez 20 lat zapewnił nadzwyczajną przygodę dla ponad 500 zawodników z 35 krajów

Wszystko zaczęło się przypadkowo pod koniec lat 70., kiedy garstka niemieckich pasjonatów rajdów terenowych zwróciła się do Reynolds Tobacco, właściciela marki Camel, o sponsoring na wyprawę przez kłopotliwy do przejechania w porze deszczowej transamazoński trakt – 1600 km z Belém na Santarém. Pomysł zyskał aprobatę i kiedy po 12 dniach trzy pojazdy dojechały do mety, fachowcy od PR dojrżeli w tej imprezie pokazny potencjał. Podczas gdy duże koncerny tytoniowe, nie mogąc bezpośrednio reklamować swoich produktów, inwestowały większe kwoty w motoryzację i motocykle, firma amerykańska postanowiła „zabrudzić” karoserię luksusowego, miejskiego range rovera w bagnach lasu deszczowego, co z marszu zadziało na wyobraźnię szerokiej publiczności. W ten sposób, niemal za darmo, znalazła się w centrum dużego programu marketingowego. Narodził się Camel Trophy, by wkrótce stać się powszechnie znaną i pożądaną marką.

COŚ DLA MACHO

Szeroka kampania reklamowa zapowiedziała nabór do wyjątkowej wyprawy dla ludzi aktywnych, miłośników mocnych wrażeń na łonie natury, zdolnych poradzić sobie z kłopotliwymi warunkami, zarówno pod względem terenowym, jak i psychicznym. Istotnym elementem tego wydarzenia był duch zespołowy, wzajemne wsparcie między uczestnikami. Nieodzwonnie liczył się także odpowiedni wizerunek. Sponsor zadbał o to, aby zaistnieli w niej zuchwali i niezłomni, przy tym zaskarbiający sympatię macho. Zrozumiałe, że takie podejście automatycznie zamykało drogę dla płci pięknej.

Pomalowane w charakterystyczny piaskowożółty kolor land rovery Defender i Discovery w latach 1980–1998 ucieleśniały mit przygody, połączenia ekscytacji,



FOT. ARCHIWUM AUTORA

Legenda Camel Trophy

zagrożeń i niezapomnianych momentów w wilgotnych lasach tropikalnych. Potwierdza to mrowie żółtych naklejek, które wyróżniają się na karoseriach niekoniernie tylko aut 4 x 4, podkreślając ich osobowość.

Jako wysłannik mediolańskiej „La Gazzetta dello Sport” w 1984 r. wziąłem udział w piątej edycji Camel Trophy, który był już medialnym fenomenem owianym legendą, jeśli nie jednego z najtrudniejszych rajdów terenowych na świecie, to z pewnością jednego z najsłynniejszych. Jak bardzo rozpałał on umysły milionów ludzi na świecie, świadczy to, że zgłosiło się wówczas do niego kilkaset tysięcy osób. Po dokładnej selekcji wybrano 12 dwuosobowych załóg, po dwie z Nie-

miec, Włoch, Holandii, Belgii, ze Szwajcarii i z Hiszpanii.

W DESZCZU I W DŻUNGLI

Przygodę rozpoczynamy w Santarém nad Amazonką, której drugi brzeg ledwo majaczy na horyzoncie. Zaraz po wyjeździe utwardzoną drogą z olbrzymimi koleinami żegnamy się z cywilizacją i zagłęwiamy się w mroczną puszcze, pierwotny świat nieskalany obecnością człowieka. W ciągu 16 dni mamy pokonać ponad 1000 mil wertepów i bezdroży pośród gęstego, tonącego w półmroku lasu równikowego pełnego beładnej masy roślinności. Sezon jest wyjątkowo deszczowy i ociekające wilgocią powietrze pozbawia oddechu. Poruszamy się

raz z prędkością 80 km/h, innym razem tylko 5 km/h.

Jeśli w monstualnej, pełnej pułapek krainie nie zachowa się elementarnej ostrożności, to wszystko może okazać się niebezpieczne. Inżynier z Amsterdamu, wycinając gałęzie, natknął się na gniazdo os, które go dopadły. Nie tracąc zimnej krwi, ratował się skokiem do rzeki, ale nie uchronił się od pokiereszowania. A Hiszpan Miquel, specjalista sztuki survivalowej, podczas rekonesansu, ślizgając się na gnijących liściach i zapadając w zbutwiałych pniach wywróconych w wietrzne dni, w ostatniej chwili zdążył uskoczyć przed przewracającym się, wywołującym eksplozję drzewem kapokowym, unikając przygniecenia.

Oprócz czysto sportowego współzawodnictwa opartego na odcinkach specjalnych, jeździe nocnej, umiejętnościach nawigacyjnych, właściwym wyborze przejazdu, pokonywaniu mokradeł i wreszcie na prawdziwym wyścigu na prędkość w tej imprezie należy wykazać się duchem zespołowym, co będzie oceniane przez samych uczestników po zakończeniu zawodów.

Po zachodzie słońca zza ściany zieleni dociera symfonia różnorodnych dźwięków. Nieprzyjemnie drażniący ucho wrzask małp miesza się z wabiącym nawoływaniem ptactwa bądź zdyszany odgłosami niewidzialnych zwierząt. W cuchnących od potu i lepiących się od brudu uniformach, nieprzypominających wymuskanych, jak z żurnala, uczestników przedrajdowej konferencji prasowej, wystrojonych w jednokolorowe, świeże koszule i spodnie khaki, większość zajęta jest przeglądem aut wystawionych na ekstremalne warunki pogodowe i terenowe. Wreszcie pojawia się moment, aby przysiąc do ulotnej wieczery. Włoska ekipa okrywa się chwałą, kiedy zaprasza wszystkich na spaghetti bolognese. I chociaż makaron nie jest, jak powinien być, lekko twardawy, aby stawiać opór przy gryzieniu, słychać było same pochlebstwa. Przy ognisku można podsuszyć ubrania, podzielić się wrażeniami dnia lub snuć wspomnienia o innych przygodach. Nie na długo, bo wszyscy padają z nóg i z ulgą lokują się w rozpiętych między pojazdami hamakach ze zintegrowanymi moskitierą i osłoną przeciwdeszczową.

Trzeciego dnia napotykamy ciężko rannego garimpeiro, poszukiwacza



Jacek Pańkiewicz podczas Camel Trophy. FOT. ARCHIWUM AUTORA

złota, kilkakrotnie ugodzonego nożem przez towarzysza próbującego zrabować odrobinę drogiego kruszcu. Nasz lekarz opatrzył nieszczęśnika, który, niestety, zmarł wkrótce z powodu dużej utraty krwi. Tego samego dnia, w rejonie Jacarea-Canga, przeżywamy trochę niepokoju, bo ostrzeżono, że odnotowano tu wysyp najniebezpieczniejszego gatunku malarii wywołanej przez pierwotniaki z rodzaju *Plasmodium falciparum*, roznoszone przez chmary żarłocznych moskitów. A trzeba wiedzieć, że profilaktyka, którą oczywiście stosujemy, nie zawsze chroni przed zachorowaniem czy nawet zgonem. Problemem są także węże, a jest ich bez liku. Sytuację komplikuje to, że nie ma surowicy uniwersalnej likwidującej skutki ukąszenia wszystkich gatunków.

SILNE WIĘZI

Pierwszy ciemniejszy problem pojawia się po zawaleniu się tymczasowego mostu na dopływie Tapajós, spowodowanym przez rwący prąd, który oderwał okazałych rozmiarów skarpę. Stanęliśmy przed wyzwaniem, które wymagało ponadprzeciętnego wspólnego wysiłku. Wyszło tak, że Niemcy spontanicznie okazali się liderami planowania i podejmowania decyzji, zdobywając wsparcie całej zbiorowości, gotowej do współpracy na zasadzie „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Pracowaliśmy dzień i noc bez narzędzi i odpowiednich zasobów. Po ścięciu drzew, używając wielokrążków oraz zamontowanych w autach wyciągarek linowych, przerwaliśmy sześć wielkich pni przez szeroką na kilkanaście metrów wyrwę.

Niekwestionowany duch zespołowy uwidocznił się również, kiedy hiszpańska załoga rozbiła pojazd na drzewie albo kiedy belgijski land rover spadł z mostu. W takim

stanie rzeczy pomagali wszyscy. Powiem więcej, w ciężkich sytuacjach wzajemnie dopingowano się okrzykami, oferując wsparcie moralne, które dostarczało dodatkowej energii i determinacji. Budowało to silne więzi między uczestnikami.

Dla kroniki odnotuję, że w edycji, która do dziś słynie ze specyficznego ducha oraz widowiskowości i nieprzewidywalności wyszukanych testów, triumfował zespół włoski.

Camel Trophy w pewnym sensie można porównać z Rajdem Dakar, stworzonym przez francuskiego motocyklistę Thierry'ego Sabine'a. Podobieństw jest sporo: oba ekstremalne i wyszukane wydarzenia były długodystansowymi wyścigami terenowymi, które wymagały szczególnych umiejętności i wykorzystywały specjalnie zmodyfikowane auta terenowe. Bliźniacze były różne etapy i zamysły, które sprawdzały umiejętności i wytrzymałość uczestników. Obie cieszyły się dużym zainteresowaniem międzynarodowej publiczności, aczkolwiek Camel Trophy skupiał się na integracji i zdolnościach do pokonywania przeszkód naturalnych, podczas gdy rajd afrykański kładł nacisk na ściganie się i współzawodnictwo.

Przez 20 lat kompetycja zapewniła nadzwyczajną przygodę dla ponad 500 zawodników z 35 krajów i wzbudziła marzenia rzeszy pasjonatów off-roadu do tego stopnia, że do dziś pamięć o tej epickiej imprezie jest wciąż obecna w zbiorowej wyobraźni.

Z biegiem lat Camel Trophy padł ofiarą własnego sukcesu. Dążenie do gigantyzmu, wprowadzenia prób multidyscyplinarnych, biegów na orientację, kolarstwa górskiego, wspinaczki skalnej stopniowo pozbawiły zawody pierwotnego ducha. Ponadto kres jego epoki wynikł także z coraz ostrzejszych przepisów antynikotynowych, nie mówiąc o tym, że rajdy terenowe zaczęły być kojarzone z działalnością niezgodną z trendem ekologicznym lat 90. Spadało także zainteresowanie takimi eventami, widownie szukały teraz innych form rozrywki. W konsekwencji Reynolds Tobacco zdecydował się zmienić swoją politykę marketingową i w 1999 r. porzucił imprezę spod znaku wielbłąda.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem, odkrywcą, twórcą survivalu w Europie. Uczestniczył dwukrotnie w Camel Trophy (w 1984 r. w Brazylii i w 1985 r. na Borneo).



Radosław Wojtas

Choć kilka razy wydawało się, że polskie muzeum w Rapperswilu przestanie istnieć, to za każdym razem odradza się na nowo. I tak od 150 lat

Oprócz tego, że Teodor Tomasz Jeż, czyli Zygmunt Fortunat Miłkowski, był powstańczym pułkownikiem, politykiem niepodległościowym i jednym z najbardziej płodnych polskich pisarzy, był także niezłym numerantem. – W tej osobie, którą trudno posądzić o genialność – powiedział kiedyś o Władysławie Platerze w kontekście założenia przez niego Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu – narodziła się genialna idea.

Cóż, niektórzy potrafia tak skomplementować, żeby zabolalo. Nie dotykając – bo i po co? – opinii wyrażonej czy to złośliwie, czy to w żartach o hrabim Platerze, zajmijmy się raczej jego dziełem, czyli ufundowanym przez niego muzeum. Miało ono gromadzić i zabezpieczać polskie zabytki oraz propagować polskie sprawy w czasie, gdy Rzeczpospolita formalnie nie istniała. I rzeczywiście – miejsce to odgrywało swoją rolę w dążeniach do odzyskania niepodległości.

Samo muzeum też miało kilka historycznych zakrętów, wydawało się, że nic już za nimi nie czeka, ale szczęśliwie istnieje do dziś. O tym jest ta opowieść.

GENIALNA IDEA

– Działania Władysława Platera były najczęściej spektakularne – powiedział podczas jednej z konferencji historyk i wieloletni dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej, prof. Zdzisław Pietrzyk. – Starał się być w centrum wydarzeń i często wydarzenia te kreować – dodawał. Trudno się z panem profesorem nie zgodzić. Spektakularne dzieło życia Władysława Ewarysta Broel-Platera rozpoczęło się od ufundowania przez niego pomnika mającego być symbolem walki Polski o niepodległość. Hrabia chciał, by monument stanął w Zurychu w stulecie konfederacji barskiej, jednak władze lokalne nie



Zamek w Rapperswilu, wieloletnia siedziba polskiego muzeum FOT. ADOBE STOCK

Szwajcarski depozyt

wyraziły na to zgody i plany musiały ulec zmianie.

Marmurowa kolumna (zastąpiona później żeliwnym odlewem) z rzeźbą wzbijającego się do lotu orła stanęła ostatecznie w pobliskim Rapperswilu na wzgórzu Lindenhof. Na tablicach osadzonych na cokole obok herbu Rzeczypospo-

litej Obojga Narodów widniała m.in. taka inskrypcja: „Niespożyty duch polski studentnią krwawą walką protestujący przeciw ciemnącej go przemocy z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości, Boga i świata”.

Możliwe, że to podczas osłonięcia monumentu 18 lipca 1868 r. narodziła się



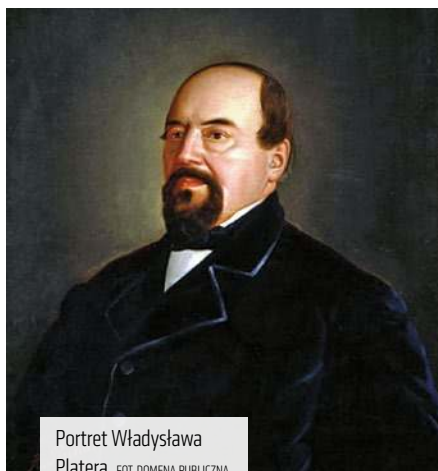
Przedwojenny przewodnik po Rapperswilu z polskimi akcentami

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

ta „genialna idea Platera”, by w górującym nad miastem, ale wówczas podupadłym zamku stworzyć muzeum polskie. Hrabia angażuje się w to dzieło z dużym zapałem. Wydierżawia zamek za symboliczną kwotę, już w 1870 r. uruchamia muzeum i obejmuje stanowisko jego dożywotniego dyrektora. Powołuje radę muzealną, ale rządzi praktycznie sam (rada ogranicza się do funkcji doradczych). Brzmieć to może trochę tak, jakby utworzenie muzeum było dziełem jednego człowieka, lecz oczywiście tak nie jest, bo zaangażowanych w to było wiele osób. Przede wszystkim Polonia, Polacy mieszkający pod zaborami; zwłaszcza w początkowych etapach znaczącym wsparciem jest pomoc szwajcarskich przyjaciół skupionych wokół pisarza Gotfryda Kellera.

Polskie Muzeum Narodowe założone przez posła na Sejm powstańczy w trakcie powstania listopadowego, znanego i zaangażowanego w sprawę polską konsygnatariusza aktu detronizacji Mikołaja I Romanowa, zaczyna zdobywać rozgłos. Początkowe skromne zbiory szybko się rozrastają. Dary płyną z całego świata. W zamku w Rapperswilu stale powiększa się kolekcja cennych pamiątek historycznych, książek, dokumentów, map, dzieł sztuki, militariów. Miejsce to staje się nie tylko muzeum narodowym Polaków, lecz także centrum polskiej diaspory koordynującym działania polityczne zmierzające do odzyskania niepodległości Polski.

Muzeum zyskuje hojnych mecenasów, dzięki którym zakupuje kolejne pamiątki. Największą część zajmowanych zamkowych pomieszczeń stanowiła Galeria Obrazów, w której eksponowano kilkanaście obrazów, rysunków i rzeźb. Były to prace nie tylko cenionych polskich artystów, lecz także europejskich mistrzów, w tym dzieła przypisywane Rubensowi i van Dyckowi. Portrety oraz popiersia osób zasłużonych dla polskiej historii miały swoje osobne miejsce w tzw. Sali Portretowej. Sylwetki zasłużonych przypominała także ekspozycja w Pokoju Przyjaciół Polski. Muzeum udało się zgromadzić kolekcję militariów od średniowiecza do wieku XIX, które prezentowano w Pokoju Mundurów i Pokoju Broni. W osobnym, dedykowanym tylko Tadeuszowi Kościuszce zebrano pamiątki po nim, w tym przedmioty osobiste. Kolekcja rękopisów Adama Mickiewicza i inne pamiątki po



wieszczu wypełniły kolejny z pokoi, w jeszcze innym prezentowano wizerunki Mikołaja Kopernika i instrumenty naukowe. Zamkowa wieża stała się mauzoleum Serca Tadeusza Kościuszki.

Na drugim piętrze zamku ulokowano bibliotekę. Imponującą zarówno jeśli chodzi o zbiory, jak i osoby bibliotekarzy. A byli wśród nich: Stanisław Grabski, Adam Lewak, Zygmunt Wasilewski, Florian Znaniecki czy Stefan Żeromski.

ZREALIZOWANY TESTAMENT

Władysław Plater nie doczekał niepodległej Polski, zmarł w wieku 80 lat 22 kwietnia 1889 r. Pochowano go na wewnętrznym dziedzińcu zamku w Rapperswilu. Jego życzeniem było, aby po powrocie Rzeczypospolitej na mapy zbiory z Muzeum Narodowego Polskiego trafiły do kraju. Tak się stało w roku 1927. Przewieziona kolekcja liczyła 3 tys. dzieł sztuki, 2 tys. pamiątek historycznych, zbiór militariów, 20 tys. rycin, 9 tys. medali i monet, 92 tys. książek i 27 tys. archiwaliów. Niestety, zdecydowana większość z nich została zniszczona podczas drugiej wojny światowej. Nieliczne ocalałe pamiątki znajdują się dziś w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Wojska Polskiego, Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, na Zamku Królewskim w Warszawie. Ocalała m.in. urna z sercem Tadeusza Kościuszki.

A co z zamkiem? W 1936 r. otwarto ekspozycję drugiego Muzeum Polskiego. Instytucja, której celem była promocja polskiej kultury i osiągnięć II Rzeczypospolitej, nosiła nazwę Muzeum Polski Współczesnej. W czasie drugiej wojny światowej muzeum pełniło funkcje kulturalne i oświatowe, dostosowując swoją

ofertę do nowych okoliczności i przejmując „kulturalną opiekę” nad 13 tys. internowanych polskich żołnierzy przybyłych do Szwajcarii po walkach we Francji.

Muzeum Polski Współczesnej funkcjonowało do roku 1952. Lokalne władze nie zgodziły się na to, aby rządzący Polską komuniści uczynili z niego miejsce propagandy. Umowa dzierżawy została sądownie zerwana, a muzeum zlikwidowane. Zbiory trafiły do Polski.

Z takim stanem rzeczy nie pogodziła się Polonia w Szwajcarii i wspierający ją Szwajcarzy. 30 stycznia 1954 r. podpisano akt założycielski polsko-szwajcarskiego Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Powrót do zamku był stopniowy, zaczęło się od jednego pokoju na parterze, by w 1975 r. w pomieszczeniach na piętrze narodziło się trzecie już życie Muzeum Polskiego w Rapperswilu. W roku 1978 powołano Polską Fundację Kulturalną „Libertas”, która sprawowała pieczę nad tym miejscem.

CZWARTE ŻYCIE

Kolejne zawirowania przyniosła pierwsza dekada XXI w. Od jej końca muzeum zagrożone było likwidacją ze strony władz lokalnych. Szczęśliwie dotrwało do jubileuszu 150-lecia istnienia w 2020 r., ale już niedługo później fundacji Libertas nakazano zabranie liczącej ok. 8 tys. eksponatów kolekcji z zamku, który poddany miał być pracom renowacyjnym.

Losy zbiorów wartych nawet 25 mln franków (czyli po dzisiejszym kursie ponad 116 mln zł) były niepewne, mówiło się o możliwości odsprzedaży w prywatne ręce.

Na szczęście ta historia ma inny epilog. W lipcu ubiegłego roku minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński ogłosił, że muzeum pozostanie w Rapperswilu, choć w innej siedzibie. Państwo polskie zakupiło historyczny kompleks Schwanen. Podpisano także list intencyjny w sprawie zamiaru utworzenia nowej instytucji kultury – Muzeum Polskiego w Rapperswilu – przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego współprowadzonej przez Polską Fundację Kultury „Libertas” oraz Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu.

I tak muzeum zyskało czwarte życie. Ostatnie?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

CITROËN C4 1.2 PURETECH

Francuz trzeciej generacji z tradycyjnego hatchbacka przeistoczył się w modnego pana crossovera. Chociaż nadal to kompakt z segmentu C, to coupe lekko opadającą linią dachu dodaje mu nieco ekstrawaganckiego lub wręcz futurystycznego stylu.

Cena modelu w testowanej wersji – z trzycylindrowym benzynowym silnikiem o pojemności 1,2 l oraz sześciobiegową skrzynią manualną w najwyższej wersji wyposażenia Shine – zaczyna się od 126,6 tys. zł. Za automatyczną skrzynię biegów trzeba dopłacić 7 tys. zł.

Moc 130 KM i 230 Nm momentu obrotowego sprawiają, że Citroën C4 na przyspieszenie od zera do 100 km/h potrzebuje 8,9 s. Demon prędkości to więc nie jest, ale jak na rodzinny kompakt C4 1.2 Puretech i tak jest w miarę dynamiczny. Trzeba jednak pamiętać, że auto stworzone zostało z myślą o komforcie podróży, a nie biciu rekordów trasy. Typowo francuskie zawieszenie jest miękkie i dobrze radzi sobie z wszelkimi nierównościami. Podwyższony nieco prześwit wynosi 15,6 cm, czyli wystarczająco dużo, aby bez stresu dojechać połą drogą na łąkę nad rzeką lub jeziorem. Podróż po prawdziwych bezdrożach lepiej jednak nie ryzykować, bo napęd jest tu wyłącznie na jedną oś. Średnie spalanie (autostrada, trasa, miasto) podczas testu wyniosło 6,1 l/100 km. Na pochwałę zasługuje również wyciszenie w trasie (przy legalnych prędko-

ściach jest na niezłym poziomie, zwłaszcza jak na samochód z segmentu C).

W najwyższej wersji wyposażenia przystojny Francuz ma w standardzie nie tylko kamerę cofania czy czujniki parkowania, lecz także m.in. wyświetlacz head-up, system kontroli martwego pola oraz liczne systemy zwiększające bezpieczeństwo jazdy (np. rozpoznawania znaków drogowych, utrzymania auta w pasie ruchu, wykrywania zmęczenia kierowcy czy hamowania awaryjnego z funkcją wykrywania pieszych oraz rowerzystów). Sprawnie działa również automatyczne przełączanie świateł mijania na drogowe (i odwrotnie). Za 1,5 tys. zł można dokupić pakiet Techno, który poza bezprzewodową ładowarką do smartfonów pozwala na bardzo przydatny na parkingach widok z kamer 360 stopni. Oczywiście dodatków jest wiele, więc bez trudu można dopłacić

jeszcze z 10 tys. zł do panoramicznego okna dachowego, systemu Hi-Fi podgrzewanych foteli oraz szyby etc.

Za kierownicą umieszczono 5,5-calowy wyświetlacz TFT. Multimedialnym sercem kabiny jest duży kolorowy, dotykowy ekran, który bez trudu można połączyć z iPhone'em lub smartfonem z Androidem. Szerokie fotele są bardzo wygodne. W kabinie nie brakuje także rozsądnie rozmieszczonych w kabinie schowków. Jest nawet specjalny uchwyt na tablet dla pasażera. Dużą zaletą jest nawiew na tył, który w autach klasy C wcale tak często nie występuje.

Niestety, bagażnik nie grzeszy wielkością. Bazowa pojemność wynosi 380 l, a po złożeniu tylnej kanapy pojemność załadunkowa francuskiego crossovera rośnie do 1250 l. Wadą testowanego modelu jest też nieco pogorszona widoczność do tyłu, bo tylną szybę na pół dzieli spoiler. Tragedii jednak nie ma.



NASZE TESTY: REALME 11 PRO

Nowoczesny wygląd, świetny ekran OLED o częstotliwości odświeżania 120 Hz, moduł 5G i atrakcyjna cena – to największe zalety tańszego brata Realme 11 Pro+, czyli smartfonu ze średniej półki cenowej chińskiej firmy realme.

Wzornictwo, za które współodpowiedzialny był znany w świecie włoskiej mody Matteo Menotto, jest nowoczesne i modne, a beżowa wersja z wegańską skórą przypomina smartfony z półki premium. Jakość wykonania także nie budzi zastrzeżeń. Bardzo dobre wrażenie robi również zakrzywiony 6,7-calowy wyświetlacz OLED o rozdzielczości 2412 x 1080 pikseli (Full HD+). Kontrast jest rewelacyjny, czerń rzeczywiście czarna, a kolory i kąty widzenia są po prostu świetne. Wysoka jasność maksymalna (950 nitów) sprawia, że z telefonu można korzystać nawet przy ostrym słońcu. HDR10+ docenia zaś miłośnicy smartfonowej rozrywki.

Sercem urządzenia jest ośmiordzeniowy procesor MediaTek Dimensity 7050, który współpracuje z 8 GB pamięci RAM. Nie jest to mistrzowska specyfikacja, ale wszystko chodzi płynnie, choć w przeciwieństwie do wersji 11 Pro+ tu dało się sporadycznie zaobserwować lekkie spowolnienia.

Testowany model ma przyzwoite głośniczki stereo. Jest on również wyposażony w moduł 5G, NFC oraz Bluetooth 5.2. Ukryty pod ekranem



czytnik linii papilarnych działa bez zarzutu. Realme 11 Pro obsługuje szybkie ładowanie (z mocą do 67 W), co pozwala na uzupełnienie energii w całkowicie rozładowanym telefonie w ciągu niecałej godziny.

Aparat główny ma rozdzielczość 100 megapikseli (dwa razy mniej niż w opisywanej wcześniej wersji 11 Pro+) oraz optyczną stabilizację obrazu. Jasność obiektywu to f/1.8. W świetle dziennym testowany model robi jeszcze przyzwoite zdjęcia – fotografie są wówczas ostre i zawierają wiele detali. Kolory wyglądają dobrze, a czasem wręcz zbyt dobrze, bo algorytm lubi podbić nieco kolory, by wyglądały lepiej niż w rzeczywistości. W gorszych warunkach oświetleniowych jakość mocno spada. Pojawia się sporo szumów, a np. skóra osób fotografowanych przy sztucznym świetle wygląda czasem o wiele bardziej blade niż w rzeczywistości. W testowanym modelu brakuje też aparatu szerokokątnego. Istotną wadą jest też brak odporności na wodę (a przynajmniej odporności potwierdzonej odpowiednim certyfikatem).

Jeśli jednak ktoś nie robi nałogowo zdjęć, to stosunek ceny (1999 zł) do jakości sprawia, że testowany model jest wart rozważenia. Osobiście wolalibyśmy dopłacić 400 zł do wersji Realme 11 Pro+.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Uгода kozacka w Starej Olszance



JACEK KOMUDA

Olszanica nad rzeką Roś, na południowym wschodzie od Białej Cerkwi na Ukrainie, to Stara Olszanka, uroczysko, miejsce podpisania pierwszej ugody Rzeczypospolitej z Zaporozcami, która próbowała uregulować status Kozaczyzny. Doszło do niej w trudnych okolicznościach. Po zawarciu traktatu pod Buszą, w którym Stanisław Żółkiewski zobowiązał się powstrzymać kozackie napady na Chanat Krymski i Turcję, przyszedł czas na wykonanie jej polskiej części. W tym celu hetman wyprawił się z wojskiem na Ukrainę i rozłożył obozem we wspomnianym miejscu. Ponieważ wiadomo było, że będzie chciał ograniczyć liczebność kozaków, ich wojsko także zebrało się w pobliżu; nastroje były bojowe, do końca nie wiadomo było,

czy nie wybuchnie nowe powstanie. Na szczęście za ugodą opowiadali się zaporoski hetman Piotr Konaszewicz Sahajdaczny, przyszedł bohater spod Chocimia, i starszyzna. Ich działalność sprawiła, że wojsko zaporoskie opowiedziało się za rozmowami i przysłało posłów do Starej Olszanki.

Hetman wielki koronny wyznał do rozmów komisarzy: Jana Daniłowicza, Stanisława Koniecpolskiego i swego syna Jana Żółkiewskiego. Zażądali oni ograniczenia do tysiąca liczby kozaków rejestrowych, to znaczy pozostających na służbie Rzeczypospolitej i cieszących się przywilejami. Pozostali mieli wrócić pod władzę starostów i szlachty; ten, kto nie podporządkowałby się temu, miałby zostać



FOT. DOMENA PUBLICZNA

ukarany śmiercią. Komisarze zażądali także wprowadzenia zakazu wywozu broni na Zaporozie bez zgody wojewody kijowskiego i starosty czerkaskiego.

Kozacy posłowie – wspomniany Piotr Konaszewicz, Bohdan Bałyka, Chałyk Swirydowicz, Iwan Mamajewicz, Wawrzyniec Paszkowski, Stanisław Kostrzewski i Jan Mirowski – nie od razu zgodzili się na te warunki. Rozpoczęły się targi, które ostatecznie skończyły się podpisaniem 28 i 30 października 1617 r. dwóch umów określających warunki polskie i kozackie. Jak zwykle były one niejasne i stanowiły kompromis. Przede wszystkim – jak podaje Władysław A. Serczyk – „Kozacy zaporoscy deklarowali chęć służenia królowi i Rzeczypospolitej; zobowiązywali się nie najeżdżać ziem tureckich, pełnić służbę patrolową na granicach oraz bronić przepraw”. W zamian za to mieli corocznie w Kijowie otrzymywać 10 tys. zł żołdu i 700 postawów sukna. Zobowiązali się do ograniczenia rejestru do tysiąca ludzi, jednak sposób przeprowadzenia tej redukcji był określony mało konkretnie. Zobowiązywali się bowiem usunąć z szeregów rzemieślników i ludzi

luźnych, ale jednocześnie zapowiadali, że wystąpią do sejmu o zwiększenie rejestru, gdyż dla obrony Zaporozza i różnych „bezpiecznych miejsc” na Ukrainie potrzeba więcej ludzi. Już sam ten punkt oznaczał, że rejestr de facto będzie większy niż tysiąc ludzi, tyle że wszyscy powyżej owego tysiąca nie otrzymają żołdu.

Komisarze zgodzili się, aby Zaporozcy wybierali spośród nich „starszego”, którego jednak nie nazywano hetmanem. Jednakże zaprzeczali temu, twierdząc, że ów wódz kozaków będzie „dany z ramienia Jego Królewskiej Mości od hetmana koronnego”, co zostawiało szerokie pole do interpretacji – kozacy mieli zatem wybierać takiego dowódcę, który byłby polecony przez hetmana albo też zatwierdzony przez niego.

Uгода tworzyła pozory spokoju, ale tak naprawdę nie rozwiązywała narastającego na Ukrainie konfliktu. Jego bezpośrednią przyczyną było to, że Zaporozców było znacznie więcej, niż mógł przyjąć rejestr, a pozostali poza nim, zwani zresztą później kozakami nierejestrowymi lub „wypiszczykami”, pozbawieni zostali ochrony prawnej i mogli być traktowani jak zwykli chłopci lub ludność służebna. Uгода olszanka, jak zwykle się ją dziś nazywa, zabezpieczała za to interesy bogatej starszyny zaporoskiej, która mogła w spokoju uprawiać ziemię, będąc czymś w rodzaju trzeciego stanu pomiędzy chłopami a szlachtą. Natomiast zaporoska czerń i „wypiszczy” i tak nie chcieli powrócić do roli chłopów, wzniecając na Ukrainie konflikty. Kolejnym stało się powstanie Żmajty w 1625 r. zakończone podpisaniem ugody, która zwiększała rejestr do 6 tys. kozaków. ©



PIS. OBA



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

Warzywno-owocowe letnie szaleństwo trwa w najlepsze. Warzywa i owoce sezonowe mają moc, która wyposaża nas w witaminy, mikroelementy i przeciwutleniacze na długi czas. Pamiętajmy o kolejności spożywanego posiłku, bo według naukowców jest to klucz do zdrowia i zachowania balansu glukozowo-cukrowego. Odpowiednia kolejność sprawi, że nasza krzywa cukrowa będzie zawsze wypłaszczona, co przyniesie nam wiele korzyści. I tak zaczynamy od warzyw bogatych w błonnik, następnie jemy białko i tłuszcze, a na końcu węglowodany i skrobię, czyli makarony czy ziemniaki. Najkorzystniej wybierać warzywa bogate w błonnik pokarmowy.

Gruszka miłosna, czyli oberżyna, to powszechnie znany nam bakłażan – dla jednych to warzywo, dla innych owoc, a dokładnie jest to jagoda. Pochodzi z Indii, w XV w. trafił do Włoch, gdzie zaczęto jego powszechną uprawę. Na stoły innych europejskich państw dotarł dopiero dwa wieki później. Jest cennym źródłem błonnika pokarmowego, oprócz tego zawiera dużo kwasu foliowego, fosforu, żelaza, potasu i magnezu, doskonale wspiera przemianę materii i oczyszcza z toksyn.

Wszelstrosność zastosowania w kuchni jest spora, można go zapiekać z mięsem, grillować lub smażyć, zrobić roladki faszerowane czy dusić z dodatkami warzyw. Najważniejsze, aby przed przyrządzaniem pozbyć się gorz-

SIOSTRY GOTUJĄ

Gruszka miłosna

kiego smaku. W tym celu należy bakłażana pokroić w taki kształt – paski, plastry, kostka – w jakim chcemy go potem przyrządzić. Następnie posypać solą, odczekać chwilę i nadmiar wody odsączyć kuchennym ręcznikiem. Solenie bakłażana sprawi także, że podczas grillowania wchłonie on znacznie mniej tłuszczu.

Roladki z bakłażana faszerowane pastą ze słonecznika

- 2 duże bakłażany • 200 g pestek słonecznika • 1 ząbek czosnku lub 2 • garść natki pietruszki lub kolendry • odrobina papryki ostrej lub płatki chili • 1/3 szklanki przegotowanej wody • sok z cytryny lub 1 łyżeczka octu jabłkowego • trochę soli do smaku i jeszcze trochę do posypania bakłażana przed grillowaniem • pieprz do smaku • owoc granatu, a dokładnie pestki, do posypania • natka lub kolendra do ozdoby • oliwa do grillowania lub smażenia

Bakłażana kroimy na cienkie plastry, solimy, czekamy chwilę, odsączamy nadmiar wody. Na rozgrzaną patelnię z oliwą układamy plastry bakłażana i grillujemy/smażymy z każdej ze stron kilka minut na złotobrazowy kolor. Odkładamy na bok do ostygnięcia.

Pasta ze słonecznika: Słonecznik i wszystkie składniki – czosnek, pietruszkę, przyprawę – blendujemy, dodajemy odrobinę wody, aby była lekka konsystencja. Tak przygotowaną pastę smarujemy obficie każdy plaster bakłażana i rolujemy. Układamy na talerzu i posypujemy granatem oraz pietruszką lub kolendrą. Smacznego! ☺☺



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

O Chińczykach

Czytasz i czytasz tych Chińczyków i nie możesz skończyć – powiedział pan Bojańczyk na widok książki Michaela Wooda „Chiny. Portret cywilizacji”, na której zakładka wetknięta była niedaleko początku. – Zakładka znów na początku, a przecież już byłaś blisko końca.

Rzeczywiście. Walczę z tą książką od pół roku, skaczę po rozdziałach, a koniec nie zapowiada się szybki. Przy czym „walczę” nie oznacza chęci pokonania, raczej potrzebę ogarnięcia, o zapamiętaniu nie marząc. Dzieła, które jest fascynującą historią Chin od początków cywilizacji aż do czasów współczesnych. Historię gęstą od faktów, nazwisk, dat, ale opowiedzianą ciekawie, prawie przystępnie.

Mam wrażenie, że zrozumienie chińskiej wielkości, niezłomności, bogactwa i trwałości pomaga zrozumieć także współczesny świat. To pouczająca historia wielkości, upadków i odrodzeń. W tym ogromnym kraju, który aż do XX w. uznawał się za środek świata i na świat był całkowicie zamknięty, historia toczyła się takimi oto cyklami.

Czas prosperity: ziemia jest w stanie wyżywić ludzi, do władzy wpływają podatki, działa administracja państwowa, rozwija się system edukacji, ludzie są zadowoleni, powstają dzieła architektury i sztuki. Taki jest czas Shangów, Tangów, Mingów, Quingów. Jest tak dobrze, że władza upojona wielkością i coraz bardziej



MICHAEL WOOD
„CHINY. PORTRÉT
CYWILIZACJI”
W.A.B. 2022

oderwana od rzeczywistości zaczyna się degenerować. Korupcja na górze, poborcy oszukują na podatkach, głód, klęski naturalne. Wzrasta niezadowolenie, buntowników przybywa. Wojna ogarnia coraz większe obszary kraju. Leje się krew, kraj jest niszczone. W końcu władca upada. Następuje następny i cykl rozpoczyna się od nowa. A w tym czasie powstają wspaniałe dzieła architektury, sztuki, rzemiosła, astronomii.

Wszystko to toczy się na scenie wewnętrznej. Przez prawie cztery tysiące lat Chiny są państwem zamkniętym, które nie potrzebuje nikogo i obawia się wszystkiego, co poza nimi. Jednak historia dopada ich bezzłotnie: w XIX w. wkracza świat zewnętrzny w postaci zachodnich mocarstw. Wojny opiumowe, powstanie tajpingów, powstanie bokserów. Znów miliony ofiar, upokarzające porażki. Do władców dociera, że pogardzany świat zachodni jest silny i bezwzględny. Jednak ceną za to są miliony ofiar.

Strasznie uproszcza. Jednak gdyby kogoś ten prosty skrót zachęcił do lektury, nie będzie żałował. Mocna rzecz, długa, trudna. Ale warto.

PS Pytanie, czy obecna prosperity jest częścią tego cyklu. ☺☺



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Taktyczne znikanie

Coś się dzieje. Przełom jakiś? Widzę, że wielu się nabiera, że to władze wycofują się z szaleństwa covidowego (zwolnienie Niedzielskiego) czy z bezkrytycznego i bezwarunkowego wspierania Ukrainy wszelkimi siłami. Wiele się nabiera, myśląc, że to na poważnie, zapominając, że żyjemy w kraju, w którym nic nie dzieje się naprawdę.

Nieliczne cofki co do COVID nie są znakiem opamiętania, tylko taktyki wyborczej władz. Opozycja tej hipokryzji im nie wytknie, bo sama ręka w rękę działała z rządem w pandemii w swobodnym porozumieniu ponad podziałami, nawet w końcówce zarzucając rządzącym zbyt mały sanitaryzm. Tak i z Ukrainą – na początku ramię w ramię, pełna zgoda, teraz znowu podostrzają, że PiS, mając tak potencjalnie dobre relacje z Kijowem, nie jest w stanie ustrzec się sytuacji kryzysowej. W obu przypadkach – covidowym i ukraińskim – widać jawne przekleństwo POPiS-u. Wszystko, ale to wszystko – polityka społeczna, militarna, finansowa, nawet stosunki międzynarodowe – ma jedynie perspektywę wewnętrzną i to nie tyle na użytek dobra Najjaśniejszej – to by się dało jeszcze uzasadnić – ile perspektywa jest wyłącznie wyborcza. Nie – jaka Polska, tylko kto-kogo, czyli którego plemienia ma być.

To samo z tym nieszczerym referendum. Znowu

tylko na użytek własnej polityczki. A można się było – jeśli już jest taka potrzeba, choć wątpię – dopytać, czego chcą Polacy na dalszą perspektywę rządzenia. A mamy dziecinne pytania w sumie o... realizację programu PiS z 2015 r. Pytania to zresztą niebezpieczne, bo w wielu z nich PiS nie dowiódł wyniku. Coś te referenda mają pecha do Polski albo ona do nich. No, bo gdzie nie spojrzeć – skucha: 3 X TAK za komuny było tylko po to – bez względu na pytania – by mieć potwierdzenie legitymacji komunistów do rządzenia. Następne – kto pamięta referendum w stanie wojennym i o czym ono było? Ostatnie referendum posłużyło do odstrzelenia przez system sezonowego meteoru Kukiza.

PIS-owska sztuczka z referendum ma jednak jedną zaletę – Polacy zaczęli stawiać w Internecie pytania, które ich zdaniem powinny paść. I tylko dzięki temu, że potraktowali tę ściemę PiS poważnie, mogliśmy, i wciąż możemy, dowiedzieć się, którądy przebiega prawdziwa linia problemów rodaków. Oby kiedyś ktoś do nich wrócił, w czasach, kiedy polska polityka będzie się chciała zapytać Polaków, czego chcą tak naprawdę. Bo teraz wychodzi na to, że nie jest tej odpowiedzi ciekawa albo ją sobie sama stworzyła na własny użytek.

Ale do tego trzeba chyba jednak przewrócić po drodze parę stolików... ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Szybka szkoła realizmu

Obachody Święta Wojska Polskiego i 103. rocznicy zwycięstwa nad sowiecką Rosją upłynęły pod hasłem „Silna Biała-Czerwona”. Żeby było jasne, należą do tych osób, które od lat zabiegają, by z szacunkiem traktowano barwy narodowe, by Święto Flagi było należycie obchodzone, by wzmacniać świadomość historycznego kontekstu ustanowienia kolorów – białego i czerwonego – jako identyfikacji państwowej. Cztery lata temu wraz z Andrzejem Pawlukiewiczem i Maćkiem Pawlickim, marząc o społecznej inicjatywie na wzór amerykańskiej Parady Puławskiego, zorganizowaliśmy 2 maja 2019 r. Białą-Czerwoną Korowód. Stąd użycie nazwy barw jako zamiennika określenia „polskość”, „Polska” wcale mnie nie raziło.

I nagle zadzwonił wrocławski fotografik, Jan Bortkiewicz (artysta wybitny i twórca niepokorny), i zaczyna mi uświadamiać, że chyba coś tu jest nie w porządku. Biała-czerwona, czyli co? Aha, że kolory identyfikacji są jednoznaczne. No tak, ale czy na pewno? Czy kampania reklamowa Coca-Coli nie mogłaby podobnie brzmieć? Na przykład „Zimna biała-czerwona”? Przecież znak firmowy amerykańskiego napoju gazowanego (wytworzonego pierwotnie z liści koki i owoców koki) składa się właśnie z kolorów białego i czerwonego i ma już 136 lat. Czyli ich logotyp jest młodszy od polskich barw narodowych tylko o 56 lat. A Indonezja,

Monako albo Japonia? Czy obchody świąt państwowych w tych krajach nie mogłyby się odbywać pod tym hasłem?

Po chwili snuliśmy już politycznie niepoprawne rozważania o defiladzie wojskowej pod hasłem np. biało-granatowa lub niebiesko-żółta... I razem zwróciliśmy uwagę, że otrzymanie polskich władz i polskiego establishmentu wobec sprawy ukraińskiej przychodzi nieco spóźnione. Widocznym znakiem tej zmiany jest dyskretnie usuwanie ukraińskich barw narodowych z fasad budynków, z profili w mediach społecznościowych, a nawet z Sejmu.

Coś, co przez kilkanaście miesięcy, do wczoraj, uchodziło za dowód przynależności do współczującej elity, do ludzi świadomych i solidarnych, do grona ludzi rozumnych i eleganckich, dziś... „po cichu, po wielkiem cichu” po prostu znika. Sentymalne zapewnienia o tym, że Polska jest „sługą” Ukrainy, i deklaracje rządzących, że nie mamy naszych interesów, tylko interesy państwa ukraińskiego, zderzyły się z realiem. W tym wypadku szybką szkołę realizmu w polityce nasi rządzący odebrali, ćwicząc choćby kwestię zbożową i rocznie przesądziło o wyeksponowaniu podczas obchodów tym razem TYLKO barw biało-czerwonych, są pewnie dyskretnie badania sondażowe. Polacy, jak widać, realnie oceniają politykę polskich władz wobec Ukrainy. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nie odpowiem na pytanie

Ostatnia Nadzieja Białych Lepperystów, w skrócie ONBL (proszę spróbować wymówić to głośno, jest sporo radochy), czyli Michał Kołodziejczak, została uroczystie przyłączona do Tuska. Stop. Przedwyborczy transfer wstrząsnął światem i okolicami. Stop. Według samego Kołodziejczaka dzwonili do niego wszyscy, nawet minister Tellus Robert, z różnymi propozycjami, lecz pan Michał na twardo, że on to tylko z Platformą. Stop. „Donald Tusk cofnął Polaków o kilka wieków do tyłu, zrobił z nas kraj koczowniczy” – mówił miesiąc temu ONBL. (Niech mu ktoś powie, że „cofać do tyłu” to pleonazm). Stop. „Nie przewiduję i nie wejdę do rządu ani z PiS, ani z Platformą” – mówił w czerwcu. Stop. Dziś ma być jedynką Koalicji Obywatelskiej w Koninie. Stop. Myślę, że sprawa jest rozwojowa...

Jan Hartman padł ofiarą pedofila. Stop. Miał być jedynką Lewicy w wyborach parlamentarnych w okręgu nowosądeckim, ale niestety napisał to, co myślał. Stop. „Żadnego człowieka nie można piętnować, nawet pedofila” – opublikował i ten nienapiętnowany pedofil wywalił go z listy Lewicy. Stop. Nie przytulajmy profesora, moglibyśmy być źle zrozumiani. Stop.

Mniej znanemu profesorowi Marcinowi Gołaszewskiemu z Łodzi przydarzyła się także fatalna przygoda o lekkiem zabarwieniu seksualnym. Stop. Pan profesor Marcin, któ-

ry jest przewodniczącym Rady Miejskiej w Łodzi i działaczem Nowoczesnej, nie znalazł się na listach do parlamentu. Stop. Rozgoryczony wystąpił przed kamerami i rzekł: „Zostałem bezczelnie wydymany”. Stop. Wiem, kim jest „dymacz”, ale nie czuję się w obowiązku dzielić tą wiedzą, gdyż jest powszechna. Stop.

Mają miejsca różne internetowe interakcje w mediach społecznościowych. Stop. W takie zwarcie weszli Donald Tusk i Mariusz Błaszczak. Stop. Pierwszy atak przypuścił Donald, pisząc na platformie X: „Ponieważ przez płot Błaszczaka przedostaje się do Polski codziennie rekordowo dużo migrantów, właściwe pytanie powinno brzmieć: czy jesteś za budową prawdziwej bariery na granicy z Białorusią?”. Stop. I wtedy Mariusz wyprowadził prawy sierp na brodę: „Bariera działa, Panie Tusk! Od strony białoruskiej zatrzymuje tłumy nielegalnych imigrantów, a od polskiej wyprawy posłów PO z pizzą i torbami reklamowymi”. Stop.

Roman Giertych wciąż zdaje się walczyć o immunitet, ale siły zła podcinają mu kopyta. Stop. Do haniebnych akcji należy krążący fejk udający prawdziwy plakat wyborczy, na którym pan mecenas jest pokazywany jako kandydat numer jeden z Janowa Podlaskiego. Stop. Z całą stanowczością potępiam taką walkę przedwyborczą i nie odpowiem na pytanie, czy mnie śmiesz! Stop. © ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Jest byczo!

Rzucający się w oczy napis wita warszawiaków na fasadzie siedziby Narodowego Banku Polskiego. „DZIĘKI NBP POLSKA JEST NA DOBREJ DRODZE, już od 4 miesięcy ceny prawie się nie zmieniły!”. Pisownia oryginalna.

Teza, że Polska na dobrej drodze jest dzięki NBP, i nikomu innemu, wydaje się być ze strony prezesa Głapińskiego deklaracją dość ryzykowną. O utrzymanie Polski „na dobrej drodze” trudzą się w pocie czoła, zwłaszcza przed wyborami, liczne osoby i instytucje. Nie sposób sprawić, by po lekturze reklamy ktoś nie poczuł się pominięty.

Co więcej chce nam powiedzieć polski bank centralny? Redefiniować w zbiorowej świadomości słowo „prawie”? Amerykańskie media przekonują nas, że Lia Thomas jest kobietą. Europejska lewica urządza histerię o ociepleniu klimatu, wspierana przez globalistów i dorosłą już Gretę Thunberg. A w Polsce NBP wmawia nam coś, czemu przeczy codzienne świadectwo własnych oczu i uszu.

Innym przejawem tego samego zjawiska jest wypowiedź ministra Przemysława Czarnka. Ogłosił on publicznie, że rząd powinien „wy tłumaczyć Ukraincom”, że nie jesteśmy frajerami. Już sama konieczność tłumaczenia komukolwiek, że się nie jest frajerem, skłonić powinna rządzących do głębokiej, krytycznej autorefleksji. „Jeśli coś chodzi jak kaczka, kwacze jak

kaczka i wygląda jak kaczka – to prawdopodobnie jest to kaczka” – głosi amerykańskie przysłowie.

Jeśli otoczenie uważa nas za frajerów, to nie czyni tego dlatego, że nie zapewnialiśmy wystarczająco gromko, iż frajerami nie jesteśmy. Takie rzeczy pokazuje się raczej w codziennym postępowaniu, nie „tłumaczy”. Przekonanie obozu władzy, że rzeczywistość kreować można przekazem propagandowym, przybierać zaczyna formy otwarcie obsesyjne. Niedługo nad szpitalami powiewać zaczęły transparenty „Dom powracającego zdrowia”, a nad ciemnymi ulicami plakaty: „W nocy jasno jak w dzień”.

Większość obywateli wydaje się być otwarta na podobne zabiegi. Kłopoty sprawiać może publiczność zagraniczna. Wy tłumaczenie reszcie świata, że nie jesteśmy frajerami, to zadanie na miarę umiejętności i zasobów Polskiej Fundacji Narodowej. Całostronicowe reklamy z hasłem: „We are not morons” z pewnością da się zamówić w czołowych amerykańskich dziennikach. Umieścić na nich radzę zgrabną sylwetkę jachtu i listę tytułów polskich filmów historycznych, sfinansowanych w ostatnich latach przez Ministerstwo Kultury. Efekt takiej reklamy będzie jak zwykle żaden, lecz pośredniczący w jej kupowaniu niefrajer zarobi przy okazji godziwe honorarium. © ©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Pożegnanie i podziękowanie



ANDRZEJ NOWAK

Rura mu zmięknie” – rzuca na wiecu lider opozycji w stronę prezydenta RP. Emerytowany profesor KUL, rocznik 1930, kawaler Orderu Orła Białego, mówi o liderze opozycji: „Chłop z jajami”. Drukuje to gazeta dla inteligentów swojego chowu.

Przypominają mi się słowa piosenki Jana Tadeusza Stanisławskiego sprzed wielu lat. „Kształciła mnie matka na historii świadka. / Uczyła mnie mama, bym się nie bał chama, bo cham to jest cham i boi się sam”. Z jednej strony obowiązek, by zapisywać i próbować rozumieć historię, nawet taką podłą. I zachęta, by chamstwu nie ustępować, tylko nazywać je po imieniu (ale: bez chamstwa!). Z drugiej jednak poczucie bezradności wobec zalewu tego kloaczego języka i emocji, które ma on budzić, by zastąpić ostatecznie argument racjonalny, próbę rozmowy jakimś krzykiem, który ma ją stłamsić. Krzykiem wulgarnym najlepiej: z dumą na piersi noszonymi, jak sowieckie ordery, ośmioma gwiazdkami. Nie wiedziałem, co oznaczają dopóty, dopóki nie poinformował mnie Internet, że to pochodna „wielkiej improwizacji Zbigniewa Stonogi”, który w „prończym filmiku” z 2015 r. nagrał serię najbardziej wulgarnych przekleństw pod adresem partii, która wtedy wygrała wybory, i milionów współobywateli, którzy ją poparli...

Jak wyzwąć na pojedynek na argumenty naśladowców Stonogi z profesorskimi tytułami (jest ich legion) i setki tysięcy półinteligentów, którzy z tych przekleństw czerpią poczucie przynależności do elity? Bezradność. Jak w tym wierszu Pana Cogito: „Ale tutaj nigdzie / nie ma ubitej ziemi // trudno wykonać / patetyczny gest / Eugeniusza Oniegina / zapa-

dając się / po kolana / po szyję / w błoto”.

Na błotne pojedynki nie mam ochoty. Nie zauważać kłamstwa, w którym jedna zabetonowana bańka medialna zamyka swoich niewolników umysłowych przed rzeczywistością, a druga stara się jej dorównać w skuteczności? Tego nie powinno się robić. Inni, młodszy, bardziej energiczni może znajdą sposoby na przewiercenie tytanoteflonu tych baniek. Mam nadzieję, że nie zrezygnują, zamykając się w jakiejś innej, własnej.

Takie myśli skłębiły się w mojej głowie ostatnimi dniami i przyniosły wniosek: pora zejść z gościnnych łamów tygodnika „Do Rzeczy”, gdzie co cztery tygodnie od blisko pięciu lat podejmuję takie próby wiercenia dziurek w mydlanych bańkach mód i medialnych kłamstw. Z radością przyjąłem zaproszenie do takiej formy współpracy, z którym zwrócił się do mnie na Nowogrodzkiej (nie w siedzibie inkryminowanej partii, tylko w sympatycznej Radio Cafe) Paweł Lisicki. Tym bardziej że z autorem „Nie-ludzkiego Boga” miałem już przyjemność współpracować, kiedy publikowaliśmy w latach 90. jego eseje w krakowskich „Arcanach”, a potem goszcząc w prowadzonej znakomicie przez niego „Rzeczpospolitej”. Chciałem mu serdecznie podziękować za tę współpracę i zaproszenie do „Do Rzeczy”. Pragnę podziękować również Piotrowi Gabryelowi, który prowadził ze mną korespondencję w sprawie kolejnych „odcinków” mojej obecności na łamach pisma. Nie znam innego redaktora polskich czasopism, zwłaszcza tzw. prawicowych, który byłby równie akuratywny i szybkim korespondentem. Oczywiście przede wszystkim dziękuję cierpliwym czytelnikom moich małych

tekstów z tej rubryki, zakładając, że tacy byli.

Nie zawsze zapewne moje opinie zgadzały się z ich poglądami. To zresztą chyba dobrze? Nie zawsze też ja się zgadzałem z poglądami, które tworzyły jakby „linię pisma” (jeśli coś takiego w ogóle istnieje i jeśli było poprawnie przeze mnie odczytywane). Na pewno różniłem się i różnie w ocenie rosyjskiego imperializmu, jego morderczych skutków i wynikających stąd wciąż zagrożeń dla Polski – od licznych tekstów w tygodniku, które taką ocenę zdają się zamazywać, a czasem nawet próbują ośmieszyć w imię rzekomego (moim zdaniem) realizmu. To jest jednak różnica, którą można analizować przy pomocy argumentów, nie przekleństw. Taką mam nadzieję. I tego życzę znakomitemu autorom „Do Rzeczy”. Sam, jeśli redakcja będzie miała na to ochotę, z przyjemnością do roli jednego z autorów wrócę, ale już tylko w okazjonalnej formie: jeśli będę miał coś do powiedzenia. Zwłaszcza coś, co może dodać otuchy w tych dość przerażających czasach.

„Optymizm nam nie zastąpi Polski” – pisał pewien świetny prozaik. Ale pesymizm (nawet nazywany realizmem) może nas zbyt wcześnie skłonić do kapitulacji. Nie kapituluję więc. Wracam do pisania kolejnych tomów „Dziejów Polski”. Kończę właśnie ostatni rozdział tomu VI poświęconego wyjątkowo gorzkim czasom kozackich rzezi, moskiewsko-szwedzkiego potopu, rokосу Lubomirskiego. A jednak w naszych dziejach, nawet w tym ich okresie, a mam nadzieję, że i w ich kolejnych, znaleźć można prawdziwe słowo otuchy. A na pewno stale odnawiające się wezwanie, by się nie poddawać. Tego też życzę serdecznie tygodnikowi „Do Rzeczy”. ©



FOT. W. LEPOŃSKI / LUDJASZAWA SCENIK

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Pożoga na wyspie Maui – krajobraz apokaliptyczny. Spalone samochody porzucone przy plaży – ludzie uciekli do wody. Kto nie dojechał, skakał w wodę ze skał. A woda nie była ratunkiem gwarantowanym. Na wodę spadały pływające płachty popiołów, tworzyły kożuch ognia, który kopcił trującym dymem – trzeba było uciekać dalej w morze i tam czekać ratunku. Rodzice z pięciorgiem dzieci przetrwali, bo uczepili się deski. Wielu innych utonęło, bo nawet dobry pływak nie da rady unosić się na wzburzonej wodzie 12 godzin.

Ratunek nie przychodził. Ludzi łowiły prywatne łodzie, pospolite ruszenie bez dowódcy i bez możliwości koordynacji – ktoś wyłączył telefony, ktoś odciął sieć, ktoś nie wpuszczał na teren katastrofy dziennikarzy. W USA na miejscu każdej katastrofy pojawiają się natychmiast i znikąd ekipy telewizyjne. Oglądamy transmisje na żywo i to pomaga ruszyć na pomoc w miejsca, które pokazuje TV; pomaga zabrać to, czego tam najbardziej potrzeba... Tym razem ktoś nie wpuszczał dziennikarzy i pospolite ruszenie ratowników działało na oślep.

Gdzie jest wojsko? Wszędzie na Hawajach jest wojsko. Ponad 37 tys. żołnierzy w aktywnej służbie plus personel pomocniczy, plus rezerwiści, którzy w każdej chwili mogą wrócić i wiedzą, co robić. Hawaje to największa terytorialnie baza wojskowa o największym znaczeniu strategicznym – mieści siedziby siedmiu dowództw US Navy, w tym dowództwo amerykańskiej floty na Pacyfiku. Mają sprzęt do ataku, do obrony, do akcji ratunkowych w każdych warunkach. In sztor-

mie, w ogniu. Trenują w czasie trzęsień ziemi i wybuchów wulkanów, są gotowi na atak nuklearny, potrafią wyłowić z oceanu tysiące ludzi... Potrafią, ale ktoś nie wydał rozkazu, by wyszli na ratunek.

Naczelnym dowódcą Joe Biden zajmował się tego dnia załatwianiem funduszy dla Ukrainy, a potem ruszył odpocząć. Każdy inny prezydent poleciałby na Hawaje i fotografował się po kolana w popiołach, tymczasem Biden temat zignorował i pojechał na inną plażę. Pogorzelnicy tonęli w Pacyfiku – on opalał się nad Atlantykiem. Przyłapanym przez dziennikarzy powiedział z uśmiechem, że w sprawie pożaru nie ma komentarza. Zaraz potem zarządził sobie 10-dniowe wakacje, aby odpocząć po długim weekendzie. W tej sytuacji orędzie do pogorzelników wygłosił kandydat Trump.

Były żołnierz, który mieszka na Hawajach, mówi tak: „Byłem tu w czasie huraganu w roku 1992. Gdy tylko przestało wiać, poderwaliśmy wszystkie helikoptery. Przewoziliśmy z innych wysp wszystko, co było potrzebne: jedzenie, wodę, toalety, materiały budowlane, ciężki sprzęt, buldożery, generatory prądu, lekarzy, szpitale polowe. Wszystko. W ciągu kilku godzin mieliśmy w powietrzu stada helikopterów. Lataliśmy po 8–12 razy dziennie, przywołując WSZYSTKO. I tak przez dwa miesiące. GDZIE TERAZ JEST WOJSKO? GDZIE HELIKOPTERY?”. Tu się nie dzieje NIC. Spalona ziemia i ludzie

mieszkają w samochodach, śpią na parkingach, przepelnione schrony. Mieszkańcy do prywatnych domów przyjmują po osiem rodzin i siedzą stłoczeni jak mrówki. Bo dokąd mają iść? Nikt im nie przerzucił szpitala wojskowego, namiotów. I wciąż odbierają telefony od chętnych do kupna wypalonych działek.

Wyspa Maui to „stare Hawaje”, małe wioski, plantacje ananasów, drewniane domy, dziedziczone z pokolenia na pokolenie. Spalone miasteczko Lahaina, stolica hawajskich królów, jest dla Hawajczyków tym, czym dla nas Gniezno. Kto chce hoteli i rozrywek, jedzie na inną wyspę i bawi się hucznie w Honolulu.

Pięć lat temu źli ludzie z Davos ogłosili oficjalny plan, by zrobić z Lahainy pierwsze smart city. Kilka miesięcy temu dodali, że cała wyspa ma być wyspą smart sterowaną przez AI (sztuczna inteligencja). Wyburzyć wszystko, postawić nowe, ale smart. Modelowe miasto na wyspie szczęśliwej, a potem cała modelowa wyspa (Agenda 2030).

Mieszkańcy stawiali opór; nie chcieli sprzedawać ojcowizny, tradycji, swoich ślicznych domów, nie chcieli wyburzeń i zmian „na lepsze” – ich wyspa była szczęśliwa i nie chcieli jej zmieniać na „wyspę szczęśliwą smart”. No to teraz wszyscy albo nie żyją, albo uciekli. I za miesiąc jest zaplanowana konferencja dotycząca odbudowy: wieżowce i smart city. Pożar na Maui spalił punktowo histo-

ryczne centrum miasta, które trzymało się tradycji. Syreny alarmowe się NIE włączyły. Gubernator nie wie dlaczego. A przecież systemy ostrzegania są na Hawajach najlepsze na świecie, bo to strefa trzęsień ziemi, tsunami, huraganów, z aktywnymi wulkanami.

Bardzo dziwny pożar: Samochody skremowane na proch, wypalone doszczętnie, na białą, drobnutki jak mąka pył popiołów, a tuż obok wypalonego auta kamienny murek, na którym nie ma śladu pożogi. Auta wypalone, roztopione aluminium (660 st. C), a obok drzewo o pniu nienaruszonym przez ogień i palma wciąż zielona – czy ktoś potrafi wyjaśnić takie zjawiska?

Twitter huczy od teorii spiskowych. Swoje domy na Maui mają Oprah Winfrey, Jeff Bezos, Bill Gates, Lady Gaga... Posesje tych ludzi pozostały nietknięte, choć były płot w płot terenem spalonym na miast. Skąd ogień wiedział, co omijać? Przypadek za przypadkiem: plany przekształcenia Maui w pierwowzór nowego porządku świata ma Światowe Forum Ekonomiczne. Od pięciu lat są to plany oficjalne. A teraz taki szczęśliwy zbieg okoliczności z tym pożarem.

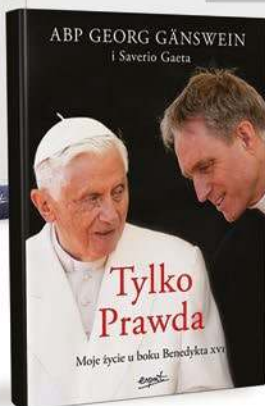
Właściciele spalonych domów mogliby je odbudować, ale USA reagują inaczej niż za poprzednich katastrof. Dawniej cała Ameryka włączała tryb ratunkowy i podnoszono z ruin np. Nowy Orlean i dzielnice zalane przez huragan Katrina. Tym razem prezydent Biden zaproponował pogorzelncom pomoc wynoszącą po 700 dol. na rodzinę, czyli jedne zakupy dla rodziny, której spopieliło cały dobytek.

Ludzie czują, że coś dziwnego się dzieje: pewien sportowiec napisał sobie na łycie głowie „investigate maui”; pokazały to kamery. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE **KSIĄŻKI**

SAVERIO GAETA: „PROROCTWO O DWÓCH
PAPIEŻACH” ORAZ ABP G. GÄNSWEIN I S. GAETA:
„TYLKO PRAWDA. MOJE ŻYCIE U BOKU
BENEDYKTA XVI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

347,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 626 zł



~~973 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 46296198ab

Blue Angels

 **PROMASTER**



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW